

BESTSELLER NEW YORK TIMES SA

CHARLAINE HARRIS

książka
autorki serii
o Sookie Stackhouse
i fabuły serialu
CZYSTAKREW

Grubową
tajemnica

HARRIS CHARLAINE

Grobowa tajemnica

CHARLAINE HARRIS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W porządku – rzekła kobieta o włosach barwy słomy, odziana w dżinsową kurtkę. – Róbcie, co do was należy. – Silny akcent zniekształcił jej słowa tak, że wypowiedź brzmiała bardziej jak: „Róbta, co du wus nalyży”. Na jej orlikowatej twarzy odbijała się ciekawość i niecierpliwość osoby gotowej do spróbowania nieznannej potrawy.

Staliśmy na wietrznym polu, kilka mil na południe od międzystanówki łączącej Texarkane z Dallas. Wąską, dwupasmową szosą przemknął samochód. Jedyne pojazdy, jakie widziałam od czasu, kiedy jechaliśmy za czarnym chevroletem kodiakiem Lizzy Joyce, zmierzając na cmentarz Pioneer Rest, leżący nieopodal maleńkiego miasteczka Clear Greek.

Gdy nasza mała grupka zamilkła, wokół słychać było jedynie świst wiatru smagającego pagórek.

Cichy cmentarzyk leżał na otwartej przestrzeni. Ogrodzenie usunięto, ale raczej dawno. To miejsce pochówków było stare, jak większość podobnych w Teksasie. Grzebano tu zmarłych już wtedy, gdy wielki dąb ocieniający swą koroną nagrobki był małym drzewkiem. W gąszczu konarów świergotały ptaki. Ziemię porastała trawa, teraz, w lutym, przerzedzona i zbrązowiała. Choć było prawie dziesięć stopni powyżej zera, wiatr wciskał się wszędzie przenikliwym chłodem. Zapięłam kurtkę. Lizzy Joyce ubrała się dość lekko jak na tę pogodę.

Okoliczni mieszkańcy byli zahartowanymi, pragmatycznymi ludźmi, a ta mniej więcej trzydziestoletnia blondynka, za której sprawą tu się znalazłam, nie stanowiła wyjątku. Szczupła, dobrze umięśniona, dżinsy pewnie wciągała, wysmarowawszy uprzednio nogi olejem. Nie wyobrażałam sobie, jak w tym stroju dawała radę dosiadać konia, ale znoszone buty i kapelusz mówiły same za siebie. Podobnie jak klamra od paska, która świadczyła, o ile dobrze odczytałam napis, że Lizzy jest zeszłoroczną zwyciężczynią okręgowych mistrzostw w slalomie wokół beczek. Prawdziwa twardzielka.

Posiadała także konto z taką ilością zer, jakiej nie zdołam dorobić się przez całe życie. Kiedy machnęła ręką, wskazując skrawek ziemi oddany zmarłym, diamenty na jej palcach zaskrzyły się w słońcu. Pani Joyce ponagliła mnie, bym przystąpiła do dzieła.

Przygotowałam się do „zrobienia, co du mnie nalyżało”. Lizzy słono płaciła za moje usługi i oczekiwała efektów. Na to spotkanie zaprosiła małą widownię, składającą się z partnera, młodszej siostry oraz brata, który sprawiał wrażenie, jakby wołał znajdować się teraz gdziekolwiek, byle nie na Pioneer Rest.

Mój brat stał oparty o samochód i nie zamierzał się stamtąd ruszać. Całą uwagę skupiał na mnie i tak miało pozostać, póki nie uporam się z zadaniem.

W myślach nadal nazywałam Tollivera bratem, choć gryzłam się w język, zanim określałam go tak na głos. Teraz nasze relacje wyglądały całkiem inaczej.

Po raz pierwszy spotkaliśmy się z rodziną Joyce'ów dzisiejszego ranka. Kierując się szczegółowymi wskazówkami, które Lizzy wysłała nam via e-mail, przebyliśmy długą drogę, wciśniętą pomiędzy rozległe, ogrodzone pola. Dom, do którego prowadziła szosa, był okazały, piękny, ale nie pretensjonalny. Widać, że jego mieszkańcy są ludźmi ciężkiej pracy. Meksykanka, która otworzyła drzwi, miała na sobie zwykle spodnie i bluzkę, a nie jakiś wydumany uniform, zaś do swej pracodawczyni zwracała się po imieniu. Z uwagi na to, że na ranczu każdy dzień tygodnia jest dniem roboczym, nie zaskoczyły mnie pustki w domu. Większość mieszkańców widziałam z daleka poza budynkiem. Podążając za gosposią w głąb domu, dostrzegłam przez okno dżipa jadącego ścieżką pomiędzy wielkimi polami znajdującymi się na tyłach. Lizzy Joyce oraz jej siostra Kate przyjęły nas w pokoju myśliwskim. Domownicy pewnie nazywali to pomieszczenie pokojem dziennym lub bawialnią albo stosowali jeszcze inne określenie, pasujące do miejsca, gdzie zbierali się, by oglądać telewizję, grać w planszówki czy spędzać wieczory w sposób właściwy bogaczom, mieszkającym tam gdzie diabeł mówi dobranoc. Dla mnie był to pokój myśliwski. Na ścianach wisiała różnoraka broń oraz spreparowane głowy zwierząt, a wystrój miał nadawać wnętrzu charakter rustykalnej chaty wiejskiej. Założyłam, że całość odzwierciedlała gust dziadka obecnych właścicieli, który wybudował dom, jednakże gdyby młodym Joyce'om ten styl nie odpowiadał, mogli przecież przerobić wszystko według własnego upodobania. W końcu ów dziadek nie żył już od jakiegoś czasu.

Lizzy wyglądała tak jak na zdjęciach, które wcześniej oglądałam, ale na żywo robiła wrażenie jeszcze bardziej konkretnej. Była to bez wątpienia kobieta ciężko pracująca. Siostra, nazywana zdrobniale Katie, wyglądała jak jej młodsza, zminiaturyzowana wersja – niższa i mniej spracowana. Jednak tak samo silna i pewna siebie. Możliwe, że taką postawę kształtowało dorastanie w bogactwie.

Przeszklone drzwi pokoju prowadziły na dużą werandę obwieszoną donicami, które zapewne wiosną kipiały kwiatami. Na kwiaty jednak było za wcześnie. Nocami temperatura nadal spadała czasem poniżej zera. Joyce'owie zostawiali zimą na zewnątrz bujane fotele, a ich widok pobudził moją wyobraźnię. Zastanawiałam się, jak to jest, siadywać letnim rankiem na tym zadaszonym tarasie i pijąc kawę, wpatrywać się w rozległe przestrzenie pól.

U stóp wzniesienia pod werandą zatrzymał się dżip. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn, którzy wspięli się po zboczu i weszli przez szklane drzwi.

–Panno Connelly, to zarządca, rancza RJ, Chip Moseley, a to nasz brat, Drexell.

Oboje z Tolliverem wymieniliśmy z przybyłymi uściski dłoni.

Zarządca – przystojny, ogorzwały mężczyzna o zielonych oczach i brązowych włosach – był wyraźnie sceptycznie nastawiony do całej sprawy, podobnie jak Drexell. Obaj chyba

najchętniej nie przyszliby na to spotkanie. Przybyli tu jednak zgodnie z życzeniem Lizzy. Chip pocałował Lizzy w policzek. Widząc tę poufalość, zorientowałam się, że są partnerami nie tylko w interesach. To musiało być nieco niezręczne. Drexell, najmłodszy z Joyce'ów, wykazywał najmniej podobieństwa rodzinnego. Okrągłej, nieco dziecinnej twarzy brakowało ostrych, orlikowatych rysów sióstr. Inaczej niż Joyce'ówny, ani razu nie spojrzął mi prosto w oczy.

Odniosłam mgliste wrażenie, że gdzieś już widziałam obu mężczyzn. Niewykluczone, gdyż ranczo nie leżało tak znów daleko od Texarkany, jednak nie zamierzałam o tym wspominać. Za nic w świecie nie chciałam wywlekać na światło dzienne życia, jakie kiedyś prowadziłam. A nie zawsze byłam tajemniczą kobietą, która została porażona piorunem i od tamtej pory potrafi odnajdywać ciała zmarłych.

–Cieszę się, że znalazła pani czas, aby do nas przyjechać – zagaiła Lizzy.

–Moja siostra uwielbia niezwykłości – oświadczyła Katie, zwracając się głównie do Tollivera. Zdecydowanie wpadł jej w oko.

–Harper jest wyjątkowa, jedyna w swoim rodzaju – odpowiedział Tolliver, zerkając na mnie z leciutkim rozbawieniem.

–Cóż, to dobrze, bo za pieniądze, które Lizzy płaci, należy się coś naprawdę specjalnego. – Wychwyciłam w tonie Chipa ostrzegawcze nuty. Przyjrzałam mu się baczniej. Nie chciałam zostać posądzona o wykazywanie nadmiernego zainteresowania czyimś facetem, ale coś w nim poruszało mój szósty zmysł. A przecież ruszał się, oddychał, co generalnie powinno go dyskwalifikować, jeśli chodzi o jakikolwiek odbiór za pomocą mojego szczególnego daru.

Zajmowałam się zmarłymi.

Wyglądało na to, że Lizzy Joyce, znalazłszy w Internecie stronę, na której śledzono moje sprawy oraz aktualne miejsce pobytu, nie mogła spokojnie spać, póki nie wymyśliła dla mnie jakiegoś zadania. W końcu stwierdziła, że koniecznie chce wiedzieć, co było przyczyną śmierci jej dziadka, którego znaleziono leżącego bez ducha przy dziapie, na odległym krańcu rancza. Rich Joyce miał uraz czaszki, który, jak sądzono, mógł powstać w wyniku upadku podczas wsiadania lub wysiadania z samochodu bądź uderzenia głową o ramę, kiedy wpadł w poślizg. Ta druga teoria wydawała się jednak mało prawdopodobna ze względu na brak jakichkolwiek śladów świadczących o takim przebiegu zdarzenia. Kiedy znaleziono Richa, silnik był zgaszony, a w okolicy nie widziano żywego ducha. W końcu za przyczynę śmierci uznano atak serca i zmarłego złożono do grobu. Wszystko to działo się kawał czasu temu.

Ponieważ syn zmarłego oraz jego żona zginęli kilka lat wcześniej w wypadku samochodowym, majątek odziedziczyli wnukowie, choć nie w równych częściach. Z tego, co dowiedział się Tolliver, główną spadkobierczynią była Lizzy. Jej rodzeństwo otrzymało nieco mniej niż po jednej trzeciej schedy, co uprawniało najstarszą wnuczkę do dzierżenia steru rządów całym majątkiem oraz wskazywało, kogo dziadek darzył największym zaufaniem.

Ciekawe, czy Rich Joyce wiedział, że najstarsza wnuczka przejawia ciągotki do mistycyzmu? Choć może po prostu miała zamiłowanie do niezwykłości. W każdym razie jedno lub drugie było przyczyną naszej wizyty na cmentarzu, gdzie właśnie stałam, czekając, aż Lizzy da mi znak, że mogę zacząć.

W każdym calu pragmatyczna, cenila swoje pieniądze, dlatego nie zamierzała mi niczego ułatwiać. W związku z tym nie wskazała ani miejsca pochówku dziadka, ani nawet nie zdradziła konkretnego celu zadania, dopóki nie dotarliśmy na cmentarz. Oczywiście mogłam obejść cały, odczytując po kolei wszystkie napisy na nagrobkach, aż znalazłabym ten odpowiedni. Nie leżało tu w końcu wielu Joyce'ów. Wziąwszy jednak pod uwagę, że nie mrugnęła okiem na wycenę zlecenia, postanowiłam nie spieszyć się i zrobić na jej użytek mały show.

Zdjęłam buty, choć wiedziałam, że będę musiała dobrze patrzeć pod nogi. Trawa co prawda robiła wrażenie zadbanej, ale w Teksasie zwykle wśród źdźbeł kryła się masa kolców. Jeszcze raz potoczyłam wzrokiem po rozległej, bezludnej panoramie roztaczającej się z pagórka. Księżycowy krajobraz wokół cmentarzyka stanowił niezwykle kontrast z gęsto zamieszkanymi, zurbanizowanymi rejonami, przez które przejeżdżaliśmy w drodze do miejsca naszego ostatniego zlecenia w Północnej Karolinie. Docelowo znaleźliśmy się w małym miasteczku, ale nawet ono nie robiło wrażenia tak odizolowanego od cywilizacji, jak to pustkowie. Tam zawsze towarzyszyła nam świadomość, że kolejna osada leży oddalona o kilka minut jazdy samochodem.

Jednak tu przynajmniej nie było tak zimno jak tam i raczej na pewno nie zaskoczy nas śnieg. Stopy co prawda mi marzły, ale to było nic w porównaniu z przejmującym, wilgotnym zimnem Północnej Karoliny.

Joyce'ów chowano w pobliżu dębu. Z daleka widziałam wielki głaz, zeszlifowany z jednej strony na gładko. Na płaskiej powierzchni wielkimi literami wyryto nazwisko rodowe. Nikt by nie uwierzył, że nie zauważyłam czegoś tak oczywistego. Przystanąłam przy pierwszej z mogił i kontynuowałam szopkę, choć na pewno nie był to grób, o który chodziło. Ale to nieistotne, musiałam przecież od czegoś zacząć. Na nagrobku wypisano: „Sara, ukochana żona Paula Joyce'a”. Odetchnęłam głęboko i wstąpiłam na mogiłę. Kontakt z leżącymi pod ziemią kośćmi nawiązałam natychmiast. Był jak porażenie prądem. Sara czekała, jak wszyscy – i ci nieżyjący od dawna, i ci zmarli ostatnio, i ci złożeni w grobach, i ci porzuceni jak śmieci. Sięgnęłam w głąb.

Nawiązanie kontaktu. Odczytanie informacji.

–Kobieta, koło sześćdziesiątki, tętniak – powiedziałam. Otworzyłam oczy i przeszłam na kolejny grób, dużo starszy. – Hiram Joyce. – Skoncentrowałam się na połączeniu z resztkami kości. – Zatrucie krwi – rzekłam po chwili. Wstąpiwszy na sąsiednią mogiłę, stałam przez chwilę nieruchomo. Impuls był bardzo wyraźny – zew kości, szczątków. Chciały zostać wysłuchane, opowiedzieć o przyczynie śmierci, wyjawić przebieg ostatnich chwil życia. Spojrzałam na kamień nagrobny. Zupełnie jak ponowne wynajdywanie koła.

Kobieta. Nie pochodziła z Joyce'ów, ale była z nimi związana. Zmarła ponad osiem lat temu. Mariah Parish. Dostrzegłam nagle napięcie w postawie dwóch mężczyzn stojących pod drzewem, ale kontakt ze zmarłą był tak intensywny, że nie zastanawiałam się nad tym.

–Och... – szepnęłam. Powiew wiatru rozwiał mi włosy. – Biedactwo.

–Co? – w szorstkim głosie Lizzy brzmiała tylko niepewność. – To pielęgniarka dziadka. Pękł jej wyrostek czy coś takiego.

–Wykrwawiła się po porodzie. – Dodałam dwa do dwóch i zerknęłam na mężczyzn. Drexell aż postąpił naprzód. Chip Moseley stał ogłuszony, ale i wściekły. Nie wiem, czy tak wstrząsnęła nim sama informacja, czy to, że wypowiedziałam ją na głos. Jednak ich emocje nie miały już znaczenia, Mariah od dawna nie żyła. Odwróciłam się ku mogile, która była moim celem. Znajdująca się na niej płyta nagrobkowa, podwójna, należała do największych w grupie. Żona Richarda odeszła dziesięć lat przed mężem. Miała na imię Cindilynn i zmarła na raka piersi. Usłyszawszy moją diagnozę przyczyny śmierci, Kate i Lizzy spojrzwały po sobie i kiwnęły głowami. Przesunęłam się o krok, stając nad Richardem. Pochowano go osiem lat wcześniej, raptem kilka miesięcy po opiekunce. Przechyliłam głowę, wsłuchując się w to, co przekazywały mi kości.

Przed śmiercią ujrzał coś, co go zaskoczyło. Nie od razu pojęłam, dlaczego zatrzymał samochód i wysiadł, ale już po chwili wiedziałam, że dostrzegł kogoś znajomego.

Nie miałam przed oczyma tej osoby. Mój dar nie działa obrazami. Raczej jakbym na moment znalazła się w skórze nieżyjącej osoby, odbierała jej myśli, odczuwała emocje ostatnich chwil życia. Wiedziałam tylko, że Rich Joyce przystanął na czyjś widok. Nie uświadomiłam sobie procesu myślowego, prowadzącego do rozpoznania oraz podjęcia decyzji o zatrzymaniu się. Jako Rich zgasiał silnik, wysiadłam i nagle dostrzegłam (Rich dostrzegł) lecącego ku mnie (ku niemu) węża, grzechotnika, a wstrząs przyprawił mnie (jego) o atak serca. Gorąco wody gdzie telefon Boże umieram tak, a potem wszystko się urwało. Zacisnęłam powieki, chcąc lepiej pojąć przebieg wydarzeń, powiązać sceny, których byłam świadkiem, zrozumieć, co się stało.

Gdy otworzyłam oczy, rodzeństwo Joyce'ów i zarządca wpatrywali się we mnie, jakby na moim ciele nagle wystąpiły stygmaty. Czasami ludzie tak reagują, mimo że sami proszą o moją pomoc.

Przerażam ich albo fascynuję (nie zawsze jest to całkiem zdrowa fascynacja), bywa, że to i to jednocześnie. Jednak nie fascynacja wzięła górę tym razem. Chip patrzył na mnie, jakbym miała na sobie kaftan bezpieczeństwa, zaś Joyce'owie gapili się po prostu z otwartymi oczyma. Żadne z nich nie wydało najcichszego dźwięku.

–Teraz już wiecie – podsumowałam.

–Mogłaś to zmyślić – zaprotestowała Lizzy. – Ktoś tam był? Jakim cudem? Nikt niczego nie widział. Sugerujesz, że ktoś rzucił na dziadka grzechotnika? I to przyprawiło go o zawał, a ten

ktoś tak go zostawił? I twierdzisz, że Mariah była w ciąży? Nie płacę ci za kłamstwa!

Dobra, wkurzyła mnie. Nabrałam powietrza. Kątem oka dojrzałam Tollivera, który wyprostował się jak struna, z wyrazem czujności na twarzy. Chip stał przy dżipie, zgięty wpół, opierając się ręką o maskę. Zrozumiałam, że przyczyną takiej reakcji był ból, i pomyślałam, że nie byłby szczęśliwy, gdybym zwróciła na niego uwagę reszty.

–Sprowadziła mnie tu pani w pewnym celu, a ja wykonałam zadanie – powiedziałam, rozkładając ręce. – W tym wypadku nawet ekshumacja dziadka nie potwierdzi moich słów. Uprzedzałam, że tak właśnie może być. Jeśli chodzi o Mariah Parish, oczywiście można to sprawdzić, jeśli pani na tym zależy. Powinien być akt urodzenia albo inny ślad w dokumentacji.

–To prawda – przyznała Lizzy, a na jej obliczu odbijał się teraz raczej namysł niż oburzenie. – Mariah i jej dziecko, o ile w ogóle je miała, to jedna kwestia, ale nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek mógłby zrobić coś takiego dziadkowi. Zakładając, że pani nie kłamie.

–Może pani wierzyć albo nie. Pani sprawa. Wiedziała pani o jego problemach z sercem?

–Nie, był typem unikającym lekarzy. Ale miał wcześniej zawał, a z ostatniej wizyty kontrolnej wrócił przygnębiony.

Widać, że niejednokrotnie o tym myślała.

–Miał w aucie komórkę, tak? – zapytałam.

–Owszem – przytaknęła.

–Próbował jej dosięgnąć. – Niektóre ostatnie sekundy bywają wyraźniejsze niż inne.

Zerknęłam przelotnie na Tollivera, po czym odwróciłam głowę. Widoczne w jego postawie napięcie zelżało. Uznałam, że sytuacja wróciła do normy.

–Wierzycie w te brednie? – zapytał Chip z niedowierzaniem. Atak dolegliwości już mu minął, bo wrócił do nas, stając przy Lizzy. Spoglądał na nią przy tym, jakby widział ją po raz pierwszy, a ze znalezionych przez nas informacji wynikało, że są razem od sześciu lat.

Lizzy była zbyt pewna siebie, by reagować pochopnie. Zamyślona, wyjęła papierosa i zapaliła go. Wreszcie odwróciła się do Chipa.

–Tak, wierzę jej.

–Kurde! – Katie zdjęła kapelusz i trzepnęła się nim po chudym udzie. – Pewnie teraz będziesz chciała zaangażować w to Johna Edwarda. Lizzy rzuciła siostrze nieprzyjazne spojrzenie.

–Moim zdaniem ona zmyśla – oświadczył Drexell.

Lizzy dała nam zaliczkę. I tak co prawda jechaliśmy do Teksasu, ale nie zjechalibyśmy z drogi, gdyby nie zapłaciła nam częściowo z góry. Dziwne, ale to właśnie bogatsi klienci mają skłonność do zmiany zdania. Z biedniejszymi zwykle nie ma problemów. Tak więc, choć zrealizowaliśmy pierwszy czek od Joyce'ów, reszta zapłaty stanęła pod znakiem zapytania. Rozdźwięk i niedowierzanie w grupce były aż nazbyt wyraźne, więc na dwoje babka wróżyła.

Jednak zanim na dobre zaczęłam się tym martwić, Lizzy wyciągnęła z kieszeni złożony czek i wręczyła go Tolliverowi, który tymczasem podszedł do nas i teraz objął mnie ramieniem. Rzeczywiście, byłam odrobinę rozbita. Kontakt z Richem nie był aż tak silnym przeżyciem, jak to czasem bywało, bo jego lęk trwał zaledwie ułamek sekundy, ale każde bezpośrednie zetknięcie ze śmiercią pozbawiało mnie sił.

–Chcesz cukierka? – zapytał.

Kiedy kiwnęłam głową, rozwinął jednego z Werther's Original, które miał w kieszeni, i włożył mi go do ust. Złota, śmietankowa rozkosz.

–Myślałam, że jesteście rodzeństwem – skomentowała ten gest Katie, przyglądając się bacznie Tolliverowi. Wiedziała, że nie ma jeszcze trzydziestki, ale jej sposób mówienia i chodzenia należały do znacznie starszej, bardziej doświadczonej osoby. Zastanawiałam się, czy to rezultat dorastania w bogatej, lecz pragmatycznej rodzinie teksańskiej, czy też życie wśród Joyce'ów obfitowało w jakieś inne źródła stresów.

–Bo jesteśmy – potwierdziłam.

–Zachowujecie się bardziej jak para – stwierdził Drexell z rozbawieniem.

–Jesteśmy przybranym rodzeństwem i parą – wyjaśnił Tolliver z uśmiechem. – Na nas już czas. Dzięki, że zwróciliście się do nas z kłopotem, i mam nadzieję, że pomogliśmy. – Skinął wszystkim na pożegnanie. Tolliver nie jest przesadnie wysoki, nie ma metra osiemdziesięciu, ale prawie. Jest też dość szczupły, choć ma szerokie barki. Ale dla mnie jest idealny i kocham go najbardziej na świecie.

Obudził mnie szum prysznic. Mieszkaliśmy już w tak wielu motelach, że czasem o poranku potrzebowałam chwili, aby przypomnieć sobie, w jakiej miejscowości znajduje się ów konkretny pokój. Ten poranek należał właśnie do takich.

Teksas. Po rozstaniu z Joyce'ami spędziliśmy pół dnia w drodze, zanim dojechaliśmy do tego motelu, położonego przy trasie międzystanowej pod Garland, nieopodal Dallas. Tym razem nie była to podróż w interesach, a w sprawach osobistych.

Kiedy otworzyłam oczy i oprzytomniałam, natychmiast opadły mnie ponure myśli o dawnych, złych czasach. Za każdym razem podczas odwiedzin u ciotki i jej męża, mieszkających pod Dallas, wracały do mnie nieprzyjemne wspomnienia.

Nie wiązało się to z pobytem w tym stanie.

To bliskość siostr sprawiała, że przypominałam sobie życie w zdezelowanej przyczepie w Texarkanie, gdzie mieszkaliśmy z Tolliverem, jego ojcem, moją matką oraz siostrą, a także dwiema wspólnymi przyrodnimi siostrzyczkami, które w chwili rozpadu naszej rodziny były jeszcze prawie niemowlakami.

Krucha równowaga, którą nam, starszym dzieciom, udało się utrzymać przez kilka lat, runęła w momencie zaginięcia mojej siostry Cameron. Fatalne warunki, w jakich żyliśmy, wyszły nagle na jaw, a w konsekwencji odebrano nam najmłodsze siostrzyczki. Tolliver musiał zamieszkać ze starszym bratem, Markiem, ja zaś zostałam umieszczona w rodzinie zastępczej.

Dziewczynki nawet nie pamiętały Cameron. Zapytałam je o to podczas ostatniego spotkania. Teraz mieszkały z ciotką Iona i wujem Mankiem, których nie zachwycaly nasze wizyty. Mimo to nie ustępowaliśmy. Mariella i Grace (zwana zdrobniale Gracie) były naszymi siostrami i chcieliśmy, aby pamiętały, że mają rodzinę.

Podparta na łokciu, obserwowałam, jak Tolliver się wyciera. Idąc pod prysznic, nie zamknął drzwi od łazienki, bo zaparowałoby lustro i nie mógłby się ogolić.

Mimo braku pokrewieństwa, jesteśmy do siebie trochę podobni. Oboje mamy ciemne, krótkie włosy i szczupłe sylwetki. Także oczy mamy ciemne: on brązowe, ja szare.

W okresie dojrzewania Tolliver cierpiał na ostry trądzik, a ponieważ jego ojciec zaniedbał leczenie u dermatologa, pozostały mu blizny. Tolliver ma wąską twarz i często nosi wąsy. Nie znosi ubierać się inaczej niż w dżinsy i koszulki, a ja owszem, wolę mniej sportowe stroje, szczególnie, że klienci się tego po mnie spodziewają, w końcu jestem „gwiazdą”. Tolliver jest moim menedżerem, doradcą, wsparciem, towarzyszem, a od kilku tygodni także kochankiem.

Odwróciwszy się, dostrzegł, że go obserwuję. Z uśmiechem odrzucił ręcznik.

–Chodź do mnie – poprosiłam.

Natychmiast przyszedł.

–Masz ochotę na przebieżkę? – zapytałam po południu. – Potem możemy wziąć wspólny prysznic, w ten sposób zaoszczędzimy wodę.

Szybko przebraliśmy się w stroje do biegania i po krótkiej rozgrzewce wybiegliśmy na zewnątrz. Tolliver jest szybszy ode mnie i zwykle odsądza mnie sporo na ostatnim odcinku. Dzisiaj było podobnie.

Udało nam się znaleźć miłą trasę. Motel stał przy wjeździe na drogę międzystanową i otaczały go inne hotele, restauracje, stacje benzynowe oraz różne przydrożne interesy, jednak na tyłach odkryliśmy jeden z „parków inwestycyjnych”. Tutaj tworzyły go ciągnące się wzdłuż

dwóch krętych ulic parterowe biurowce z placykami parkingowymi oraz skwerami. O zieleni zadbane także na pasach rozdzielczych, na tyle szerokich, że pomieściły szpalery mirtów. Chodniki przy ulicach dodawały całości przyjaznej atmosfery. Było piątkowe popołudnie, więc w enklawie nijakich budynków, podzielonych na sekcje opisane nic nam niemówiącymi nazwami, takimi jak Great Systems, Inc. czy Genesis Distributors, panował nikły ruch. Do każdego skupiska prowadził osobny dojazd, wiodący prawdopodobnie na wewnętrzny parking pracowniczy. Frontowe placyki z miejscami postojowymi dla klientów były niemal puste, a ostatni pracownicy wyjeżdżali do domów na weekend.

Ostatnią rzeczą, jakiej spodziewałabym się w takim miejscu, był nieżywy człowiek.

Pochłonięta rozmyślaniami o bolącej nodze, która dokuczała mi od czasu porażenia piorunem, w pierwszej chwili nie zwróciłam uwagi na wołanie kości.

Oczywiście martwi leżą wszędzie. Mój zmysł wychwytuje nie tylko niedawnych zmarłych, ale także tych sprzed wieków. Czasami nawet, choć bardzo rzadko, odbieram słabe echa śladów po ludziach, którzy chodzili po tej ziemi, zanim wynaleziono pismo. Jednak ten mężczyzna, który nawiązał ze mną kontakt tu, na przedmieściach Dallas, zmarł bardzo, bardzo niedawno. Przez chwilę truchtałam w miejscu.

Nie mogłam zyskać pewności bez zbliżenia się do ciała, ale odniosłam wrażenie, że zginął z powodu samobójczego strzału z broni. Spróbowałam go zlokalizować. Znajdował się gdzieś na tyłach biur z szyldem Designated Engineering. Odegnałam ogarniający mnie żal. Miałam w tym praktykę. Żałować go? Sam dokonał wyboru. Gdybym żałowała każdego, kto umarł, płakałabym bez przerwy.

Nie, nie traciłam czasu na emocje. Zastanawiałam się, co robić. Mogłam zostawić go samego sobie i tak podpowiadał mi rozsądek. Pierwszy pracownik, który przyjdzie do Designated Engineering, przeżyje szok, o ile wcześniej rodzina zmarłego nie zadzwoni na policję, zaniepokojona, że krewny nie wrócił do domu. Zostawienie go ot tak wydawało się okrutne, owszem. Jednak nie uśmiechało mi się poświęcanie czasu na długie wyjaśnienia na policji.

Bieganie w miejscu nie rozgrzewało wystarczająco. Marzłam. Trzeba było podjąć decyzję.

To prawda, nie mogę pozwolić sobie na rozdzieranie szat nad każdym zmarłym, jednak z drugiej strony – nie chciałam zatracić człowieczeństwa.

Rozejrzałam się wokół w poszukiwaniu inspiracji. Odnalazłam ją w kamieniach otaczających rabatę przy wejściu. Po kilku próbach wybrałam największy, jaki zdołałam unieść jedną ręką. Spojrzałam dookoła. Żadnych samochodów w zasięgu wzroku, żadnych pieszych. Odsunęłam się, wzięłam zamach i cisnęłam kamieniem. Jeszcze dwukrotnie musiałam wrócić po nowy pocisk i powtórzyć cały proces, zanim szyba roztrzaskała się, a alarm zawył. Rzuciłam się biegiem w stronę motelu. Czapki z głów przed tutejszymi stróżami prawa. Ledwie zdążyłam dotrzeć na motelowy parking, kiedy dostrzegłam zmierzający w stronę biur radiowóz.

Godzinę później, nakładając makijaż, miałam okazję opowiedzieć Tolliverowi o tym, co się wydarzyło. Wcześniej wzięłam długi prysznic, do którego Tolliver dołączył pod pozorem pomocy przy myciu włosów.

Czysta i pachnąca przechylałam się nad umywalką, starając narysować równą kreskę. Choć miałam tylko dwadzieścia cztery lata, musiałam przysuwać się blisko lustro, co oznaczało, że przy kolejnej wizycie kontrolnej okulista przepisze mi prawdopodobnie okulary. Nigdy nie uważałam się za próżną osobę, ale poczułam niemile ukłucie żalu, gdy wyobraziłam sobie siebie w okularach. Może soczewki kontaktowe? Jednak wzdrygnęłam się na myśl o wsadzaniu sobie czegośkolwiek do oka.

Główną moją troską związaną z korekcją wzroku były jednak koszty, z jakimi się to wiązało. Oszczędzaliśmy i odkładaliśmy każdego centa na zaliczkę na dom, jaki mieliśmy nadzieję kupić tutaj, w okolicy Dallas. Z punktu widzenia naszych interesów lepszą lokalizacją byłoby St. Louis, ale osiadłszy tu, moglibyśmy częściej widywać siostrzyczki. Hankowi i Ionie pewnie to się nie spodoba i będą mnożyć przeszkody. Przeprowadzili adopcję i byli prawnymi opiekunami dziewczynek. Mimo to liczyliśmy, iż uda nam się ich przekonać, że korzyści, jakie Mariella i Gracie czerpałyby z kontaktów z nami, byłyby nie mniejsze niż nasze. Wchodząc do łazienki, Tolliver pocałował mnie w ramię. Uśmiechnęłam się, patrząc na jego odbicie w lustrze.

–Tam dalej coś się stało, jest sporo policji – rzekł. – Wiesz coś na ten temat?

–Jakbyś zgadł – odparłam, czując wyrzuty sumienia, że nie opowiedziałam mu wszystkiego wcześniej. Przed prysznicem nie zdążyłam, a później mnie zdekoncentrował. Dopiero teraz nadrobiłam zaniedbanie, zdając relację z natknięcia się na zmarłego i rozbicia szyby kamieniem.

–Dobrze zrobiłaś, policja już go znalazła – powiedział Tolliver. – Choć wolałbym, żebyś to tak zostawiła.

Takiej reakcji się spodziewałam. Tolliver nie pochwalał angażowania się w sprawy, za które nam nie płacono. W lustrze dostrzegłam subtelną zmianę na jego twarzy, domyśliłam się, że zamierza zmienić temat i porozmawiać o czymś poważnym.

–Brałaś kiedyś pod uwagę, że może powinniśmy odpuścić? – zapytał.

–Odpuścić? – Skończywszy malować rzęsy na prawym oku, przeniosłam szczoteczkę z tuszem do drugiego. – Co odpuścić?

–Kwestię Marielli i Gracie.

Odwróciłam się do niego.

–Nie rozumiem, o co ci chodzi – rzekłam, choć w głębi duszy obawiałam się, że dobrze wiem, co ma na myśli.

–Może powinniśmy poprzestać na odwiedzinach raz do roku i wysyłaniu prezentów gwiazdkowych oraz urodzinowych?

–Ale dlaczego? – spytałam wstrząśnięta. Przecież od lat ciułałiśmy pieniądze z myślą o tym, aby stać się częścią ich życia, a nie wycofać się z niego.

–Miesząy im w głowach. – Tolliver podszedł bliżej i położył mi rękę na ramieniu. – Dziewczynki mają problemy, ale chyba lepiej sobie z nimi poradzą pod opieką Iony niż przy nas. Nie możemy dać im stałej opieki. Ciągłe jesteśmy w podróży, Iona i Hank są odpowiedzialni, nie piją, nie biorą prochów. Prowadzą dziewczynki do kościoła i pilnują, żeby chodziły do szkoły.

–Mówisz poważnie? – upewniłam się, dobrze wiedząc, że Tolliver nigdy nie żartuje na tematy związane z rodziną. Czulałam się ogłuszona. – Nigdy nie brałam pod uwagę odebrania im dziewczynek, nawet jeśli udałoby nam się przeprowadzić to prawnie. Naprawdę uważasz, że powinniśmy nawet ograniczyć wizyty do minimum? Jeszcze bardziej niż teraz?

–Tak. Tak uważam.

–Ale dlaczego?

–Cóż, po pierwsze wpadamy tu rzadko i nieregularnie, a poza tym na krótko. Zabieramy je gdzieś, pokazujemy coś nowego, próbujemy zainteresować rzeczami, które nie są częścią ich codziennego życia, a potem znikamy, zostawiając, hm... ich „rodzicom” radzenie sobie z efektami tego wszystkiego.

–Efektami? Jakimi efektami? Mówisz, jakbyśmy byli jakimiś złymi wrózkami chrzestnymi. – Staralam się powściągnąć gniew.

–Ostatnim razem Iona powiedziała mi, pamiętasz, zabrałaś wtedy dziewczynki do kina, że jej i Hankowi trzeba tygodnia ciężkiej pracy, aby wszystko wróciło do normy po naszej wizycie.

–Ale... – zająknęłam się, nie wiedząc, od czego zacząć. Potrząsnęłam głową, zbierając myśli. – Znaczą, że mamy się usunąć, bo tak jest wygodniej Ionie? Przecież dziewczynki są naszymi siostrami. Kochamy je. Muszą wiedzieć, że świat nie kończy się na Ionie i Hanku – pod koniec mówiłam już podniesionym głosem.

Tolliver przysiadł na krawędzi wanny.

–Harper, Iona i Hank je wychowują. Nie musieli się tego podejmować, gdyby nie oni, dziewczynkami zajęłyby się odpowiednie służby. Jestem pewien, że opieka prędzej umieściłaby je w rodzinie zastępczej, niż oddała nam. Mieliśmy szczęście, że Iona i Hank zdecydowali się dać im szansę. Są starsi niż przeciętni rodzice dzieci w takim wieku. I owszem, są surowi, ale to dlatego, że boją się, żeby dziewczynki nie powtórzyły błędów naszych rodziców. Ale zaadoptowali Mariellę i Gracie, są ich rodzicami.

Otworzyłam usta, ale zamknęłam je natychmiast. Miałam wrażenie, jakby w umyśle Tollivera pękła jakaś tama i przez usta wylewały się teraz myśli, których istnienia nigdy wcześniej nie podejrzewałam.

–Fakt, nie mają zbyt szerokich horyzontów – ciągnął. – Ale to oni dzień w dzień zmagają się z problemami dziewczynek. Chodzą na wywiady, na spotkania z dyrektorem, dbają o szczepienia, a w razie choroby zabierają do lekarza. Pilnują pór spania i nauki. Kupują im ubrania. Placą za ortodontę i tak dalej. – Wzruszył ramionami. – My nie możemy im tego zapewnić.

–To co, twoim zdaniem, powinniśmy robić? Zrezygnować ze wszystkiego, co do tej pory robiliśmy? – Wyszłam z łazienki i usiadłam na niezasłanym łóżku.

Tolliver przyszedł za mną i usiadł obok. Podciągnęłam kolana pod brodę, obejmując nogi ramionami.

Powstrzymywałam cisnące się do oczu łzy. – Mamy porzucić siostry? Jediną rodzinę, jaka nam została? – Nie brałam pod uwagę ojca Tollivera, człowieka, który miesiące temu przepadł bez wieści.

Tolliver przykucnął przede mną.

–Myślę, że powinniśmy odwiedzać je przy okazji świąt, urodzin i innych tego rodzaju okazji... przewidywalnych. Planować pod tym kątem trasy. Bywać u nich góra dwa razy do roku. I chyba powinniśmy też zwracać baczniejszą uwagę na to, co mówimy przy dziewczynkach. Gracie ponoć wypaplała Ionie, że ona twoim zdaniem jest skostniała. Choć w jej wersji wyszła „koścista”.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

–No dobra, tu masz rację. Nie powinniśmy dyskredytować przed dziewczynkami ludzi, którzy je wychowują. To nie w porządku. Myślałam, że się kontroluję.

–Na pewno się starasz. – Uśmiechnął się lekko. – Ale to nie kwestia słów, a raczej wyrazu twarzy. Przynajmniej zazwyczaj.

–Okej, łapię. Myślałam, że przeprowadzając się tutaj, nawiążemy bliższe kontakty. Może nawet udałoby nam się rozbić ten mur pomiędzy nami a wujostwem. Widywalibyśmy dziewczynki częściej, a dzięki temu zrobiłoby się zwyczajniej. Może czasem spędzałyby z nami weekendy, Iona i Hank pewnie też chcieliby trochę czasu dla siebie.

Tolliver zestawiał mój scenariusz z własnymi przemyśleniami.

–Naprawdę sądzisz, że Iona przekonałaby się do nas? Teraz, kiedy jesteśmy razem?

Zamilkłam. Nasz związek zaszokowałby ciotkę i wuja – delikatnie rzecz ujmując. Mogłam to nawet zrozumieć. W końcu jako nastolatki dorastaliśmy z Tolliverem w jednej rodzinie. Mieszkaliśmy pod jednym dachem. Moja matka była żoną jego ojca. Przez lata uchodziliśmy za rodzeństwo. Nawet teraz, z przyzwyczajenia, czasem myślałam o nim jak o bracie. Choć nie łączyło nas pokrewieństwo, z punktu widzenia osoby z zewnątrz nasz związek romantyczny miał w sobie pewien niezdrowy element. Nie byliśmy głupi, zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

–No, nie wiem... – sprzeciwiłam się dla samego oponowania. – Może by to zaakceptowali. – Sama w to nie wierzyłam.

–Sama w to nie wierzysz – skwitował Tolliver. – Wiesz dobrze, że Iona i Hank by się wściekli.

Wściekłość Iony oznaczała boskie gromy. Jeśli Iona uważała, że coś jest wątpliwe moralnie, Bóg uważał tak samo. A to Bóg poprzez osobę Iony rządził w tamtym domu.

–Ale przecież nie możemy ukrywać przed nimi charakteru naszego związku – rzekłam bezsilnie.

–Na pewno nie powinniśmy i nie będziemy. Powiemy im, a potem będziemy czekać, jak się sprawy potoczą.

Postanowiłam zmienić temat, ponieważ potrzebowałam czasu na przemyślenie tego, o czym dyskutowaliśmy.

–A kiedy zobaczymy się z Markiem? – Markiem, czyli starszym bratem Tollivera.

–Jesteśmy umówieni na jutro wieczór w Texas Roadhouse.

–To świetnie. – Udało mi się wykrzesać uśmiech, choć słaby. Lubiałam Marka, mimo że nie byłam z nim tak związana, jak z Tolliverem. Dbał o nas zawsze, na tyle, na ile mógł. Nie przy każdej wizycie w Teksasie udawało nam się zobaczyć z Markiem, więc naprawdę się cieszyłam, że znajdzie czas, aby zjeść z nami kolację. – A dzisiaj mamy w planach krótką wizytę u Iony, tak? No, to zobaczymy, jak będzie. Idziemy na żywioł?

–Idziemy na żywioł – potwierdził Tolliver i uśmiechnęliśmy się do siebie. Staralam się nadal uśmiechać podczas jazdy do Garland, gdzie mieszkały nasze siostry. Choć dzień był piękny, nie miałam pogodnego nastroju, Iona Gorham (z domu Howe) dążyła do tego, aby stać się jak najbardziej antylaurelowa. Laurel Howe Connelly Lang, moja matka, starsza prawie o dekadę od siostry, jako młoda dziewczyna była atrakcyjna, lubiana i towarzyska. Świetnie się uczyła i poszła na studia prawnicze. Tam poznała Cliffa Connelly'ego, swego przyszłego męża i mojego ojca. Matka była trochę szalona, może nawet bardziej niż trochę, ale ambitna i odnosiła sukcesy.

Iona w rywalizacji z siostrą postawiła na kontrast, podążając drogą „słodkiej i religijnej”.

Patrzając na jej twarz, kiedy otworzyła nam drzwi, zastanawiałam się, kiedy ta słodycz obróciła się w gorzycz, Iona zawsze robiła wrażenie rozczarowanej.

Tym razem jednak miała odrobinę mniej kwaśną minę. Ciekawe dlaczego. Zwykle nasza wizyta wykrzywiała jej oblicze jak po zjedzeniu niedojrzałej cytryny. Nie przekroczyła czterdziestki, ale trudno było określić jej wiek po wyglądzie.

–No, proszę, wejdźcie – powitała nas, odsuwając się zapraszająco.

Za każdym razem odnosiłam wrażenie, że wpuszcza nas do domu z musu i najchętniej zatrzasnęłaby nam drzwi przed nosem. Jedyne podobieństwo fizyczne, jakie łączy mnie z ciotką, to kolor oczu. Iona jest niższa ode mnie, okrągłutka, a jej jasnobrązowe włosy, nieco już spłowiałe, powoli siwieją, choć w ładny sposób.

–Co u ciebie? – zagaił Tolliver przyjaźnie.

–Fantastycznie – odparła Iona, przyprowadzając nas o opad szczęki. W życiu nie słyszeliśmy z jej ust czegoś podobnego. – U Hanka odzywa się artretyzm – ciągnęła, ślepa na naszą reakcję – ale, Bogu dzięki, wstaje i chodzi do pracy. – Iona pracowała na pół etatu w Sam's Club, zaś Hank pełnił funkcję kierownika działu mięsnego w dużym oddziale Wal-Marta.

–A jak w szkole u dziewczynek? – zadałam nieśmiertelne pytanie awaryjne. Nie patrzyłam na Tollivera, wiedząc, że jest równie jak ja zbity z tropu, Iona zaprowadziła nas do kuchni, gdzie zwykle rozmawialiśmy. W salonie przyjmowała tylko prawdziwych gości.

–Mariella radzi sobie całkiem nieźle. Jest typem średniaka – odparła. – A Gracie, jak zwykle, zawsze trochę w tyle. Kawy? Nastawiłam czajnik.

–Chętnie, czarną proszę – rzekłam.

–Pamiętam – zauważyła nieco ostrzej, jakby urażona insynuacją, jakoby była złą gospodynią. To brzmiało bardziej typowo, jak Iona, i od razu się trochę uspokoiłam.

–A ja z cukrem – zaznaczył Tolliver i kiedy ciotka odwróciła się do nas plecami, spojrział na mnie, unosząc brwi. Iona zachowywała się naprawdę dziwnie.

Szybko stanął przed nim parujący kubek, cukiernica, łyżeczka i serwetka. Ja dostałam swoją kawę jako druga, Iona napełniła dla siebie trzecie naczynie, po czym usiadła najbliżej czajnika w pozycji, która wskazywała, jak to bardzo jest zmęczona. Przez chwilę nie odzywała się, jakby intensywnie nad czymś myślała. Na środku okrągłego stołu kuchennego leżała sterta poczty. Odruchowo odczytałam druki. Rachunek telefoniczny, rachunek z kablówki i koperta, z której wystawał fragment zapisanej odręcznie kartki. Pismo wydało mi się nieprzyjemnie znajome.

–Jestem wykończona – przerwała wreszcie milczenie Iona. – Sześć godzin na nogach. –

Miała na sobie spodnie, koszulkę i sportowe buty. Nigdy nie przywiązywała wagi do stroju, w przeciwieństwie do mojej matki, która cenila elegancję, przynajmniej dopóki całej uwagi nie skierowała na narkotyki i ich pozyskiwanie. Nieoczekiwanie odezwało się we mnie współczucie dla Iony.

–Pewnie masz obolałe nogi – rzekłam, ale nie słuchała.

–O, idą dziewczynki – powiedziała, nim rozpoznałam znajome odgłosy kroków przed garażem. Siostry wpadły do domu, rzucając plecaki pod wieszak, i zatrzymały się, żeby ustawić pod nim zdjęte buty. Ciekawe, ile ciotce zajęło wypracowanie w nich tego nawyku.

W następnej chwili pochłonęło mnie przyglądanie się dziewczynkom. Za każdym razem, kiedy je widziałam, wydawały się inne. Potrzebowałam chwili, aby zarejestrować te zmiany. Gracie jest ponad trzy lata młodsza od dwunastoletniej Marielli.

Zaskoczył je nasz widok, ale nie jakoś wybitnie. Nie miałam pojęcia, czy ciotka uprzedziła je o naszym przyjeździe. Dziewczynki objęły nas obowiązkowo, ale bez entuzjazmu. Trudno się było dziwić temu dystansowi, skoro Iona poświęcała tyle energii, aby przekonać je o tym, że jesteśmy im zbędni, o ile nie po prostu źli. Ponieważ siostry nie pamiętały Cameron, pewnie też inne wspomnienia wspólnego mieszkania w przyczepie zbladły lub zatarły się całkowicie.

Miałam taką nadzieję, dla ich dobra.

Mariella zaczynała przypominać bardziej dziewczynę niż worek mąki. Miała brązowe włosy i oczy, zaś kwadratową sylwetkę odziedziczyła po ojcu.

Gracie zawsze była trochę za mała jak na swój wiek i bardziej humorzasta od siostry. Pocałowała mnie z własnej woli, co zdarzyło się po raz pierwszy.

Ciężko nam szło przelamywanie lodów z naszymi siostrami. Odbudowa i tak wątłych więzi z przeszłości to żmudna praca. Usiadły przy stole z nami i kobietą, która była dla nich matką, odpowiadały na pytania i grzecznie ucieszyły się z prezentów.

Staraliśmy się zachęcić je do czytania, przynosząc im książki – artykuł nieobecny wcześniej w domu Gorhamów. Ale oprócz tego dostawały od nas ozdoby do włosów, jakieś świecidelka lub inne dziewczynskie drobiazgi. Trudno było mi nie rozpromienić się jak słońce, kiedy Mariella wykrzyknęła szczerze:

–Och, czytałam już dwie książki tej autorki! Dziękuję!

Miło było patrzeć na jej radość.

Gracie milczała, ale uśmiechała się do nas. To bardzo znaczące, bo nie była skora do uśmiechów. Różniła się od siostry, ale tak samo mnie i Cameron nie łączyło szczególne podobieństwo fizjonomii. Gracie przypominała skrzata. Miała zielonkawe oczy, długie, cienkie,

jasne włosy, zadarty nosek i małe kształtne usta.

Pewnie nie znam się za bardzo na dzieciach, ale choć to może brzmieć nieładnie, darzyłam Gracie większym zainteresowaniem. Z tego, co wiem, nawet matki w sekrecie faworyzują niektóre dzieci. Na pewno tego po sobie nie pokazywałam. Zawsze czekałam na jakąś żywszą reakcję ze strony Marielli i naprawdę uradował mnie jej zachwyt nad książką.

Jeśli Mariella okaże się zapaloną czytelniczką, łatwiej będzie mi znaleźć z nią wspólny język.

Gracie miała kłopoty ze zdrowiem, podobnie jak ja. Dzieliłyśmy słabość fizyczną, u której podstaw w moim przypadku leżało porażenie piorunem. Gracie z kolei cierpiała na dolegliwości dróg oddechowych.

–Czy jesteś złą kobietą, ciociu Harper? – wyrwała się Gracie ni stąd, ni zowąd.

Zwracanie się do mnie per „ciociu” było pomysłem Iony, która uznała, że jest między nami zbyt duża różnica wieku, by mówić sobie po imieniu. Ale nie to mnie ogłuszyło.

–Staram się postępować dobrze – odpowiedziałam, żeby zyskać trochę czasu na zrozumienie możliwych przyczyn tego pytania.

Ionę nagle pochłonęła całkowicie kawa, którą zaczęła mieszać intensywnie i nieustająco. Czulałam, jak usta mi drętwieją z gniewu i wysiłku powstrzymania niemilego komentarza. Po chwili stało się jasne, że ciotka nie zamierza brać udziału w rozmowie, dlatego podjęłam sama.

–Nigdy nie oszukuję ludzi, dla których pracuję. Wierzę w Boga. – Choć zapewne nie tego samego, którego czciła Iona. – Ciężko pracuję, płacę podatki. Robię, co w mojej mocy, aby być dobrym człowiekiem. – To wszystko było prawdą.

–Bo jeśli bierze się pieniądze za coś, czego nie może się zrobić, to źle, prawda? – drażyła Gracie.

–Oczywiście – przejął pałeczkę Tolliver. – To się nazywa oszustwo. A czegoś takiego Harper nigdy by nie zrobiła. – Jego ciemne oczy świdrowały Ionę. Gracie także przeniosła spojrzenie na przybraną matkę. Byłam pewna, że widzą dwie różne osoby.

Iona nadal nie podnosiła wzroku znad kubka, pracowicie kręcąc w nim cholerną łyżeczką. Wchodząc w tym momencie do domu, Hank popisał się idealnym wyczuciem czasu. Mąż Iony, potężny mężczyzna o rumianej twarzy i rzednących, jasnych włosach, był za młodu bardzo przystojny, a i teraz, dobiegając czterdziestki, przyciągał wzrok. Nawet nie przytył za bardzo od ślubu.

–Harper, Tolliver! Jak miło was widzieć! Szkoda, że wpadacie tak rzadko.

Kłamca.

Ucałował Gracie w czubek głowy i pogładził Mariellę po policzku.

–Cześć, smyki – zwrócił się do nich. – Jak tam dzisiejsze dyktando, Mariello?

–Cześć, tata! – uśmiechnęła się zapytana. – Dostałam osiem punktów na dziesięć.

–Mądra dziewczynka – pochwalil ją Hank, nalewając sobie coli z dwulitrowej butelki.

Dorzucił do szklanki lodu i rozłożył dodatkowe krzesło, które stało oparte przy lodówce. – Jak ci poszło na chórze, Gracie?

–Fajnie. Wszyscy dobrze śpiewali – odparła dziewczynka, z wyraźną ulgą wracając na znany grunt tematyczny.

Jeśli Hank, wchodząc, wyczuł zwarzoną atmosferę, nie dał tego po sobie poznać.

–A jak tam u was? – zwrócił się do mnie. – Znalazłaś ostatnio jakieś fajne zwłoki? – Hank zawsze mówił o naszej pracy, jakby to był niezły żart.

Uśmiechnęłam się z przymusem.

–Niejedne – odparłam. Najwyraźniej nie czytywał gazet i nie oglądał wiadomości. Przez ostatni miesiąc wspomniano o mnie częściej, niżbym sobie życzyła.

–Gdzie bywaliście? – Życie na walizkach, jakie prowadziliśmy, uznawał Hank za równie zabawne jak rodzaj zleceń. Sam poza Teksasem był tylko podczas służby wojskowej i to doświadczenie należało do jego jedynych w kategorii podróżowania.

–Byliśmy w górach, w Północnej Karolinie – rzekł Tolliver. Spojrzał na wujostwo, sprawdzając, czy podchwycą aluzję do naszego ostatniego, najgłośniejszego zlecenia.

Nic z tego.

–Po drodze zboczyliśmy też do Clear Greek, a stamtąd przyjechaliśmy już tu, do Garland, żeby się z wami zobaczyć.

–Jakieś wielkie odkrycia, że tak powiem, grobowe? – Znów uśmieszek.

–Nie, ale inne wielkie nowiny owszem. – Dowcipkowanie Hanka wreszcie zirytowało Tollivera. Zawsze tak to się kończyło. Zawsze. Spojrzałam na Tollivera, który wpatrywał się intensywnie w Hanka.

Oho, pomyślałam.

–Znalazłeś sobie dziewczynę! Zamierzasz się ustatkować! – wykrzyknął Hank jowialnie.

Tolliverowe kawalerstwo było kolejnym ulubionym tematem żarcików wujostwa.

–Owszem – oświadczył Tolliver, a ja na widok uśmiechu na jego twarzy aż zamknęłam oczy. Był promienny i pewny.

–Słyszałyście, dziewczynki? Wujek Tolliver znalazł sobie narzeczoną. Co to za szczęściara, Tolku?

Tolliver nie znosił, jak ktoś zdrabniał w ten sposób jego imię.

–Harper – oznajmił i ujął moją dłoń. Zamarliśmy, czekając na reakcję.

–Twoja... – Iona o mało co nie powiedziała „siostra”, jednak w ostatniej chwili ugryzła się w język. – Ale... Jak to? Wy razem? – Spoglądała to na mnie, to na Tollivera. – To niewłaściwie – zaczęła z wahaniem. – Przecież jesteście...

–Niespokrewnieni – dokończyłam za nią z pogodnym uśmiechem.

Dziewczynki patrzyły na nas, dorosłych, nic nie rozumiejąc.

–Jesteś moją siostrą – odezwała się Mariella naraz.

–Tak – przyznałam łagodnie.

–A Tolliver bratem – ciągnęła pewnie.

–To prawda. Ale my nie jesteśmy rodzeństwem ani w ogóle krewnymi. Rozumiesz? Ja mam innych rodziców, a Tolliver innych.

–To znaczy, że się pobierzecie? – zapytała Gracie, nadal zdumiona, ale i ucieszona.

Tolliver spojrzał na mnie, uśmiechając się lekko.

–Taką mam nadzieję.

–Super! Mogę być na weselu? – trajkotała Mariella. – Moja przyjaciółka, Brianna, była na weselu siostry. Mogę założyć długą sukienkę? Mogę upiąć włosy? Mama Brianny pozwoliła jej użyć szminki.

Pożyczysz mi szminkę, mamó?

–Ale, Mariello, być może nie będziemy mieć wielkiego wesela – powściągałam jej entuzjazm, mogąc wręcz zagwarantować, że takiego nie będzie. – Niewykluczone, że pójdziemy tylko do urzędu. Pewnie nawet nie weźmiemy ślubu w kościele i nie będę miała długiej, białej sukni.

–Ale bez względu na rodzaj uroczystości jesteście zaproszone i możecie założyć, cokolwiek

zechcecie – zapewnił dziewczynki Tolliver.

–Na litość boską! – wtrąciła Iona, nie ukrywając zdegustowania. – Po co w ogóle jakiś ślub? A jeśli jest jakiś powód, uchowaj Boże, Mariella i Gracie na pewno nie będą w tym uczestniczyły!

–A czemu nie? – zapytał Tolliver głosem, w którym drgały niebezpieczne nuty. – Są naszą rodziną.

–To po prostu niewłaściwe – zawyrokował Hank z surową miną, podkreślając jeszcze ostateczny werdykt na temat naszego związku. – Wychowaliście się razem. To zbyt bliskie więzi, żeby je ignorować.

–Nie łączy nas pokrewieństwo – powtórzyłam. – Możemy się pobrać i zrobimy to. – W tej chwili uświadomiłam sobie, że wbrew postanowieniu dałam się wciągnąć w sprzeczkę. Tolliver uśmiechał się do mnie szeroko. Przymknęłam oczy.

Wychodziło na to, że Tolliver przed chwilą poprosił mnie o rękę, a ja przyjąłam jego oświadczenia.

–No cóż... – Iona wyduła usta w typowy, Ionowaty sposób. – My także mamy wieści.

–Tak? A cóż to za nowiny? – wykrzesalam z siebie zainteresowanie. Bardzo chciałam rozproszyć jakoś tę paskudną atmosferę, która sprawiała przykrość dziewczynkom. Uśmiechnęłam się do ciotki, żeby okazać gotowość do słuchania.

–Hank i ja będziemy mieli dziecko – ogłosiła Iona. – Dziewczynki będą miały siostrzyczkę lub braciszka.

Po krótkiej chwili intensywnych zmagani zamiast cisnącego się na usta „Po tylu latach?!” udało mi się wydukać:

–Och, to fantastycznie. Pewnie jesteście podekscytowane? – zwróciłam się do sióstr.

Tolliver uściśnął mi mocno rękę pod stołem. Nigdy nie braliśmy pod uwagę, że Iona i Hank mogą mieć własne dzieci i szczerze mówiąc, nawet nie zastanawiałam się, dlaczego dotychczas ich nie mieli. W zasadzie postrzegałam tych dwoje jedynie w kategoriach irytującej przeszkody stojącej na drodze naszych kontaktów z dziewczynkami. Mimo wszystko radzili sobie świetnie z codzienną opieką nad Mariella i Gracie, a to nie przelewki.

Pojęłam to wszystko w nagłym przeblysku i zrozumiałam, że nie możemy teraz wprowadzać zamieszania w stosunki pomiędzy wujostwem i dziewczynkami. Na twarzy Marielli dostrzegłam niepewność. Ani ona, ani Gracie nie potrzebowały teraz dodatkowych problemów. Obie starały się cieszyć z perspektywy powiększenia się rodziny, ale były wytrącone z równowagi. Współczułam im.

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego wieczoru właśnie wpisaliśmy się na listę oczekujących na stolik w Texas Roadhouse, kiedy przyszedł Mark. Po Marku i Tolliverze od razu widać, że są braćmi, obaj mają takie same kości policzkowe, podbródki i oczy, Mark jest niższy, bardziej krępy i (tę opinię zatrzymuję zawsze dla siebie) ani w połowie tak bystry jak Tolliver.

Jednak mam wiele wspaniałych wspomnień dotyczących Marka, zawsze bardzo go lubiłam. Robił, co w jego mocy, by chronić nas przed rodzicami. Nie żeby świadomie chcieli wyrządzić nam jakąś krzywdę... ale byli narkomanami. A uzależnieni zapominają, że są rodzicami, zapominają, że są małżeństwem. Są przede wszystkim narkomanami.

Mark, jako starszy, cierpiał jeszcze bardziej niż Tolliver, ponieważ większą część dzieciństwa miał normalnego ojca. Pamiętał wspólne wyprawy na ryby, na polowania, pamiętał, jak ojciec chodził na wywiadówki, kibicował mu podczas meczów i pomagał w lekcjach. Tolliver powiedział mi, że też ma część tych wspomnień, jednak bladły one podczas lat mieszkania w przyczepie, aż wreszcie cierpienie zdławiło iskrę, która je ożywiała.

Mark niedawno został kierownikiem w JCPenney. Musiał przyjść prosto z pracy, bo miał na sobie marynarskie spodnie oraz koszulę w paski z przypiętą do piersi plaketką z imieniem. Gdy dostrzegłam go wchodzącego do restauracji, miał zmęczoną twarz, ale rozpromienił się na nasz widok. Mark nosił teraz bardzo krótkie włosy i gładko się golił, a schludność ta przydawała mu powagi i autorytetu.

Bracia odprawili rytuał męskiego powitania z poklepywaniem się po plecach i kilkakrotnym powtarzaniem: „Jak się masz, chłopie”. Przeznaczony dla mnie uścisk był na szczęście mniej wylewny. Nie zdążyliśmy zamienić nawet słowa, kiedy zabrzączał dzwonek ogłaszający zwolnienie naszego stolika. Siedząc już na miejscu, z menu w dłoni, zapytałam Marka, jak mu idzie w pracy.

–Tegoroczne święta nie były szczególnie udane – odrzekł poważnie.

Zauważyłam, jakie ma białe, równe zęby, i poczułam przykrość ze względu na Tollivera. W przeciwieństwie do niego, Mark zdążył w odpowiednim czasie otrzymać standardową dla Amerykanów klasy średniej opiekę dentystyczną i ortodontyczną. Kiedy Tolliver był we właściwym wieku, aby mieć założony aparat i chodzić do dermatologa, staczający się rodzice już o to nie dbali. Odsunęłam od siebie nieusprawiedliwioną urazę. Mark po prostu miał szczęście i tyle.

–Sprzedaż nie była tak wysoka jak zwykle i wiosną trzeba będzie ciągnąć w górę – kontynuował Mark.

–A co się stało, że tak kiepsko poszło? – zapytał Tolliver, udając, że obchodzi go, dlaczego sklep nie przynosi odpowiednich dochodów.

Mark paplał o sklepie, swoich obowiązkach, a ja starałam się okazać zainteresowanie. Teraz miał lepszą posadę niż wcześniej, na stanowisku kierownika restauracji, przynajmniej jeśli chodzi o godziny pracy. Zapisał się do dwuletniej, wieczorowej szkoły pomaturalnej i skończył ją, uzyskując dyplom. Podziwiałam jego samozaparcie. Ani ja, ani Tolliver nie osiągnęliśmy takiego poziomu wykształcenia.

Udawałam, że słucham Marka, ale tak naprawdę myślami błądziłam gdzie indziej. Wspominałam dzień, w którym Mark znokautował jednego ze znajomków mamy, trzydziestoletniego faceta, który ostro przystawiał się do Cameron. Mark bez wahania stanął w obronie mojej siostry, mimo iż nie wiedział, czy natręt nie jest uzbrojony – a wielu gości rodziców nosiło przecież broń. Wspomnienie to ułatwiało mi przybranie miny szczerego zaangażowania w opowieść Marka.

Tolliver zadawał sensowne pytania. Może był zainteresowany tematem bardziej, niż mi się wydawało. Po raz setny zaczęłam się zastanawiać, czy Tolliver wolalby wieść stateczne, uregulowane życie zamiast takiego, jakie było naszym udziałem.

Doszłam do wniosku, że po wczorajszym dniu stłumił wiele swoich obaw. Od wujostwa wyszliśmy przygnębieni. Oboje byliśmy ogłuszeni wieściami. Bardzo staraliśmy się gratulować Ionie i Hankowi z odpowiednim entuzjazmem, ale miałam wrażenie, że nie brzmiało to wystarczająco przekonująco. Byliśmy wstrząśnięci ich reakcją na nasz związek i trudno przyszło nam wykrzesać z siebie radosną ekscytację ich szczęściem, skoro oni potraktowali nas w ten sposób.

Oczywiście dziewczynki wyczuły atmosferę nerwowości i gniewu. W ciągu zaledwie chwili zadowolenie naszą wizytą stopniało. Najpierw zaskoczone i skonfundowane, w końcu z niechęcią chłonęły wiszące w powietrzu negatywne emocje. Hank w pewnym momencie opuścił nas i udał się do swojego „gabineciku”, skąd zadzwonił do pastora, aby skonsultować z tym obcym człowiekiem kwestię naszego związku. Myślałam, że ze złości pęknie mi jakaś żyłka. Kiedy Tolliver, którego Hank zabrał ze sobą, wszedł do kuchni, na jego obliczu malowało się jednocześnie oburzenie i rozbawienie.

Od opuszczenia domu wujostwa nie rozmawialiśmy na temat ślubu, który zresztą wyskoczył jak diabeł z pudełka.

Dziwne, ale milczenie o tym nie było niezręczne. Poszliśmy na siłownię, pobiegaliśmy na bieżniach, a potem obejrzelśmy razem odcinek „Prawa i porządku”. Czuliśmy się dobrze we własnym towarzystwie, z ulgą przyjęliśmy, że nareszcie jesteśmy sami. Podczas ćwiczeń na bieżni uświadomiłam sobie, że po każdej wizycie u sióstr jesteśmy emocjonalnie wyęci. Wystarczył krótki pobyt w tym dusznym domu, abyśmy czuli potrzebę ucieczki, swobodnego odetchnięcia i orzeźwienia.

Zamartwiałam się nieprzyjemnymi stosunkami z ciotką, dopóki nie zrozumiałam, że tak naprawdę liczy się dla mnie tylko to, co jest pomiędzy mną a Tolliverem. No, oczywiście oprócz

tego zależało mi także na budowaniu pozytywnych relacji z siostrami.

Mimo to wczorajszego wieczoru nadchodziły momenty, gdy ogarniały mnie niemiłe myśli o nowej sytuacji w rodzinie wujostwa. Wiem, to może naiwne, ale wzdrygałam się za każdym razem na wspomnienie o ciąży Iony.

Przeżyłam dwie ciąży matki i nadal zdumiewało mnie, jakim cudem, biorąc pod uwagę jej tak zaawansowane uzależnienie, Gracie urodziła się w ogóle żywa, a w dodatku bez poważnych problemów umysłowych czy neurologicznych. Przy Marielli mama miała jeszcze na tyle silnej woli, by się powstrzymać od brania, ale przy Gracie... Gracie urodziła się słaba i sporo chorowała w ciągu pierwszych kilku lat życia.

Takie myśli pochłaniały mnie podczas ćwiczenia na bieżni. Później, kiedy musiałam sobie zrobić przerwę, zabrałam się za odkurzanie samochodu. Wzięłam ze sobą też torbę na śmieci. Kiedy spędza się tyle czasu w samochodzie, strasznie szybko robi się w nim bałagan. Wrzucając do torby puste kubki i stare paragony, odkurzając każdy zakamarek bagażnika, wciąż martwiłam się o Ionę. Z tego, co wiedziałam, była całkiem zdrowa, nigdy też nie piła i nie brała narkotyków. Jednak w tym wieku pierwsza ciąża zawsze wiąże się z pewnym zagrożeniem.

Podczas gdy część umysłu angażowałam w przypominanie sobie, czy gdzieś nieopodal widziałam stację wymiany oleju, drugą pracowałam intensywnie, próbując ukoić własne lęki. Powtarzałam sobie, że przecież obecnie wiele kobiet zwleka długo z decyzją o założeniu rodziny. Wcześniej pragnę zyskać bezpieczeństwo finansowe albo utrwalić związek na tyle, by stanowił dobre podwaliny dla pojawienia się dziecka. Problem w tym, że dobrze wiedziałam, z jak ogromnym wysiłkiem wiąże się opieka nad niemowlęciem. Może Iona będzie mogła rzucić pracę.

Markując zainteresowanie rozmową braci, sączyłam napój, który przyniosła mi kelnerka, i jeszcze raz odtwarzałam w myślach przebieg spotkania w kuchni Iony. Coś nie dawało mi spokoju, coś, co umknęło mi w eksplozji rodzinnych rewelacji.

Podczas męskiej dyskusji zgłębiającej tajniki sprzedaży detalicznej wróciłam myślami do poprzedniego popołudnia, mentalnie przyglądając się każdej z osób zgromadzonych przy kuchennym stole. Następnie przywołałam obraz blatu i przedmiotów na nim leżących. Wreszcie namierzyłam źródło niepokoju. Odczekałam, aż bracia dokończą wątki i zapadnie chwilowe milczenie, po czym oplotkami skierowałam rozmowę na interesującą mnie kwestię.

–Często widzisz się z dziewczynkami, Mark? – zapytałam.

–Nie – odparł, pochylając głowę w poczuciu winy. – To dość daleko ode mnie, a zwykle pracuję do późna. Poza tym Iona zawsze wzbudza we mnie wyrzuty sumienia z jakiegoś powodu. – Wzruszył ramionami. – Prawdę mówiąc, same dziewczynki też szczególnie ani mnie nie znają, ani nie darzą wielkim uczuciem.

Mark wyprowadził się z przyczepy natychmiast, jak tylko był w stanie sam się utrzymać.

Zgodziliśmy się, że tak będzie najlepiej dla wszystkich. Wpadał co jakiś czas, kiedy rodziców nie było lub leżeli nieprzytomni, i dostarczał nam zapasy jedzenia. Jednak to oznaczało, że nie przebywał z nami stale, gdy dziewczynki były małe i nie miał okazji nawiązać z nimi kontaktu. Siostrami zajmowali się głównie ja, Cameron i Tolliver. Czasami, gdy budziły mnie złe wspomnienia, nie mogłam zasnąć przerażona tym, co mogłoby się stać z dziewczynkami, gdyby nas przy nich nie było. Na szczęście wtedy były za małe, by przejmować się naszą sytuacją i dobrze, bo żadne dziecko nie powinno się troszczyć o coś takiego.

–Nie rozmawiałaś więc ostatnio z Iona? – Musiałam się skupić na tu i teraz.

–Nie, a co? – Mark spojrzał na mnie pytająco.

–Wiesz, że twój ojciec się do niej odezwał? – W końcu skojarzyłam charakter pisma na wystającym z koperty liście. Należał do mojego ojczyma. Mark byłby fatalnym pokerzystą. Na jego twarzy odbiło się straszne zakłopotanie. Nie mogłam się nie uśmiechnąć na widok ulgi, którą poczuł, kiedy kelnerka podeszła zebrać nasze zamówienia.

Ale uśmiech nie na długo gościł na moich ustach. Bałam się zerknąć na Tollivera.

Kiedy kelnerka odeszła, uczyniłam ręką gest zachęcający Marka do wyjaśnień.

–Hm, no tak, miałem wam o tym powiedzieć – rzekł, wbijając wzrok w sztucce.

–A kiedyż to zamierzałeś nam o tym powiedzieć, braciszku? – zapytał Tolliver z wymuszonym spokojem.

–Dostałem list od taty, jakieś dwa tygodnie temu – powiedział Mark. Nie, nie powiedział, wyznał, jak na spowiedzi. I czekał, aż Tolliver da mu rozgrzeszenie. Czego ten nie zamierzał robić. Oboje byliśmy pewni, że Mark odpisał, inaczej nie byłby tak skruszony.

–A więc ojciec żyje – stwierdził Tolliver i tylko mnie nie zwiodła pozorna neutralność w jego głosie.

–Tak, ma pracę. Jest czysty i trzeźwy, Tol.

Mark zawsze miał miękkie serce, jeśli chodzi o ojca. I zawsze wykazywał się w stosunku do niego straszną naiwnością.

–Kiedy Matthew wyszedł? – zapytałam, bo Tolliver najwyraźniej nie zamierzał reagować na nowiny Marka. Nigdy nie byłam w stanie nazywać Matthew Langa ojcem.

–Urn, jakiś miesiąc temu. – Mark nerwowo zrolował papierową opaskę spinającą sztucce i serwetkę.

Rozwinął ją i złożył ponownie, tym razem w formę kwadracika. – Wypuścili go za dobre

sprawowanie. Po tym, jak mu odpisałem, zadzwonił. Mówił, że chce odnowić kontakty z rodziną.

Nawet przez chwilę nie wątpiłam, że przy okazji mimochodem wspomni też o chceniu pieniędzy, a także miejsca, gdzie mógłby się zatrzymać. Ciekawe, czy Mark jest na tyle głupi, że mu uwierzył.

Tolliver milczał jak głaz.

–Kontaktował się z waszym wujkiem Paulem albo ciotką Miriam? – zapytałam, chcąc wypełnić przedłużające się chwile ciszy.

–Nie wiem. – Mark wzruszył ramionami. – Nie rozmawiałem z nimi.

W rzeczywistości nie byliśmy z Tolliverem i Markiem jedynymi dorosłymi członkami rodziny, ale to nie robiło absolutnie żadnej różnicy. Rodzeństwo Matthew Langa tylekroć zostało skrzywdzone przez brata i darzyło go taką odrazą, że całkiem się od niego odcięło. Niestety, zerwanie kontaktów dotyczyło także bratanków. Tolliver i Mark mogli zyskać z ich strony wiele wsparcia, naprawdę bardzo wiele, jednak pomoc dzieciom wiązała się ze stycznością z Matthew, który nie był w stanie działać ani myśleć sensownie i przerażał swoje spokojne rodzeństwo. W rezultacie Tolliver posiadał kuzynostwo, którego niemal nie znał.

Nie wiedziałam do końca, jaki ma stosunek do rejterady ciotki i wuja, ale fakt faktem, że nigdy nie próbował się z nimi skontaktować, nawet gdy ojciec siedział za kratkami. Chyba to mówiło samo za siebie.

–Co teraz porabia ojciec? – zapytał Tolliver ze złowrogim spokojem, ale panując jeszcze nad sobą.

–Pracuje w McDonalddie. W okienku dla kierowców. Albo na kuchni. Nie pamiętam.

Matthew Lang z pewnością nie był ani pierwszym, ani jedynym prawnikiem pozbawionym uprawnień, który wydawał hamburgery. Ale biorąc pod uwagę, że przez całe wspólne życie w przyczepie ani razu nie widziałam, żeby cokolwiek gotował – co najwyżej odgrzał coś kilka razy w mikrofalówce – czy też zmył choć jedno naczynie, jego obecne zajęcie zakrawało na farsę. Jednak nie na tyle zabawną, by wybuchnąć śmiechem.

–A co z twoim ojcem, Harper? – zapytał Mark. – Cliff, tak miał na imię, prawda? – Mark najwyraźniej uznał, że należy zaznaczyć, iż nie tylko Matthew był tu złym ojcem.

–Z tego, co wiem, ostatnio leżał w więziennym szpitalu. Ale nikt nie ma z nim żadnego kontaktu. – Wzruszyłam ramionami.

Mark wybałuszył oczy i machinalnie przesunął rękoma po blacie.

–Jak to, nie odwiedzasz go? – Wydawał się szczerze zdumiony moją bezwzględnością, co z kolei ja uznałam za rzecz zadziwiającą.

–Co? A niby z jakiej racji? On nigdy się o mnie nie troszczył, więc ja nie zamierzam troszczyć się o niego.

–A zanim zaczaś brać? Nie zapewniał ci domu, godnego życia?

Zrozumiałam, że nie chodzi tu wcale o mojego ojca, ale to nie umniejszyło mojej irytacji.

–Owszem. On i matka stworzyli nam dobry dom.

Ale kiedy zaczęli brać, przestałyśmy się dla nich liczyć.

Wiele dzieciaków było w gorszej sytuacji. Nie miały nawet starej przyczepy z łazienką o dziurawej podłodze. Nie miały rodzeństwa, które okazywałoby im wsparcie. Ale to i tak był dla nas koszmar. A potem, kiedy matka i ojciec Tollivera zaczęli sprowadzać swoich znajomych, zrobiło się jeszcze okropniej. Pamiętam, jak spędziliśmy noc, leżąc pod przyczepą, bo baliśmy się tego, co działo się w środku.

Wzdrygnęłam się. Żadnej litości.

–Skąd w ogóle wiedziałaś o tacie? – burknął Mark. Należał do osób, z których czytało się jak z otwartej książki. I nie ulegało wątpliwości, że nie lubił mnie w tej chwili.

–Zauważyłam list na stole u Iony. Nie od razu się zorientowałam, ale w końcu rozpoznałam jego pismo. Ciekawe, czemu w ogóle do niej pisał? Myślisz, że usiłuje przekonać Ionę, żeby pozwoliła mu się zobaczyć z dziewczynkami? Nie bardzo rozumiem po co.

–Może chce się spotkać ze SWOIMI córkami – rzekł Mark, zarumieniony ze złości.

Oboje z Tolliverem spojrzeliśmy na niego bez słowa.

–No dobra, dobra – westchnął Mark, pocierając twarz. – Macie rację, nie zasłużył, by się z nimi widzieć. Nie mam pojęcia, o co prosił Ionę. Spotkałem się z nim, mówił, że chce się zobaczyć z Tolliverem. Nie ma do niego adresu, więc nie może napisać.

–Nie bez powodu nie ma adresu – zauważył Tolliver.

–Znalazł stronę, gdzie ludzie dają na nią namiary. – Mark wskazał mnie brodą, jakbym siedziała po drugiej stronie sali. – Mówił, że ma adres mejlowy, ale nie chce się kontaktować z tobą przez jej stronę. Jakby był kimś obcym.

Kelnerka przyniosła zamówione dania, wykorzystaliśmy więc rytualne rozkładanie serwetek i doprowadzanie potraw, aby zyskać nieco czasu na ochłonięcie.

–Mark – zaczął w końcu Tolliver – czy twoim zdaniem jest jakiś powód, dla którego powinienem wpuścić tego człowieka do mojego życia? Do życia Harper?

–To nasz tata – upierał się Mark. – Jest naszą jedyną rodziną.

–Nieprawda – zaprzeczył Tolliver. – Rodziną jest Harper i jest tutaj, z nami.

–Ale ona nie jest NASZĄ rodziną. – Mark rzucił mi przepraszające spojrzenie.

–Jest MOJĄ rodziną – oświadczył Tolliver z mocą. Mark zamarł.

–Chcesz powiedzieć, że nie powinienem był was zostawiać w tej przyczepie? Że powinienem był z wami zostać? Że cię zawiodłem?

–Ależ skąd! – zaprzeczył Tolliver, zaskoczony. Wymieniliśmy szybkie spojrzenia. – Mówię tylko, że jesteśmy z Harper razem.

–Ona jest twoją siostrą przyrodnią.

–I moją dziewczyną – oświadczył Tolliver, a ja uśmiechnęłam się do sałatki. Określenie wydawało się bardzo nieadekwatne.

Mark przez chwilę gapił się na nas z otwartymi ustami.

–Co? To legalne? Kiedy to się stało? – zasypał nas pytaniami, kiedy odzyskał mowę.

–Niedawno, tak, całkiem, jesteśmy bardzo szczęśliwi, dzięki za gratulacje.

–Och, oczywiście, bardzo się cieszę – klepał Mark. – Dobrze, że macie siebie. – Jednak nie wyglądał na przekonanego. – Ale to trochę dziwne, nie? W końcu mieszkaliście razem, wychowywaliście się w jednym domu.

–Podobnie jak ty i Cameron – przypomniałam.

–Ale ja nigdy nie traktowałem Cameron w ten sposób – zaprzeczył.

–No dobrze – ustąpiłam. – Ale między nami jest inaczej. Nie było tak od początku, ale właśnie do tego doprowadziło. – Uśmiechnęłam się do Tollivera, przepelniona naraz ogromnym szczęściem. Odpowiedział uśmiechem. Krąg się zamknął.

–To co mam powiedzieć tacie? – drażył Mark z nutką desperacji w głosie. Nie wiem, jak wyobrażał sobie tę rozmowę, ale na pewno nie poszła po jego myśli.

–Chyba wyraziłem się jasno? Nie zamierzamy się z nim widywać – odparł Tolliver. – Nie chcę, żeby się ze mną kontaktował. Jeśli napisze na mejla, nie odpowiemy. Ten ostatni rok... Miałaś szczęście, że byłeś na tyle dorosły, by iść na swoje. Naprawdę się cieszę, że mogłeś

stamtąd odejść, Mark. Nigdy nie mieliśmy pretensji, że to zrobiłeś, uwierz. Nawet gdybyś został, nie zdołałbyś zapobiec temu, co się stało. Poza tym dbałeś o nas, przynosiłeś jedzenie, pieniądze, pomagałeś nam przetrwać. Dobrze, że choć jedno z nas miało normalniejsze życie. Nie zdołalibyśmy się utrzymać tylko z mojej pracy w Taco Bell.

–I naprawdę nie myślicie, że po prostu uciekłem? – upewnił się Mark, skupiając się intensywnie na krojeniu steku.

–Nie, uważam, że zrobiłeś to, by ratować siebie i dobrze zrobiłeś – zapewnił go Tolliver poważnie, odłożywszy widelec. – Naprawdę tak myślę. Harper również.

Kiwnęłam głową, choć nie sądziłam, żeby Mark potrzebował mojego zapewnienia. W rzeczywistości nigdy nie przeszło mi przez głowę, że mogłabym uważać inaczej.

Mark próbował się zaśmiać, ale próba ta wyszła dość żałośnie.

–Nie chciałem, żeby nasza rozmowa przybrała taki obrót – powiedział.

–Nie twoja wina. To przez pojawienie się twojego ojca – próbowałam go rozchmurzyć.

Z marnym efektem.

–Naprawdę ani razu nie odwiedziłaś swojego ojca? – Potrząsnął głową. Nie mógł pogodzić się z moim nastawieniem.

–Nie, czemu miałabym kłamać?

–Na co choruje?

–Nie mam pojęcia.

–Wie o śmierci twojej matki?

–Nie wiem.

–A o Cameron?

–Tak – odparłam po namyśle. – Reporterzy go znaleźli i zrobili z nim wywiad, kiedy zaginęła.

–I nigdy nie próbował się zobaczyć...

–Nie. Siedział w więzieniu. Napisał kilka listów.

Moi rodzice zastępczy przekazali mi je, ale nie odpisałam. Nie wiem, co się później z nim działo. Nie sądzę, żeby w jego życiu zaszły jakieś zmiany. Potem listy przestały przychodzić, nie miałam o nim żadnych wieści. Dopiero kiedy zachorował, napisał do mnie więzienny kapelan.

–A ty? Wtedy też nie odpisałaś?

–Nie, nie odpisałam. Mogę skubnąć trochę twoich batatów, Tolliver?

–Jasne – odparł, podsuwając mi swój talerz.

Zawsze je zamawiał, kiedy jedliśmy w Texas Roadhouse, a ja zawsze mu je podjadalam. Przelknęłam kęs. Nie smakował tak dobrze jak zwykle. Pomyślałam jednak, że to nie wina kucharza, a raczej Marka.

Mark potrząsał głową ze wzrokiem wbitym w talerz. Wreszcie podniósł głowę, ale spojrzał na Tollivera.

–Nie wiem, jak wy to robicie – przyznał. – Kiedy ojciec się do mnie odzywa, nie mogę tego zignorować. W końcu to mój TATA. Z mamą byłoby tak samo, gdyby żyła.

–Pewnie nie jesteśmy tak dobrymi ludźmi, jak ty – powiedziałam. Bo co innego mogłam rzec? – „Wykorzysta cię, wyciągnie każdego centa. Złamie dane słowo i ziarnie w tobie ducha”.

–Pewnie nie mieliście żadnych informacji od policji albo tego prywatnego detektywa od naszego ostatniego spotkania? – rzucił Mark.

–Nie odpuszczasz dzisiaj na żadnym froncie, co, Mark? – tym razem musiałam włożyć wiele wysiłku, żeby zabrzmiało to w miarę grzecznie.

–Musiałem zapytać. Ciągle mam nadzieję, że pewnego dnia czegoś się dowiemy.

Odeгнаłam gniew, bo czasem sama miałam taką nadzieję.

–Nie, nic nowego. Ale pewnego dnia ją znajdę. – Powtarzałam to od lat, ale na razie bezskutecznie. Jednak kiedyś, w najmniej spodziewanym momencie, choć na pewnej płaszczyźnie zawsze tego oczekiwałam, poczuję jej bliskość, tak jak czuję obecność innych zmarłych. Znajdę Cameron i dowiem się, co wydarzyło się tamtego dnia.

Wracała do domu sama, bo po lekcjach dekorowała salę na bal maturalny. W tamtych czasach ja byłam już osobą, która nie udzielała się społecznie. Zostałam porażona piorunem i skupiałam wysiłki na przywyknięciu do nowej siebie, pogodzeniu się ze swym przerażającym darem i powrocie do równowagi psychicznej. Kulalam, łatwo się męczyłam, a tamtego dnia dokuczał mi okropny ból głowy.

Wiosna zafundowała nam wtedy nagle ochłodzenie. Nocą temperatura spadła do pięciu stopni powyżej zera, po południu było niespełna szesnaście. Cameron ubrała się w czarne rajstopy, białą spódniczkę i biały golf. Wyglądała wspaniale. Nikt nie zgadłby, że wygrzebała te rzeczy w lumpeksie. Jej długie, jasne włosy były piękne i lśniące. Cameron miała piegi, których nie cierpiała. Moja siostra dawała nam siłę. To dzięki niej trzymaliśmy się razem.

Podczas gdy bracia kontynuowali rozmowę, ja starałam się wyobrazić sobie, jak Cameron wyglądałaby teraz. Czy nadal byłaby blondynką? Czy przytyłaby? Zawsze była niższa, drobniejsza ode mnie, miała szczuple ramiona i niezłomną wolę. Biegała i miała na tym polu pewne osiągnięcia, ale kiedy gazety nazywały ją po zaginięciu „królową bieżni”, zgodnie wywracaliśmy oczyma.

Cameron nie była święta. Znałam ją lepiej niż ktokolwiek inny. Dumna, bystra, potrafiła utrzymać sekret za wszelką cenę. W szkole ciężko pracowała. Czasem nasz upadek, obniżenie stopy życiowej wzbudzały w niej taki gniew, że aż krzyczała z wściekłości. Cameron nienawidziła naszej matki Laurel z ogromną pasją za to, że ta pociągnęła nas za sobą na dno, ale jednocześnie też kochała.

Nie znosiła Matthew, jej drugiego męża, a zarazem setnego partnera. W głębi duszy nie przestawała się ludzić, że ojciec wyjdzie z nałogu, będzie znowu taki jak przedtem i pewnego dnia stanie w progu obskurnej przyczepy, by nas stamtąd zabrać. Że znów będziemy mieszkać w normalnym domu, gdzie ktoś inny będzie prał nasze ubrania i gotował dla nas posiłki. Że ojciec znów będzie chodził na zebrania komitetu rodzicielskiego i podczas kolacji omawiał z nami plany wyboru uczelni.

Cameron pielęgnowała te szczęśliwe fantazje. Ale wyobraźnia podsuwała jej także mroczne obrazy. Pewnego ranka podczas drogi do szkoły zwierzyła mi się, że czasami marzy, by któryś z dilerów rodziców przyszedł podczas naszej nieobecności i zabił matkę oraz ojczyma. Po ich śmierci umieszczono by nas w dobrym domu zastępczym. Wtedy, po ukończeniu szkoły, każda z nas znalazłaby dobrą pracę, wynajęłybyśmy mieszkanie i poszły na studia.

Do tego momentu sięgały wizje Cameron. Zastanawiałam się, czy wyobrażała sobie też nasze późniejsze życie. Czy myślała, że znajdziemy sobie dobrych, zaradnych mężów i będziemy szczęśliwe po kres naszych dni? A może raczej, że będziemy mieszkać wspólnie w naszym skromnym, lecz zadbanym mieszkanku, nosić piękne stroje (nieodłączny element fantazji Cameron) i jeść wykwintne potrawy, które nauczymy się gotować.

–Kochanie? – głos Tollivera wyrwał mnie z rozmyślań. Spojrzałam na niego zaskoczona. Nigdy wcześniej tak się do mnie nie zwrócił. – Masz ochotę na deser?

Zauważyłam stojącą przy naszym stoliku kelnerkę, której przyklejony uśmiech wyraźnie wskazywał, że jest bardzo, bardzo cierpliwa.

Prawie nigdy nie jadam deserów.

–Dziękuję, nie – powiedziałam. Ku mojej irytacji Mark zamówił sobie ciasto, zaś Tolliver kawę do towarzystwa. Miałam ochotę już iść, wyrwać się stąd i z tych wszystkich wspomnień. Z westchnieniem poprawiłam się na krześle, przyjmując wygodniejszą pozycję.

Gdy Tolliver i Mark zagłębili się w dyskusję o komputerach, znów mogłam pogрузić się we własnych myślach.

Ale te krążyły tylko wokół Cameron.

ROZDZIAŁ TRZECI

Po powrocie do pokoju żadne z nas nie miało ochoty zaczynać rozmowy o Markowym przewrotnym odnowieniu kontaktów z ojcem.

Tolliver odpalił laptopa i wszedł na stronę, gdzie fani śledzili każdy mój krok. Nieustannie monitorował witrynę, obawiając się, że jakiś wariat może mnie zacząć prześladować. Ja omijałam to miejsce szerokim łukiem, ponieważ na forum jest wiele postów od mężczyzn, którzy opisują w nich, co chcieliby ze mną i mnie robić. To straszne, nie mówiąc o tym, że obleśne. Teraz na dodatek martwiłam się, że Matthew czyta to jednocześnie z Tolliverem. Na pewno będzie szukał sposobu, jak odnaleźć syna.

Zmartwienia wpędziły mnie w ból.

Przegrzebałam apteczkę w poszukiwaniu maści końskiej, którą nacierałam nogę. Właśnie prawa noga była miejscem, gdzie najdłużej utrzymywały się efekty porażenia. Zrzuciłam buty, zsunęłam spodnie i usiadłam na łóżku, rozciągając bolące mięśnie i prostując stawy. Moje udo pokrywa pajęczyna czerwonych linii, popękanych naczynek. Ślad pojawił w momencie uderzenia piorunem, kiedy miałam piętnaście lat. Wygląda to paskudnie.

W milczeniu nakładałam maść, mocno rozcierałam przykurczone mięśnie. Po kilku minutach intensywnego masażu poczułam ulgę. Opadłam na poduszkę, skupiając się na rozluźnianiu poszczególnych partii mięśni. Przymknęłam powieki.

–Wolę szukać ciała pod śniegiem niż rozmawiać z Iona i Hankiem – oświadczyłam. – A czasami z Markiem gada się wcale nie łatwiej.

–Wczoraj, kiedy byliśmy u Iony... – zaczął Tolliver i zawiesił głos. Kiedy podjął, ostrożnie dobierał słowa. – Kiedy poszłaś do łazienki, Hank wziął mnie na bok i zapytał, czy zrobiłem ci dziecko.

–Nie, nie wierzę.

–Ale to prawda. Zapytał. I to całkiem poważnie. Powiedział tak: „Musisz się z nią ożenić, jeśli wpędzisz ją w kłopoty, chłopcze. Daleś się złapać, musisz odsiedzieć swoje”.

–Cudowne postrzeżenie małżeństwa i ojcostwa.

–Cóż, to facet, który nazywa żonę swoją kulą u nogi – zaśmiał się Tolliver.

–Ze ślubem czy bez, zwisa mi to – palnęłam, nim zdałam sobie sprawę, jak nietaktownie to zabrzmiało. – Znaczy nie, wcale mi nie zwisa – poprawiłam pospiesznie. – To znaczy wiesz, kocham cię i wystarczy mi, że jesteśmy razem. Nie dbam o ślub. Kurczę, też fatalnie wyszło.

–Postąpimy, jak postąpimy, we właściwym czasie – rzekł Tolliver głosem ciężkim od

wyraźnej niepewności.

Najwyraźniej chciał tego małżeństwa. Dlaczego w takim razie nie powiedział wprost? Ukryłam twarz w dłoniach. Dziwne uczucie, bo wciąż mrowiły od maści.

Oczywiście, że wyjdę za Tollivera, tym bardziej jeśli dla niego to kwestia być albo nie być naszego związku. Zrobiłabym wszystko, żeby go przy sobie zatrzymać.

Niezbyt romantyczny wniosek. Leżałam, rozmyślając, wsłuchana w klikanie klawiatury laptopa. Umarłabym, gdyby mu się coś stało, pomyślałam. Zastanawiałam się, czy to znaczyłoby wiele dla Tollivera, a ile dla mnie.

Rozległo się pukanie. Zaskoczeni, spojrzeliśmy po sobie. Tolliver potrząsnął głową – nie spodziewał się nikogo. Podszedł do okna i uniósł odrobinę zasłonę.

–To Lizzy Joyce – powiedział, opuszczając ją. – Z siostrą. Katie, tak?

–Uhm. – Byłam tak samo zdumiona jak on. – Co, u diabła?

Wzruszyliśmy ramionami.

Tolliver, uznawszy, że nie są groźne i uzbrojone, wpuścił siostry do środka. Naciągnęłam pospiesznie spodnie i wstałam, aby się z nimi przywitać.

Można by pomyśleć, że nigdy nie widziały motelowego pokoju. Obie omiotły pomieszczenie niemal identycznymi, baczными spojrzeniami. Były do siebie podobne, Katie niższa i młodsza o jakieś dwa lata od siostry. Ale miały ten sam odcień włosów, wąski wykrój brązowych oczu i szczupłą budowę ciała. Obie nosiły dżinsy, wysokie buty oraz kurtki. Lizzy związała włosy w koński ogon na karku, zaś sprężyste kosmyki Katie splywały luźno na ramiona. Ich kolczyki, naszyjniki i pierścionki na oko wyceniłam na małą fortunę. (Po wizycie w sklepie podniosłam wycenę do dużej fortuny).

Katie błyszczącymi oczyma taksowała Tollivera. Entuzjazmu natomiast nie wzbudził w niej nasz dobytek: ubrania, krzyżówki, laptop i buty Tollivera, ustawione równo przy torbie.

–Witam – powiedziałam, starając się nadać głosowi przyjazne brzmienie. – W czym możemy pomóc?

–Chciałabym jeszcze raz usłyszeć, co widziała pani, stojąc na grobie Mariah Parish.

Potrzebowałam sekundy, żeby przypomnieć sobie, o kim mówi.

–Ach, opiekunka waszego ojca. Ta, która zmarła po porodzie. Zakażenie krwi.

–Tak, nie rozumiem, skąd się pani to wzięło. Ona zmarła w wyniku zapalenia wyrostka – rzekła Lizzy. W jej tonie pobrzmiwały nutki niezbyt wyraźnego wyzwania.

Na litość boską. Nie zamierzałam się o to sprzeczać.

–Jeśli pani chce to tak nazywać, proszę bardzo – zgodziłam się. Nie robiło mi to różnicy. Mariah Parish nie była w ogóle przedmiotem mojego zlecenia.

–Taka BYŁA przyczyna jej śmierci – upierała się Katie.

–W porządku. – Wzruszyłam ramionami.

–Co to za „w porządku”, do diabła? Tak czy nie?

Siostry nie zamierzały odpuścić.

–Możecie sobie wierzyć, w co chcecie. Ja powiedziałam, na co zmarła.

–Była porządną kobietą, dlaczego miałyby pani zmyślać coś takiego na jej temat?

–Właśnie, też nie widzę powodu, dla którego miałabym zmyślać cokolwiek. I co jest nieprzyzwoitego w urodzeniu dziecka?

–Więc kto był ojcem? – rzuciła Lizzy tak bezpośrednio, jak wcześniej pytała o przyczynę śmierci.

–Nie mam pojęcia.

–W takim razie... – Lizzy pogubiła się i umilkła.

Nie była kobietą nawykłą do gubienia się w czymkolwiek i nie podobało jej się to. – Czemu pani to powiedziała?

Musiałam powstrzymać się, by nie wywrócić oczyma.

–Bo to właśnie zobaczyłam. Przecież nie wymyśliłam sobie sama szukania grobu waszego dziadka. I starałam się uczciwie zarobić na zapłatę – rzekłam z przekąsem – więc chodziłam od grobu do grobu, tak jak oczekiwaliście.

–Wszystko inne, co pani powiedziała, zgadzało się – stwierdziła Katie.

–Wiem. – Czego się spodziewały, mojego zaskoczenia własną nieomylnością?

–To czemu to pani zmyśliła?

Ich upór zaczynał być nudny. Noga bolała mnie coraz bardziej i pragnęłam usiąść, ale jednocześnie nie chciałam, żeby one się rozsiadały, więc w imię przyzwoitości stałam nadal.

–Nie zmyśliłam. Wiercie sobie czy nie, mam to gdzieś.

–Ale gdzie jest dziecko?

–A skąd niby mam wiedzieć?! – Straciłam cierpliwość.

–Drogie panie – wtrącił się Tolliver w samą porę. – Moja siostra znajduje umarłych. Dziecka nie było w grobie, na którym stała. Albo więc dziecko żyje, albo pochowano je gdzie indziej. Albo też kobieta nie donosiła ciąży.

–Ale jeśli to dziecko dziadka, dziedziczy po nim, tak jak my – oświadczyła Lizzy i nagle jej zdenerwowanie stało się dla mnie zrozumiałe.

Do diabła z nimi. Ułożyłam się na łóżku, wyciągając nogę.

–Proszę, usiądźcie – zaproponowałam. – Może coli albo 7up?

Tolliver przysiadł na materacu, odstępując siostronom krzesła. Moja propozycja skorzystania z naszych zapasów napojów została przyjęta, a choć Katie zerkała na ekran laptopa, ciekawa, nad czym Tolliver pracował, obie siostry uspokoiły się nieco i przestały być tak napastliwe, co było dla mnie ulgą.

–Nie miałyśmy pojęcia, że Mariah była w ciąży – przyznała Lizzy. – Dlatego tak nami to wstrząsnęło. W ogóle nie wiedziałyśmy, że się z kimś spotyka. Byli blisko z dziadkiem, przyjaźnili się, dlatego mogłybyśmy podejrzewać, że było między nimi coś więcej. Ale niekoniecznie. Musimy to wiedzieć. Poza skutkami prawnymi i finansowymi mamy również i inne zobowiązania wobec dziecka, które przecież byłoby jednym z Joyce'ów... Chciałybyśmy je poznać. Mogę zapalić?

–Przykro mi, ale nie – powiedział Tolliver.

–Jeśli dziecko żyje, muszą być gdzieś ślady jego narodzin – zaczęłam. – A nawet gdyby urodziło się martwe, także i to znalazłoby się w karcie pacjenta. Trzeba tylko wiedzieć, kogo i o co pytać. Może powinniście wynająć prywatnego detektywa, kogoś, kto orientuje się w tego rodzaju poszukiwaniach. Ja umiem odnajdować tylko martwych.

–Dobry pomysł – zapaliła się Katie. – Znacie kogoś takiego?

–Tu, w Garland, nie, ale trochę dalej w stronę Dallas jest pewna kobieta – powiedział Tolliver. – Jest dobra w tym, co robi. Nazywa się Victoria Flores. Kiedyś była policjantką w Texarkanie. I przypadkiem wiem też o jednym bliżej was, byłym wojskowym. Z tego, co pamiętam, mieszka w Longview. Nazywa się Ray Phyfe.

–Poza tym w Dallas jest cała masa dużych agencji – tłumaczyłam, jakby same nie potrafiły do tego dojść.

–Nie chcemy żadnych dużych agencji – zaprotestowała Lizzy. – To musi być ktoś bardzo,

bardzo dyskretny.

Czegoś takiego się właśnie spodziewałam. Byłam ciekawa, dlaczego akurat nas proszą o polecenie detektywa. Imperium Joyce'ów, którego ranczo stanowiło tylko mały kawałek, na pewno korzystało w przeszłości z tego rodzaju usług. W normalnych okolicznościach pewnie zwróciłyby się do sprawdzonej agencji, która świadczyła usługi na poziomie, do jakiego przywykły.

W tej chwili jednak było mi obojętne, czego chcą i jak zamierzają to osiągnąć. Pragnęłam tylko łyknąć pigułki przeciwbólowe i wczolgać się pod koldrę. Lizzy rozmawiała z Tolliverem o Victorii Flores, a w końcu wzięła od niego numer do jej biura. Imię detektyw przywoływało wspomnienia.

–Naprawdę to pani widziała? – spytała Katie bez ogródek. – Nie robi nas pani w konia? Nikt nie zapłacił pani za wpuszczenie nas w maliny?

–Nie angażuję się w żadne wyglupy, można to sprawdzić. Nie biorę też pieniędzy za fałszywe orzeczenia. Oczywiście, że naprawdę to widziałam. To nie jest coś, co można zmyślić ot tak.

Lizzy zawłaszczyła sobie motelowy notes i długopis, leżące obok aparatu. Zapisała dane kontaktowe do Victorii Flores.

–Ostatnio zmieniła biuro – tłumaczył Tolliver – ale numer jest ten sam.

Spuściłam głowę, żeby ukryć zaskoczenie.

Padło jeszcze kilka zapewnień i powtórzeń tego, co już powiedzieliśmy, ale w końcu siostry Joyce wyszły z naszego pokoju. Zastanawiałam się, czy zdecydują się przenocować w Dallas, czy też wrócą na ranczo. Jeśli to drugie, czekała je długa droga. Przypuszczałam jednak, że raczej zostaną, choć zapewne w bardziej okazałym miejscu niż nasze. Może nawet miały w Dallas mieszkanie na takie okazje.

–No? – odezwałam się natychmiast po tym, jak za naszymi gośćmi zamknęły się drzwi, a Tolliver zasiadł znów do komputera. – Co z tą Flores?

Nic więcej nie musiałam mówić.

–Dzwonię do niej od czasu do czasu – wyjaśnił Tolliver. – Od czasu do czasu ma jakieś nowe tropy i sprawdza je. Wysyła mi rachunki. Płacę je. I tyle.

–A nie wspominałeś mi o tym, bo...? – Tak się tym przejmujesz. Nie było potrzeby, żeby cię informować. Kiedyś ci mówiłem o każdym jej telefonie, a ty się potem denerwowałaś. A i tak nic z tego nie wynikało. Teraz nie dzwoni już tak często, najwyżej raz, dwa razy do roku. Nie chciałem za każdym razem wzbudzać w tobie fałszywych nadziei. Odetchnęłam głęboko. Miałam ochotę rzucić się na niego z pięściami. To moja sprawa, jak reaguję na wieści

dotyczące mojej zaginionej siostry. Mam prawo przeżywać.

Ale zaraz przyszło mi do głowy coś innego. Rzeczywiście, z perspektywy Tollivera – czy naprawdę miałyby to jakiś sens? Czy nie było lepiej, że nie wiedziałam? Czy nie byłam spokojniejsza, szczęśliwsza, licząc na znalezienie Cameron na swój sposób? Czy to takie złe, oszczędzić trochę bólu, mimo że oznacza to niewiedzę w kwestii tak istotnej? Bardzo to wyszło zawile. Ale wiedziałam, o co mi chodzi, i rozumiałam decyzję Tollivera. I pomyślałam, że może miał rację. Przynajmniej w zakresie pobudek.

W końcu kiwnęłam głową. Ulżyło mu, bo napięcie widoczne w jego uniesionych ramionach natychmiast opadło. Usiadł na łóżku, zdjął skarpetki i rzucił je do torby na brudy, co przypomniało mi o konieczności zakupu proszku do prania.

Zanim byłam gotowa do snu, przewinęło mi się przez głowę jeszcze kilka takich nieistotnych myśli. Ostatnio czytałam powieści Charlie Huston i Duane'a Skwierczynskiego, ale działały na mnie jak spora dawka kofeiny, a dzisiaj nie potrzebowałam już żadnych podniet. Dlatego, zrezygnowawszy z czytania, sięgnęłam po krzyżówki. Przebrałam się w koszulkę i spodnie od piżamy, położyłam na brzuchu i przykryłam koldrą, zagłębiając się w rozwiązywanie. Tolliver jest w tym zdecydowanie lepszy i trudno było mi się powstrzymać od pytania go o coś co chwilę.

Kolejny ekscytujący wieczór z życia Harper Connelly, poszukiwaczki zwłok, pomyślałam. I sprawiło mi to szczerą przyjemność.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego dnia, w niedzielę, mieliśmy w planach zabranie Marielli i Gracie na wrotki, ale dopiero po drugiej. W soboty dziewczynki sprzątały swój pokój i śpiewały w chórze, zanim mogły gdzieś wyjść, a w niedziele najpierw szły do kościoła i jadły rodzinny lunch.

Zasady Iony były pod tym względem nienaruszalne. I dobrze, pomyślałam. Zrobiłam przebieżkę, wzięłam prysznic i właśnie zaczynałam się ubierać, gdy zadzwoniła komórka Tollivera. Wylegiwał się jeszcze w łóżku, więc odebrałam.

–Cześć, o, Harper?

Rozpoznałam ten głos.

–Tak, Tolliver jeszcze gnije w łóżku. Co u ciebie, Victoria?

Pradziadkowie Victorii byli imigrantami, ale ona sama urodziła się i wychowała w Teksasie. Mówiła zupełnie bez akcentu.

–Milo cię usłyszeć – powiedziała. – Nie, nie mam nic nowego o twojej siostrze, przykro mi. Dzwonię w sprawie tych klientek, które do mnie przysłaliście. Joyce'ów.

–Już zdążyły się z tobą skontaktować?

–Zdążyły nawet pojawić się w moim biurze i wypisać czek, słonko.

–To świetnie. Ale nie biorę za nie żadnej odpowiedzialności. To Tolliver im o tobie powiedział i dał namiar.

–Tak właśnie mówiła Lizzy. Rodowita Teksanka, nie? A ta jej siostra, Katie, chyba ma oko na twojego brata.

–Tolliver nie jest moim bratem – sprostowałam machinalnie, choć sama często tak go nazywałam. Odetchnęłam głęboko. – Właśnie się zaręczyliśmy – dodałam.

Tolliver przekręcił się na materacu, spoglądając na mnie bystro.

–Och... to... to wspaniale. Gratuluje. – Victoria nie była szczególnie zachwycona. Czyżby sama miała chrapkę na Tollivera? – Dajcie znać, kiedy ślub i gdzie, dobra? – rzekła już weselej.

–Jeszcze niczego nie zaplanowaliśmy. – Chwilowo wytrącona z równowagi, wzięłam się w garść, odzyskując twardy grunt. – Chcesz porozmawiać z Tolliverem? Jest przy mnie. – Tolliver co prawda kręcił głową, ale kiedy wyraziła chęć rozmowy z nim, ponuro przyjął słuchawkę.

–Cześć, Victorio. Nie, już nie spałem. Tak, jesteśmy razem. Nie, nie ustaliliśmy jeszcze daty, ale zrobimy to wkrótce. Nie spieszy się nam. – Skinął głową, patrząc mi znacząco w oczy.

W porządku, rozumiem. Żadnych nacisków z twojej strony. Jasne, tylko kto w ogóle zaczął z tym ślubem, i to jeszcze w dodatku przy Ionie? Odwróciłam się do niego plecami i pochyliłam, szukając w torbie jakichś ubrań.

Po chwili poczułam palec muskający wyjątkowo czule miejsce. Zamarłam. Seks-partyzantka. Coś nowego. Moje ciało uznało, że nie ma nic przeciwko, nie wywinęłam się więc od pieszczoty ani nie odtrąciłam ręki. A ręka ta poczyniała sobie coraz śmielej, poruszając się bardziej zdecydowanie i rytmicznie. Umm, tak. Zaczęłam kręcić biodrami. Naraz poczułam na plecach ciepło jego ciała. Nadal prowadził rozmowę, ale głos miał nieobecny.

–Uhm, słuchaj, oddzwonię za chwilę – powiedział wreszcie. – Mam drugi telefon.

Kłapka zamknęła się z cichym trzaskiem, a miejsce palców zajęło coś bardziej konkretnego.

–Gotowa? – szepnął chrapliwie.

–Umm... – mruknęłam i oparłam się rękoma o ścianę.

Natychmiast poczułam w sobie czubek jego wygiętego do góry członka i już po chwili zaczęliśmy się poruszać w zgranym rytmie.

Tolliver lubił mnie zaskakiwać.

Nie byłam szczególnie doświadczona, gdy nasza relacja przeniosła się na płaszczyznę erotyczną. Ale ciągle uczyłam się od niego czegoś nowego, a przy okazji poznawałam go z zupełnie innej strony. Przekonana, że znam go bardzo dobrze, nie przewidywałam wielkich niespodzianek. Nic bardziej mylnego.

Ostry dźwięk, który wyrwał mi się z gardła, zaskoczył mnie. Sekundę później podobny dobył się z ust Tollivera, niczym echo mojego.

–Jak sądzisz, czemu Victoria zadzwoniła? – zapytałam, odzyskawszy już głos. Gdy fala podniecenia opadła, zmęczeni runęliśmy na łóżko i teraz leżeliśmy wtuleni w siebie, absolutnie szczęśliwi. – Dziwne, jeśli chciała podziękować, wystarczył przecież mejl czy esemes. – Pocałowałam go w szyję.

–Zawsze ją fascynowałaś – rzekł Tolliver.

Niebywale.

–Och... Chcesz powiedzieć...?

–Nie, nie sądzę, żeby była les czy bi. Myślę, że twoje umiejętności i sposób, w jaki je

zyskałaś, są dla niej niezwykle ciekawe. Fascynujące. Przez te kilka lat zarzucała mnie setkami pytań na twój temat. W jaki sposób działa twój dar, jakie są twoje wrażenia podczas odczytów, co czujesz, jakie doznania fizyczne są twoim udziałem.

–Mnie nigdy o nic nie pytała.

–Mówiła, że nie chce, aby jej nadmierne zainteresowanie sprawiło, że poczujesz się jak jakieś dziwadło albo kaleka.

–Coś, jakbym jeździła na wózku albo miała znamię na twarzy? Coś, co by mnie krępowało?

–Myślę, że w ten sposób okazuje, że liczy się z twoimi uczuciami, nie chce cię zranić czy wprawić w zakłopotanie. Mam wrażenie, że jesteś obiektem jej wielkiego podziwu. – Tolliver powiedział to odrobinę strofująco, na co pewnie zasługiwałam. W końcu Victoria starała się być wobec mnie taktowna, a ja traktowałam jej wysiłki z podejrzliwością i dyskredytującym nastawieniem.

–Nie, no, w porządku. Tylko dziwi mnie, że skoro tak ją to pasjonuje, nie próbuje czerpać informacji u źródła. – To była aluzja, że może tak żywe zainteresowanie Victorii opiera się w głównej mierze na potrzebie posiadania pretekstu do rozmów z Tolliverem.

–Może i słusznie powątpiewasz – przyznał, uwiarygodniając moje domysły. – Choć nie sądzę, żeby kiedykolwiek była zainteresowana mną. Zawsze chodziło o ciebie. Moim zdaniem to ona ma skłonności do mistycyzmu. A twoje zdolności są dla niej jak objawienie.

–Jakby ujrzała Matkę Boską na toście albo coś w tym stylu?

–Coś w tym stylu.

–Ha! – Coś mi przyszło do głowy. – W takim razie powinna kiedyś jechać z nami na cmentarz. Zobaczyć to na własne oczy. Pomaga nam przecież od tylu lat. A mnie to nie będzie przeszkadzało.

Tym razem nadeszła kolej na zdumienie Tollivera.

–No dobrze, powiem jej to. Jestem pewien, że będzie zachwycona.

Potarł policzkiem czubek mojej głowy. Musnęłam kciukiem jego sutek. Jęknął z rozkoszy. Wiedziałam, że powinnam już wstać, wziąć prysznic i zacząć się ubierać, bo niedługo mieliśmy się spotkać z dziewczynkami, ale ociągałam się. Jeszcze było wcześnie. Usiłowałam wyobrazić sobie wspólną wizytę na cmentarzu. Mogliśmy zabrać Victorię ot tak, nie przy okazji zlecenia. Wiem, że to może zabrzmieć dziwnie, ale chodziłam na cmentarze także wtedy, gdy nie wiązało się to z pracą. Żeby nie wyjść z wprawy. Żeby doskonalić moją dziwną umiejętność.

Robienie tego przy Victorii byłoby nowością, zwykle unikałam widowni. Ale jej obecność na

pewno nie będzie mi przeszkadzała.

–Pewnie świetnie umie posługiwać się komputerem – zauważyłam. – Teraz to chyba podstawowe narzędzie pracy detektywa?

–Nadal mówimy o Victorii? Tak, pewnie masz rację. Nawet wspominała kiedyś, że zatrudnia czasem informatyka.

Leżałam pogrążona w rozmyślaniach, podczas gdy Tolliver brał prysznic i ubierał się do wyjścia. Victoria Flores wzbudziła nagle moje zainteresowanie. Ciekawe, czy uda jej się dowiedzieć czegoś o dziecku. Przecież nawet nie mieliśmy pewności, czy ono istnieje. To, czy Mariah Parish urodziła żywe czy martwe dziecko, nie powinno mnie w ogóle obchodzić, jednak cała ta sprawa z Joyce'ami szczerze mnie zaintrygowała. Podejrzywałam, że to nie Richard może być ojcem. Z drugiej strony, skoro siostry tak szybko uznały, że dziadek mógł mieć dziecko z opiekunką, może i miały rację. Ale ani Lizzy, ani Katie nie widziały tego co ja, kiedy mówiłam o przyczynie śmierci Mariah. Patrzyłam wtedy na mężczyzn, brata oraz partnera jednej z nich. Obaj byli mocno wstrząśnięci moimi słowami. Nie wiem jednak z jakiego powodu i mogę się tego nigdy nie dowiedzieć. Ale Victoria miała na to realne szansę.

Może obaj sypiali z opiekunką. Możliwe że jeden z nich był ojcem dziecka. A może przeżywali to tak bardzo, bo oddali je do adopcji lub pomagali ukryć zwłoki.

Fakt, że sprawki Drexella nie powinny mnie obchodzić, a same poszukiwania dziecka nie leżały w zakresie moich obowiązków czy możliwości... chyba że niemowlę było martwe. Zastanawiałam się, czy nie zaproponować Victorii pomocy w odnalezieniu ciała. Ale niemowlęta były zawsze największym wyzwaniem. Miały bardzo słabe głosiki. Wyraźniej dawały o sobie znać, gdy leżały pochowane z rodzicami.

Porzuciłam rozważania na temat hipotetycznej śmierci hipotetycznego dziecka na rzecz przygotowań do spotkania z żywymi dziećmi.

Dziewczynki przypadły do naszego samochodu, gdy tylko przystanęliśmy na podjeździe. Wyglądały na uszczęśliwione i podekscytowane perspektywą popołudniowej rozrywki.

–Dostałam piątkę z ortografii – paplała Gracie. Tolliver pochwalił ją, ja także wyraziłam radość z jej osiągnięć, ale odwróciwszy głowę, zauważyłam, że siedząca z tyłu Mariella jest jakaś cicha i bez humoru.

–Co jest, Mariello? – zagaiłam.

–Nic – skłamała.

–Mariella musi jutro zostać po lekcjach w kozie – wydała siostrę Gracie.

–A to czemu? – rzuciłam z wystudiowaną obojętnością.

–Dyrektor powiedział, że sprawiam kłopoty – przyznała się Mariella, nie patrząc mi w oczy.

–A to prawda?

–To przez Lindsay.

–Lindsay ją prześladowuje – klepała Gracie. – Nie można dać się zastraszać, prawda? To złe, tak? – Była przekonana o swej racji.

–Porozmawiamy o tym później – zakończyłam temat, chcąc przyhamować zapędy Gracie.

Mariella uspokoiła się nieco. Nie przywykłam do radzenia sobie z takimi problemami, nie miałam doświadczenia z dziećmi. Ale z własnej przeszłości pamiętałam, że coś takiego w tym wieku może wydawać się nieomal końcem świata.

Po wejściu na wrotkowisko Tolliver spojrział na mnie, unosząc brwi. Odpowiedziałam znaczącym skinieniem w stronę Gracie.

–Choć, Gracie – zareagował natychmiast. – Pójdziemy pożyczyć wrotki. – Wziął ją za rękę i poszli w stronę kontuaru.

Ruszyliśmy za nimi z Mariella, ale szliśmy po woli.

–No, opowiadaj – zachęciłam ją.

Tak jak podejrzewałam, nie stało nic poważnego. Lindsay powiedziała Marielli coś przykrego o adopcji i ojcu przestępcy. W odpowiedzi Mariella grzmotnęła ją w brzuch, co według mnie było jak najbardziej właściwą reakcją. Najwyraźniej jednak z punktu widzenia szkoły powinna raczej rozplakać się i poskarżyć nauczycielowi. Zdecydowanie popierałam rozwiązanie, które wybrała siostra. I tu pojawiał się dylemat. Czy powinnam iść za głosem serca czy Raczej poprzeć stanowisko szkoły? Może gdybym była rodzicem, wiedziałabym, co uczynić w tej sytuacji, nie pełniłam jednak tej godnej roli, musiałam więc poradzić sobie na wyczucie.

–Lindsay zachowała się naprawdę paskudnie – zaczęłam. – Nie odpowiadasz za to, co robi twój biologiczny ojciec.

Mariella kiwnęła głową, zaciskając szczęki. Nie potrafiłam oprzeć się skojarzeniu, w ten sam sposób czynił to Matthew.

–Tak powiedziałam dyrektorowi – rzekła Mariella. – Bo tak mówiła mama. Pewnie powinnam to powiedzieć Lindsay, zamiast ją bić. Ale była taka okropna.

Pomyślałam z uznaniem, że Iona nie zaniedbała przygotowania dziewczynek na okrucieństwo innych dzieci.

–Na twoim miejscu pewnie zrobiłabym to samo. Ale wiesz, bicie niczego nie rozwiązuje, za to można sobie tym napytać jeszcze więcej biedy.

–Czyli bicie jest złe?

–No, nie jest to najlepszy sposób na wyjście z sytuacji – kluczyłam. – Pomyśl, jak inaczej mogłabyś się zachować? – Ta droga wydawała się odpowiednio subtelna.

–Mogłam iść do nauczycielki – odparła Mariella. – Ale zawsze jak rozmawiam z nią o moim biologicznym ojcu, ona ma taką dziwną minę.

–No tak. – Hmm.

–Mogłam nic nie zrobić, ale wtedy Lindsay by nie przestała.

–Masz rację. – Mariella zaskakiwała mnie swoją wnikliwością. Chyba podobała jej się rozmowa z kimś, kto nie wmawiał jej, że Bóg rozwiąże wszelkie kłopoty.

–Mogłam... No, nie wiem. – Mariella zawiesiła głos, patrząc na mnie wyczekująco.

–Ja też nie bardzo wiem. Myślę, że działałaś po prostu pod wpływem impulsu i nie skończyło się to dla ciebie najlepiej. A co z Lindsay?

–Dostała karę. Za wyzywanie. Jutro nie będzie wychodzić na przerwy.

–To dobrze, prawda?

–Tak, ale lepiej by było, gdyby w ogóle nie zaczynała.

Ha. Mała wojowniczką.

–Fakt. Ale pamiętaj, to nie twoja wina, że ojciec zażywał narkotyki. Nie wszystkie dzieci to pojmują, nie wiedzą, jak to jest mieć rodziców, którzy źle postępują. Takie dzieci mają szczęście i nie rozumieją tak naprawdę, dlaczego nie chcesz o tym mówić. Wiedzą tylko, że sprawia ci to przykrość i kiedy chcą ci dokuczyć, wyciągają właśnie takie rzeczy. – Odetchnęłam głęboko. – My też przez to przechodziliśmy, Mariello. I ja, i Tolliver. Kiedy wy byliście jeszcze całkiem malutkie. Wszyscy w szkole wiedzieli, jacy są nasi rodzice.

–Nawet nauczyciele?

–No, może nie nauczyciele. Na pewno się czegoś domyślali. Ale dzieci wiedziały. Niektóre same dostarczały narkotyki naszym rodzicom.

–I też mówili wam takie rzeczy?

–Tak, niektórzy. A niektórzy uważali, że robimy to samo co rodzice. Narkotyki i tak dalej.

–Znaczą seks?

–Uhm. Ale to tylko te dzieciaki, które nas nie znały. Mieliśmy przyjaciół, którzy w to nie wierzyli.

Niezbyt wielu, ale jednak.

–Umawiałaś się na randki?

Ups! Przecież to jeszcze nie ten wiek? Chyba... Omal nie spanikowałam.

–Tak, chodziłam na randki. Ale nigdy z chłopakami, którzy myśleli, że będę z nimi od razu uprawiała seks. A taką ostrożnością zdobywasz sobie w końcu jakby odwrotną reputację, że jesteś...

–Cnotką? – podsunęła Mariella ze znanstwem.

–Nawet nie to. Bo „cnotka” tylko udaje, a tak naprawdę odda się byle chłopcu, który zdoła ją do tego namówić. Czegoś takiego nie można nawet brać pod uwagę. – Iona dostałaby apopleksji, słysząc tę rozmowę. Ale właśnie dlatego siostra poruszyła ten temat ze mną, a nie z nią.

–Ale wtedy nikt nie będzie się chciał z tobą umawiać.

Czysty koszmar.

–To niech się... wypchają – w ostatniej chwili powściągnęłam język. – Nie ma sensu umawiać się z chłopcem, który uważa, że jeśli będzie z tobą chodził wystarczająco długo, to mu ulegniesz.

–To po co mieliby się w ogóle umawiać? – Na twarzy dziewczynki odbiła się konsternacja.

Ja byłam w dużo gorszym stanie.

–Z sympatii, bo lubią przebywać w twoim towarzystwie. Bo śmiejecie się z tych samych rzeczy, macie wspólne zainteresowania. – Przynajmniej w teorii. Czy tak to właśnie działało w praktyce? I czy w ogóle coś takiego powinno zaprzętać głowę dziewczynki, ile... dwunastoletniej?

–Więc powinien być jakby przyjacielem.

–Zdecydowanie.

–Czy Tolliver jest twoim przyjacielem?

–Tak, najbliższym.

–Ale wy... No wiesz.

Nie mogła się przemóc, żeby ubrać to w słowa, za co byłam wdzięczna losowi.

–To bardzo intymna kwestia. Kiedy naprawdę się kogoś kocha, te sprawy są tak ważne, że nie chce się rozmawiać o nich z innymi.

–Aha – podsumowała Mariella z namysłem. Miałam nadzieję, że naprawdę to do niej dotarło i zastanawia się nad tym. Liczyłam, że nie palnęłam jakiejś kolosalnej bzdury. Najpierw wmawiałam jej, że nie powinna uprawiać seksu z chłopcem, z którym się umówi, a zaraz potem przyznałam, że sama to robię z Tolliverem. Dość sprzeczne rozumowanie.

Z ulgą ujrzałam Tollivera i Gracie, którzy czekali, aż do nich dołączymy. Przyspieszyłam kroku. Tolliver obrzucił mnie niepewnym spojrzeniem, za to Gracie była tylko zniecierpliwiona.

–No, chodźmy już na te wrotki. Chcę pojeździć!

Po wyjściu na tor pomogliśmy dziewczynkom dobrnąć do bandy, a upewniwszy się, że jakoś sobie radzą, zostawiliśmy je tam, żeby zrobić rundkę. Trzymając się za ręce, zaczęliśmy ostrożnie jechać w koło, powoli przypominając sobie umiejętność, z której tak dawno nie korzystaliśmy. Od dobrych ośmiu lat nie mieliśmy na nogach wrotek. Nieopodal naszych slumsów znajdowało się wrotkowisko, a ponieważ wtedy była to groszowa impreza, spędzaliśmy tam z Tolliverem całe godziny.

Objechaliśmy tor kilka razy i wróciliśmy do sióstr. Właśnie wyklócały się o to, która jest lepsza. Wzięłam Gracie za rękę, Tolliver zajął się Mariellą i ostrożnie włączyliśmy się do ruchu. Poruszałyśmy się bardzo wolno, mimo tego raz nie udało mi się zapobiec upadkowi Gracie. Za drugim razem podcięła mi nogi i gruchnęłyśmy razem. Ale i tak szybko nabierała wprawę.

Mariellą, która należała do pozaszkolnego klubu koszykarskiego, radziła sobie znacznie lepiej. Tak się chępiła swoimi umiejętnościami, że Tolliver musiał w końcu ją przystopować.

Roześmiani, schodziliśmy właśnie z toru, gdy zdałam sobie sprawę, że ktoś nas obserwuje. Wpatrywał się w nas siwy mężczyzna, około metra osiemdziesięciu wzrostu, starszy, ale atletycznej budowy, wręcz napakowany. Przesunęłam po nim wzrokiem, ale cofnęłam się i skupiłam na twarzy. Znałam go. Popatrzyłam prosto w jego szare oczy.

–Cześć, tato – rzekł Tolliver.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Siostry przyłgnęły do nas, wpatrzone w biologicznego ojca z (przynajmniej Gracie) mieszaniną nienawiści i tęsknoty. Mariellą była bardziej zdecydowana w swoich odczuciach, z jej oczu biła tylko wrogość, a niewielkie dłonie zacisnęła w pięści.

Ponieważ Matthew nie był moim ojcem, nie miałam takich dylematów.

–Witaj – powiedziałam. – Co tu robisz?

Tollivera i Mariellę wręcz pożerał oczami. Na mnie zerknął obojętnie. Gracie skuliła się za mną, uciekając przed jego spojrzeniem.

–Chciałem zobaczyć się z dziećmi – odparł. – Wszystkimi.

W zapadłym na chwilę milczeniu trawiłam fakt, że jego głos brzmiał wyraźnie. Może rzeczywiście, tak jak mówił Markowi, był czysty. Jednak wiedziałam, że nawet jeśli, powrót do nałogu jest tylko kwestią czasu.

–Ale my nie chcieliśmy widzieć się z tobą – Tolliver nie podniósł głosu. Odsunęliśmy się na bok, żeby nie torować drogi innym wrotkarzom. – Nie przyszło ci to do głowy, kiedy nie odpowiadaliśmy na listy? Mark ci nie przekazał naszej rozmowy? Przecież wysłałeś go, żeby wybadał grunt. Założę się też, że Iona nie dała ci zgody na spotkanie z dziewczynkami. A teraz ona i Hank są ich prawnymi opiekunami.

–Ale ja jestem ich prawdziwym ojcem.

–Zrzekłeś się praw rodzicielskich – przypomniałam, akcentując każde słowo.

–Zrobiłem to pod przymusem. – Wyciągnął rękę, jakby chciał pogłodzić Mariellę po głowie, ale ta zrobiła unik, wczepiając się w rękę brata, jakby był jej ostatnią deską ratunku.

Na wrotkowisku kłębił się tłum, ale po chwili ludzie zaczęli obrzucać naszą grupkę zaciekawionymi spojrzeniami. Nie przejmowałam się widownią, ale nie chciałam żadnych scen w obecności dziewczynek.

–Odejdź – syknęłam. – Natychmiast zabieramy dziewczynki do domu. Już nam popsuleś zabawę.

Nie pogarszaj sytuacji.

–Chciałem zobaczyć się z dziećmi – powtórzył.

–Proszę, patrz. Już, widziałeś je, więc odejdź.

–Zrobię to tylko ze względu na małe. – Wskazał brodą dziewczynki, wystraszone i stropione.
– Do zobaczenia wkrótce, Tolliverze – rzekł, odwrócił się na pięcie i ruszył ku wyjściu.

–Śledził nas – palnęłam głupio.

–Pewnie przyczaił się przy domu Iony – kiwnął głową Tolliver. Popatrzyliśmy po sobie, w milczącym porozumieniu zawieszając dyskusję. Równocześnie odetchnęliśmy głęboko. Rozbawiłoby to nas, gdybyśmy nie byli tak zdenerwowani.

–Uff! – Odwróciłam się do dziewczynek, nadrabiając miną. – Na szczęście już po wszystkim. Opowiemy o tym mamie, dobrze? Dokładnie tak, jak było. Coś takiego się już nigdy nie powtórzy, rozumiecie? A przecież wcześniej świetnie się bawiliśmy, prawda? – paplałam nieskładnie, ale siostry już zaczęły dochodzić do siebie. Zdjęły wrotki, a po chwili przestały tak bardzo przypominać sarny schwymane w światła reflektorów.

W drodze do domu siedziały cichutko jak myszki, co było w pełni zrozumiałe, zaś po dotarciu na miejsce wyskoczyły z samochodu i popędziły do domu jak pod ostrzałem. Ruszyliśmy za nimi, choć wolniej – nie spieszyło nam się do zdawania relacji z wydarzeń Ionie i Hankowi, mimo że nie zawiniliśmy niczym.

Nie zaskoczył nas widok stojących na środku kuchni wujostwa, którzy czekali, aż wejdziemy.

–Co się stało? – spytała Iona. Ku mojemu zdumieniu zamiast spodziewanej wściekłości, wychwyciłam w jej tonie tylko troskę.

–Ojciec pojawił się nagle na wrotkowisku – wyjaśnił Tolliver, nie owijając w bawełnę. – Nie wiem, jak długo nas obserwował, nim go zauważyłem. – Wzruszył ramionami. – Nie był na haju, nie zachowywał się groźnie. Ale mocno przestraszył dziewczynki.

–Dopóki to się nie stało, naprawdę świetnie się bawiliśmy – zastrzegłam, świadoma, że w tej sytuacji taka uwaga jest nie na miejscu. Uznałam jednak, że muszę to zaznaczyć.

–Dostaliśmy od niego list – przyznał Hank. – Nie odpowiedzieliśmy. Nie przypuszczaliśmy, że poważy się na coś takiego.

A więc przerwali się odpowiedzialnością za ukrycie przed nami informacji o wyjściu Matthew z więzienia.

–Wypuścili go już jakiś czas temu – potwierdziłam, choć niechętnie rezygnowałam z chwilowej przewagi. – Widzieliśmy się z Markiem, powiedziałam. Ale nie rozwodził się szczególnie, wspominał tylko, że Matthew jest czysty i pracuje w McDonalddie.

–Ach, czyli Mark utrzymuje kontakty z ojcem? – Iona spochmurniała, siadając ciężko na stolku. Po chwili wahania my także przycupnęliśmy przy stole.

Nie otrząsnęliśmy się jeszcze ze zdumienia, że Gorhamowie nie ciskają na nas gromów, winiąc za ten incydent. – Mark ma za miękkie serce, jeśli chodzi o ojca – rzekła.

W skrytości ducha zgadzałam się z nią całkowicie. Hm, może nie w takiej skrytości, sądząc z miny Tollivera. Zdecydowanie zbyt łatwo mógł mnie rozszyfrować.

–Możesz nam powiedzieć, czego tak naprawdę chciał? – zwróciła się do mnie Iona niespodziewanie.

–Proszę? – Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi.

–No wiesz, tym twoim czymś. – Ciotka machnęła ręką, jakby odganiała komara.

–Nie jestem telepatką, Iono, choć w tym wypadku nie miałabym nic przeciwko. Sama chciałabym wiedzieć, co mu się roi w głowie. Niestety, potrafię tylko odnajdywać zwłoki. – Za późno dostrzegłam ponad ramieniem Iony Mariellę. Weszła z holu, chcąc przejść do sypialni. Teraz zamarła z oczami jak talerze. Ale przecież nie wstrząsnęły nią chyba moje słowa? Co, u licha, Iona naopowiadała o mnie dziewczynom? Mariella odzyskała nagle władzę w nogach i wybiegła z kuchni.

Doprawdy, idealny dzień.

–No i co ci mówi to twoje przeczucie? – ponagliła mnie Iona, uparcie ignorując moje wcześniejsze słowa.

–Nic przydatnego w tym momencie – oświadczyłam. – Generalnie w pobliżu brak trupów. Najbliżej znajdujące się ciało, prawdopodobnie jeszcze sprzed ogłoszenia niepodległości, leży dość głęboko, w ogródku frontowym sąsiadów. Chyba Indianin. Ale musiałabym podejść bliżej, żeby stwierdzić na sto procent.

Wreszcie przykułam uwagę wujostwa. Gapili się na mnie osłupiali. To nie popchnęło jednak dyskusji do przodu.

–Ale nie ma on nic wspólnego z dzisiejszym pojawieniem się Matthew na wrotkowisku – dodałam. – Może powinniście wystąpić o sądowy zakaz zbliżania? Bo przecież nie ma żadnych praw do dziewczynek, prawda?

–Tak. – Hank otrząsnął się ze stuporu szybciej niż żona. – Zrzekł się praw, adopcja była całkiem legalna.

–Ale nie będziemy dzwonić na policję – uniosła się Iona. – Nagadaliśmy się już z nimi tyle, że starczy na całe życie.

–Więc pozwolicie, żeby tu przychodził i straszył dziewczynki?

–Nie! Ale mamy dość policji. Kręcili się tu całymi tygodniami po zniknięciu twojej siostry! Nie chcemy ich i tyle.

Wiedziałam, jak to jest, kiedy nie chce się być na radarze policji, choć większość stróżów prawa, których poznałam, była zwykłymi ludźmi, usiłującymi pełnić swoje obowiązki mimo braku wystarczających środków. Jednak to nie niechęć wujostwa do radiowozu przed domem skłoniła mnie do rozwagi, a troska o dziewczynki. I tak były już przestraszone, a obecność policji mogła wywrzeć wrażenie, że sytuacja jest groźniejsza niż w rzeczywistości. W końcu Matthew nie miał powodów, by skrzywdzić córki. Może Iona i Hank mieli rację, choć opierała się ona na niewłaściwych założeniach.

–W takim razie nic nie możemy pomóc – rzekł Tolliver, widocznie dochodząc do podobnych wniosków co ja. – Pójdziemy już.

–Jak długo zamierzacie zostać w mieście? – zapytała Iona z nutką desperacji w głosie. – Macie jakieś kolejne zlecenie?

Nigdy wcześniej nie martwiła jej perspektywa naszej nieobecności w okolicy. Wprost przeciwnie, każdą wizytę traktowała jak dopust boży i nie mogła się doczekać, aż wyjedziemy.

–Na razie możemy zostać – powiedziałam, zerknąwszy wcześniej na Tollivera. W zasadzie nie mieliśmy pilnego zlecenia, choć to mogło się zmienić choćby jutro.

–Dobrze. – Iona skinęła głową, jakbyśmy dobili jakiegoś targu. – W takim razie zadzwonimy, gdyby Matthew znów się tu kręcił.

I co niby mielibyśmy zrobić w takim wypadku? Już otwierałam usta, żeby zaprotestować, ale Tolliver mi przeszkodził.

–W porządku. Tak czy inaczej zadzwonimy się jutro.

–Pójdę do dyrektora – rzekła Iona. – Nie uśmiecha mi się co prawda omawianie z nim całej tej sytuacji, ale ze względu na bezpieczeństwo dziewczynek nauczyciele muszą wiedzieć o Matthew.

Ulżyło mi trochę. Wiedziałam, że ciotka przejęła się bardzo, a Hank wyglądał na zatroskanego. Przypomniałam sobie, że Iona jest przecież w ciąży. Hank podchwycił moje spojrzenie i ruchem głowy wskazał drzwi. Zirykowało mnie jego przeświadczenie, że brak nam inteligencji, by zorientować się i wyjść w odpowiednim momencie.

–W takim razie do jutra. Pa, dziewczynki! – zawołałam w głąb domu. Po chwili dostrzegłam, że wysunęły głowy z pokoju. Pomachałam im. Odmachały, choć nieco niepewnie. Nie uśmiechnęły się.

W milczeniu wsiedliśmy do samochodu. Nie bardzo wiedzieliśmy, co powiedzieć.

–Musimy tu zostać przez kilka dni. Chcę się upewnić, że ojciec nie będzie ich nachodził – odezwał się Tolliver, kiedy odjechaliśmy kawalek.

–Myślisz, że to pomoże? Przecież może odczekać, aż wyjedziemy, i znów tu wrócić.

Tolliver potrząsnął głową, jakby odganiał natrętną muchę.

–Jeśli się uprze, nic go nie powstrzyma. Nie mam pojęcia, co robić.

–Przeczeka, a potem zacznij swoje. Zresztą, co my jesteśmy, armia ochroniarzy? Nagle zostaliśmy obrońcami?

–Chyba uważają, że jesteśmy zaradniejsi, silniejsi od nich – rzekł Tolliver po namyśle.

–No bo to prawda. Hę, hę, nie żeby to cokolwiek znaczyło w tym wypadku.

–Wiesz, to mój ojciec. Powinienem coś zrobić.

–Rozumiem, dlaczego czujesz się w obowiązku zaradzić jakoś tej sytuacji – starałam się ująć to jak najogólniej. – I rozumiem, czemu chcesz zostać tu te parę dni, nie mam nic przeciwko. Ale nie możemy bez końca czatować pod ich domem na twojego ojca.

Oczywiście, że prędzej czy później zostanie aresztowany, bo oboje wiemy, że znów zaczną brać. Ale póki Iona i Hank nie zdecydują się zgłosić tego na policję, nie możemy nic poradzić na jego zakusy wobec dziewczynek. Zresztą nawet policja nie będzie przez cały czas pilnowała Marielli i Gracie.

–Wiem, wiem... – zniecierpliwił się Tolliver.

Zamilkłam, żeby nie powiedzieć czegoś, czego mogłabym pożałować. Żadne z nas nie odezwało się już przez całą drogę do motelu.

Nic chyba bardziej nie wytrącało mnie z równowagi i nie przerażało jak starcia z bratem. Znowu przypomniałam sobie, że nie powinnam myśleć o nim „brat”. W tej sytuacji było to naprawdę niewłaściwe. Tyle że niełatwo przełamać wieloletni nawyk.

W pokoju nie mogłam sobie znaleźć miejsca i zajęcia. Nie chciało mi się czytać, a niedzielny program telewizyjny woła o pomstę do nieba, no, chyba że jest się fanem sportu. Pozbierałam brudne rzeczy do torby.

–Idę poszukać pralni samoobsługowej – oświadczyłam, ale jeśli Tolliver coś powiedział, już nie usłyszałam. Potrzebowaliśmy odpoczynku od siebie.

Recepcjonista dał mi dokładne wskazówki, jak dojść do dużej, porządnej pralni położonej nieopodal motelu. Zawsze woziliśmy ze sobą proszek i chusteczki do suszarki, a także odłożone na ten cel monety, więc kilka minut później byłam już w drodze.

Pralnia zatrudniała pracownicę, starszą kobietę o siwych włosach i ładnej figurze. Kiedy wszłam, czytała coś przy małym stoliku, ale przerwała i kiwnęła mi głową na powitanie. Jak zwykle w weekendy w pralni panował ruch, ale udało mi się znaleźć dwie wolne pralki, stojące akurat jedna przy drugiej. Załadowawszy bębny, przyciągnęłam sobie plastikowe krzeselko, usiadłam i wyjęłam z torby książkę.

Teraz, bez towarzystwa naburmuszonego Tollivera, mogłam spokojnie poczytać. Nie wiem, czemu tu akurat czułam się tak dobrze. Może to ten rozgardiasz, obecność ludzi, a i perspektywa zwiększenia zasobu czystych ubrań nastrajały mnie pozytywnie.

Wyciszyłam się. Wokół nie było żadnych ciał. Chwilowy brak niemal nieustannego brzęczenia w głowie napawał mnie błogością.

Co jakiś czas podnosiłam wzrok, rozglądając się wokół. Za którymś razem, już prawie pod koniec wirowania, dostrzegłam wpatrującą się we mnie kobietę, mniej więcej w moim wieku.

–Czy to pani? Czy pani jest tą kobietą, która odnajduje zwłoki?

–Nie – zaprzeczyłam natychmiast. – Ale wiem, o kogo pani chodzi, już mnie z nią mylono. Pracuję w centrum handlowym.

Tak właśnie mówiłam, kiedy byliśmy w jakimś mieście. Zawsze działało. W miastach zawsze były duże centra, a poza tym to idealne miejsce, żeby wyjaśnić, dlaczego ktoś mógł mnie kojarzyć z widzenia.

–W którym centrum? – drążyła nieznajoma. Była ładna mimo niedbalego, weekendowego stroju. Była też nieustępliwa.

–Proszę wybaczyć – zaczęłam z odpowiednim uśmiechem. – Nie znam pani. – Wzruszyłam ramionami, co miało znaczyć: „Na pewno jesteś miła, ale nie zamierzam ci się opowiadać”. Dziewczyna zignorowała sygnał.

–Wygląda pani dokładnie jak ona. – Uśmiechnęła się, jakby ta uwaga miała mi sprawić przyjemność.

–Uhm. – Zaczęłam wyciągać pranie i ładować je do wózka na kółkach, który wcześniej sobie przyciągnęłam.

–Bo gdyby pani nią była, na pewno jej brat kręciłby się też gdzieś w pobliżu – ciągnęła niezrażona. – Chętnie bym na niego wpadła, jest niezły.

–Um, ale nie jestem nią. – Wrzuciłam byle jak resztę mokrych rzeczy. Czekало mnie jeszcze suszenie, nie mogłam wyjść ot tak, a wzdrygałam się na samą myśl o rozmowie z tą kobietą na temat swojego życia, pracy i Tollivera.

Nieznajoma obserwowała mnie do końca pobytu w pralni, jednak, Bogu dzięki, już nie podeszła. Podczas suszenia udawałam, że jestem całkowicie pochłonięta czytaniem, a później składałam ubrania, wmawiając sobie, że w ogóle jej tam nie ma. Zazwyczaj to działało.

Ładując suche pranie do samochodu, nabrałam przekonania, że kobieta już sobie poszła. Ale nie, podeszła do mnie na parkingu.

–Proszę mnie zostawić w spokoju – powiedziałam zdenerwowana do granic możliwości.

–Jest nią pani – stwierdziła z satysfakcją.

–Proszę odejść – rzekłam, wsiadając do samochodu, i zablokowałam drzwi. Oczekałam, aż wróci do pralni, i dopiero wtedy ruszyłam. Miałam nadzieję, że w czasie nieobecności ktoś zwędził jej ubrania.

Przynajmniej wiedziałam, że nie będzie mnie śledziła. Mimo to zerknęłam kilkakrotnie we wsteczne lusterko i właśnie dzięki temu zauważyłam, że ŚLEDZI mnie jakiś samochód. Nie miałam całkowitej pewności, bo już było ciemno, ale oświetlenie uliczne wystarczało, żebym widziała dość dobrze nawet kolor pojazdów. Cały czas jechała za mną ta sama szara mazda miaTa. Zadzwoiłam do Tollivera.

–No cześć – odezwał się w słuchawce.

–Ktoś za mną jedzie.

–Jedź prosto do motelu, będę czekał na zewnątrz.

Tak też zrobiłam. Tolliver stał na wolnym miejscu parkingowym pod naszym pokojem. Wyskoczyłam z samochodu i popędziłam do środka, zostawiając go na zewnątrz.

Po chwili Tolliver zawołał mnie. Zerknęłam przez wizjer. Nie był sam.

–Chodź, wszystko w porządku – jego głos nie brzmiał radośnie.

Otworzyłam drzwi. Tolliver wszedł, a wraz z nim jego ojciec. Cholera. Stojąc u mego boku, Tolliver zwrócił się do ojca.

–Czego chcesz? Dlaczego jechałeś za Harper?

–Chciałem z tobą porozmawiać, synu. – Matthew zerknął na mnie, starając się przybrać przepraszającą minę. – W cztery oczy. To sprawy rodzinne, Harper.

Chciał, żebym wyszła z własnego pokoju?

–Wykluczone – oświadczył Tolliver, obejmując mnie ramieniem. – Ona jest moją rodziną.

Oczy Matthew powędrowały od Tollivera ku mnie i z powrotem.

–Rozumiem – rzekł. – Słuchaj, chciałem cię przeprosić. Wiem, że byłem złym ojcem. Zawiodłem cię, zawiodłem też dzieciaki Laurel. A co gorsza, zawiodłem też nasze wspólne dzieci.

Staliśmy z Tolliverem w milczeniu. Nie musiałam nawet spoglądać na brata, wiedziałam, co teraz czuje. Matthew wcale nie musiał mówić, że nas zawiódł. Wiedzieliśmy o tym aż nazbyt dobrze.

Mimo to czekał na jakąś reakcję z naszej strony.

–Żadna, nowina – rzucił Tolliver.

–Byliśmy z Laurel uzależnieni – podjął Matthew. – To nie usprawiedliwienie naszych zaniedbań, raczej... wyznanie. Robiliśmy straszne rzeczy. Proszę tylko o twoje wybaczenie.

Ciekawe, czy to miał być krok w jakiejś terapii, w której brał udział Matthew. Jeśli tak, zabrał się do tego fatalnie. Nachodzenie dzieci, śledzenie mnie, żeby dotrzeć do Tollivera, kiepski sposób na okazanie skruchy.

Tym razem ja przerwałam zapadłe po tym oświadczeniu milczenie.

–Pamiętasz noc, gdy Mariella zachorowała, a my próbowaliśmy wydostać się z przyczepy, żeby zabrać ją do lekarza? Stałeś w drzwiach i nie wypuściłeś nas, bo bałeś się, że szpital zawiadomi opiekę społeczną. Tamtej nocy byliśmy gotowi zgodzić się nawet na rozdzielenie, byle tylko Mariella otrzymała pomoc.

–Wyzdrowiała!

–Bo przez całą noc nie spuszczałeś jej z oka, chłodziłeś ją w wodzie i podawaliśmy leki przeciwgorączkowe!

Matthew patrzył na nas pustym wzrokiem.

–Nie pamiętasz tego – kiwnął głową Tolliver. – Nie pamiętasz, jak musieliśmy spać pod przyczepą, bo urządziliście libację ze swoimi znajomkami. Nie pamiętasz, jak Harper została porażona piorunem, a ty nie pozwoliłeś wezwać karetki.

–Pamiętam – rzekł Matthew, patrząc Tolliverowi w oczy. – Robiłeś jej reanimację. Tamtego dnia uratowałeś jej życie.

–A ty nie zrobiłeś nic – powiedziałam.

–Kochałem twoją matkę – zwrócił się do mnie Matthew.

–To świetnie i cieszę się, że byłeś z nią do końca.

Pamiętasz? Siedziałeś w więzieniu, kiedy umierała!

–A ty przy niej byłaś? – odpalił.

–To nie ja powiedziałam przed chwilą, że ją kochałam.

–Byłaś na pogrzebie? – Jeśli chciał we mnie wzbudzić poczucie winy, nie trafił.

–Nie. Nie chodzę na pogrzeby. Z oczywistych powodów.

Nie zrozumiał. Przez te wszystkie lata zabił używkami większość swoich szarych komórek. Zmrużył oczy, spoglądając pytająco.

–Obecność martwych ludzi odbieram dość specyficznie.

–Och, nie pieprz. Nie musisz udawać. Pamiętaj, z kim rozmawiasz. Możesz oszukiwać ludzi, ale mnie nie nabierzesz. – Matthew zrobił konfidencjonalno- porozumiewawczą minę.

–Wyjdź – syknął Tolliver.

–Daj spokój, synu, nie powiesz mi przecież, że to całe szukanie trupów to prawda – powiedział Matthew niedowierzająco. – Okej, możesz udawać przed innymi, ale sam wiesz, że twoja siostra jest tylko okultystyczną szarlatanką.

–Nie jest moją siostrą, nie łączą nas więzy krwi – przypomniał Tolliver. – Jesteśmy parą.

Twarz Matthew skurczyła się w odrazie. Wyglądał, jakby za chwilę miał zwymiotować.

–Brzydę się wami – wypalił i natychmiast tego pożałował.

Prawie wszyscy, którym powiedzieliśmy o naszym związku, reagowali mniej lub bardziej negatywnie. Gdybym przejmowała się ich zdaniem, już zaczęłabym się martwić wspólną przyszłością z Tolliverem.

Na szczęście miałam to gdzieś.

–Czas na ciebie, Matthew – powiedziałam, odsuwając się od Tollivera. – Jak na zreformowanego ćpuna i pijaka nie jesteś zbyt tolerancyjny wobec innych. – Otworzyłam drzwi.

Matthew spoglądał to na mnie, to na syna, czekając, aż ten zaneguje sugestię. Tolliver wskazał mu głową wyjście.

–Lepiej się wynoś, zanim do reszty stracę panowanie – głos Tollivera pozbawiony był

jakichkolwiek emocji.

Wychodząc, Matthew obrzucił mnie rozwścieczonym spojrzeniem.

Zamknęłam za nim drzwi na zamek, podeszłam do Tollivera i spojrzałam na jego zaciętą twarz.

–Ech, żeby choć jedna osoba cieszyła się z naszego szczęścia – powiedziałam, żeby przerwać ciszę. Nie wiedziałam, co w tej chwili czuje. Może chciał zmienić zdanie?

Na zewnątrz panowała całkowita ciemność, a okno przypominało wielkie, ślepe oko, skierowane na nasz pokój. Nieprzyjemne wrażenie potęgował fakt, że mieszkaliśmy na parterze. Tolliver przytulił mnie, a potem puścił i poszedł zaciągnąć zasłony. Odgrodzona od nocy, nareszcie tylko z Tolliverem, poczuje się lepiej.

Stał przy oknie, z rozłożonymi ramionami i palcami zaciśniętymi na tkaninie. Ja znajdowałam się za nim, nieco z boku, pochylając się, by zdjąć buty. I nagle, w ułamku sekundy, jednocześnie wydarzyło się sto rzeczy. Przeróżliwy hałas, piekące igły na klatce piersiowej i twarzy, wilgoć na skórze. Poczulałam zimny powiew, a Tolliver zatoczył się do tyłu, przewracając mnie na łóżko. Runął na mnie całym ciężarem, a potem zsunął się bezwładnie na podłogę. Skoczyłam na równe nogi tak gwałtownie, że aż się zachwiałam. Choć było to kompletnie niezrozumiałe, wiedziałam, że chłód bije od okna. Spojrzałam po sobie. Moja koszulka była mokra, ale nie od deszczu. Cała czerwona. Nadawała się do wyrzucenia. Nie wiem, dlaczego przyszło mi to do głowy. Chyba krzyknęłam, pojmując jakąś część świadomości, że Tolliver został postrzelony, że w mojej skórze tkwią odłamki szkła i jestem pokryta krwią, że w jednej chwili cały nasz świat wywrócił się do góry nogami.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Musiałam otworzyć drzwi w odpowiedzi na łomotanie, bo w pokoju znajdował się Matthew. Stałam bezradnie, patrząc to na Tollivera, to na swoje dłonie, którymi przetarłam twarz. Były całe we krwi, a nie chciałam go dotykać brudnymi rękoma.

Matthew klęczał przy synu. Sięgnęłam po komórkę i wystukałam numer alarmowy, choć wymagało to ode mnie więcej wysiłku niż cokolwiek, co do tej pory zrobiłam w całym życiu. Wycharczałam adres motelu, numer pokoju, powiedziałam, że potrzebujemy karetki, i dorzuciłam „postrzał”, bo to słowo kołatało mi się w głowie.

Przemknęła mi myśl, że niepotrzebnie o tym wspomniałam, bo może ratownicy będą się bali przyjechać, ale szybko przestałam myśleć o czymkolwiek i przypadłam do Tollivera.

Raz strzelano do mnie przez okno, to było przerażające. Wtedy także wbiło się we mnie pełno szkła. Ale teraz było gorzej, strach przytłaczał mnie całkowicie, bo tym razem dotyczyło to Tollivera. Nie mogłam oderwać się od tej myśli, od makabry przeżywania czegoś takiego po raz drugi. Z ogromnym wysiłkiem skierowałam uwagę na Tollivera, chciałam jakoś pomóc. Matthew zdarł koszulkę, zwinął ją i przycisnął kłęb do rany.

–Trzymaj tu, idiotko! – rozkazał, a ja posłusznie wykonałam polecenie. Czulałam pod palcami, jak galgan nasiąka krwią. Gdyby Matthew nie pojawił się prawie natychmiast po strzale, byłabym pewna, że to on zrobił. I gdybym jasno myślała. Jednak w tym momencie nie kojarzyłam faktów i nic z tego nie przyszło mi w ogóle do głowy. Tolliver otworzył oczy. Był błądy i oszołomiony.

–Co się stało? – szepnął. – Co się stało? Nic ci nie jest, słonko?

–Nic, nic – uspokoiliam go, z całej siły przyciskając prowizoryczny opatrunek. – Leż spokojnie, kochanie, pomoc już jedzie, słyszysz? – Nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek zwróciła się do Tollivera per „kochanie”. – Zaraz tu będą, pomogą ci, nie jesteś ciężko ranny, wszystko będzie dobrze.

–Czy to była bomba? – mamrotał Tolliver. – Był wybuch? – Jego głos osłabł. – Co się stało, tato? Dlaczego Harper jest ranna?

–Nie martw się o nią, wszystko z nią w porządku – zapewnił go Matthew. – Nic jej nie jest. – Podciągnął koszulkę Tollivera i zaczął badać palcami jego rany.

Oczy Tollivera uciekły w głąb czaszki, a mięśnie twarzy straciły napięcie.

–Jezus Maria! – Niemal cofnęłam ręce, ale ponad ogarniającą mnie panikę wybiła się myśl, że nie mogę tego zrobić. Miałam wrażenie, że trzymam je tak już od wielu godzin. Nie wolno mi było teraz się poddać.

–On nie umarł! – wrzasnął na mnie Matthew. – Nie umarł!

Dla mnie jednak wyglądał jak martwy.

–Nie, nie umarł – wydyszałam. – Żyje. Nie może umrzeć. Nie umrze. To tylko prawe ramię, to daleko od serca. Nie umrze od tego. – Plotłam bzdury, ale w tym momencie nie przejmowałam się tym.

–Nie, nie umrze – powtórzył Matthew.

Już otwierałam usta, żeby na niego nakrzyczeć, ale nawet nie potrafiłam znaleźć żadnych słów. A potem usłyszałam sygnał karetki.

Pod wejściem do pokoju zebrał się tłumek. Ludzie mówili, wykrzykiwali coś, a ktoś wołał do ratowników, wskazując im drogę. Kątem oka dostrzegałam błyski od strony okna. Jedyne, czego w tej chwili pragnęłam, to żeby przyszedł tu ktoś, kto będzie wiedział, co robić, kto pomoże Tolliverowi i powstrzyma to krwawienie.

Krzyki wzmożyły się. Wraz z karetką nadszedł radiowóz i policjanci zaczęli odsuwać ludzi od drzwi. Do środka weszli ratownicy, a my z Matthew wstaliśmy, robiąc im miejsce.

Funkcjonariusze wyprowadzili mnie na zewnątrz i zaczęli zadawać pytania. Później nie mogłam sobie nawet przypomnieć ich twarzy.

–Ktoś strzelił do niego przez okno – powiedziałam do pierwszej twarzy, która zadała mi pytanie. – Stałam za nim, a ktoś strzelił do niego przez okno.

–Kim jest dla pani ranny?

–Bratem – odparłam machinalnie. – A to jego ojciec. Ale nie mój, tylko jego. – Nie wiem, dlaczego to podkreśliłam, chyba z przyzwyczajenia, bo od wielu lat zawsze podkreślałam, że Matthew Lang nie jest dla mnie żadną rodziną.

–Musi pani jechać do szpitala – rzekła twarz. – Trzeba powyjmować to szkło.

–Jakie szkło? To był postrzał.

–Ma pani poranioną twarz – tłumaczył cierpliwie policjant. Teraz ujrzałam go wyraźniej. Był starszym, około pięćdziesięcioletnim mężczyzną o brązowych oczach, od których kącików odchodziły promyki kurzych łapek. Miał pełne usta i krzywe zęby. – Trzeba powyjmować szkło i oczyścić rany.

Przyszło mi do głowy, że może powinnam nosić gogle, skoro tak często jestem narażona na rany od odłamków szkła.

Następne, co pamiętam, to szpital. Siedziałam na kozetce za parawanem, ktoś wyjmował z

mojej torebki portfel, żeby spisać dane dla ubezpieczyciela. Jacyś ludzie zadawali mi setki pytań, ale nie mogłam z siebie wydusić słowa. Czekalam, aż pojawi się ktoś, kto powie mi, co z Tolliverem. Do tego czasu nie było sensu się w ogóle odzywać.

Lekarka, która wyciągała szkło, wydawała się nieco przestraszona. Cały czas do mnie mówiła. Może myślała, że mnie to uspokoi.

–A teraz proszę spojrzeć w dół – powiedziała i wyraźnie odprężyła się, kiedy spuściłam oczy. Chyba przez cały czas się na nią gapilam. Pragnęłam opuścić teraz ciało i popłynąć korytarzami, by sprawdzić, co dzieje się z moim bratem. Gdybym poprzysięgła, że zostawię go, jeśli tylko przeżyje, czy to by pomogło? Takie umowy, które wymyśla się w chwilach najgorszego strachu, są miarą prawdziwego charakteru. A może tylko pierwotnej natury? Może pokazują, jakim człowiekiem by się było, gdyby nigdy nie korzystało się z poczty, nie dostawało czeków i nie liczyło, że ktoś inny zadba o dostarczenie jedzenia.

Kobieta w różowym fartuchu spytała, czy ma zadzwonić do kogoś i poinformować o wypadku. Wiedziałam, że na widok Iony czy Hanka zaczęłabym wyć, więc zaprzeczyłam.

Pozwolili z nim iść Matthew. A mnie nie! Kazali mi zostać i wyciągali ze mnie szkło! Byłam tak wściekła, że miałam wrażenie, iż zaraz pęknie mi głowa i eksploduje mózg. Ale nie krzyczałam. Tłumiłam wszystko w sobie.

Gdy lekarka i pielęgniarka skończyły, dały mi proszki, mówiąc, że rany przez jakiś czas mogą boleć. Kiwnąwszy głową, ruszyłam wreszcie na poszukiwania Tollivera.

W końcu natknęłam się na siedzącego w poczekalni Matthew. Rozmawiał z policjantem. Kiedy weszłam, na jego twarzy pojawił się wyraz ostrożności.

–To siostra przyrodnia Tollivera – przedstawił mnie, niczym mistrz ceremonii anonsujący gości. – Była z nim w pokoju, kiedy to się stało.

Sądząc po cywilnych spodniach, koszulce i wiatrówce, policjant był detektywem. Bardzo wysoki, postawą przypominał eksfutbolistę, co zresztą później okazało się prawdą. Parker Powers był gwiazdą drużyny szkolnej w Longview, w Teksasie. Dwa lata po podpisaniu kontraktu z Dallas Cowboys doznał kontuzji wykluczającej dalszą karierę sportową. Czyli rzeczywiście był prawie sławą, a w każdym razie znakomitością. Tego wszystkiego dowiedziałam się dzięki Matthew w ciągu zaledwie dziesięciu minut.

Detektyw Powers miał ciemną cerę, błękitne oczy i przycięte krótko, brązowawe, lekko kręcone włosy. Na palcu nosił szeroką obrączkę.

–Kto pani zdaniem mógł strzelać? – zapytał, zaskakując mnie nieco bezpośredniością indagacji.

–Nie mam pojęcia. Przychodzi mi do głowy tylko Matthew, ale to nie był on, bo zbyt szybko

pojawił się przy nas.

–Czemu ojciec miałby do was strzelać?

–Bo komu innemu mogłoby zależeć na nas na tyle, by to zrobić? – Od razu zdałam sobie sprawę, że nie jest to zbyt logiczne wyjaśnienie. – Racja, niektórym nie podoba się to, co robimy, ale nikogo nie oszukujemy i nie robimy sobie wrogów. A przynajmniej nic o tym nie wiem. Bo najwyraźniej zaskarbiliśmy sobie czyjaś nienawiść. – Nie wiedziałam, jak policja mogłaby wyciągnąć z tego jakieś sensowne wnioski, ale założyłam, że wiedzą, czym się zajmujemy. Choć nie pamiętałam, bym to wyjaśniała.

Detektyw zadał mi jeszcze szereg rutynowych pytań o to, jak zarabiamy na życie, od jak dawna, ile zarabiamy i na czym polegało nasze najświeższe zlecenie. Nad tym ostatnim musiałam się zastanowić, ale przypomniałam sobie o Joyce'ach i powiedziałam o wizycie sióstr w motelu. Nie uradowała go wieść, że mieliśmy do czynienia z tak bogatą i wpływową rodziną.

Do poczekalni wkroczył lekarz – starszy, łysawy mężczyzna o znużonej twarzy. Natychmiast skoczyłam na równe nogi.

–Krewni Tollivera Langa? – Spojrzał na nas. Zamurowało mnie, mogłam tylko czekać. Matthew skinął głową.

–Nazywam się Spradling, jestem chirurgiem ortopedą. Właśnie skończyliśmy operować pana Langa. Cóż, ogólnie mam dobre wieści. Pan Lang otrzymał postrzał z małego kalibru, prawdopodobnie dwadzieścia dwa, karabin lub krótka broń. Kula przeszła przez obojczyk.

Jęknęłam. Nie potrafiłam się powstrzymać. Zachowywałam się głupio.

–Zestawiłem kość za pomocą gwoździa. Główne nerwy ani naczynia krwionośne nie uległy uszkodzeniu, więc miał szczęście, o ile można w ogóle mówić o szczęściu w przypadku postrzału. Operacja przebiegła poprawnie. Powinien szybko wrócić do zdrowia. Na razie musi zostać w szpitalu przez dwa, trzy dni, a jeśli rana będzie się goiła bez komplikacji, może wracać do domu. Z tym że czeka go kuracja antybiotykami. Przez tydzień będzie dostawał kroplówkę. Możemy zapewnić pomoc pielęgniarki, ale z tego, co wiem, nie mieszkają państwo tutaj, a pan Lang będzie musiał zostać na czas leczenia. – Przesunął wzrokiem mniej więcej po naszych osobach, czekając na reakcję.

Kiwnęłam gorączkowo głową, aby zapewnić go, że rozumiem, co powiedział.

–Zrobimy wszystko, co będzie trzeba.

–Gdzie się państwo zatrzymaliście, pani Connelly? Bo rozumiem, że mieszkacie razem?

Kątem oka dostrzegłam zmianę na twarzy Matthew i naszła mnie przerażająca myśl, że może zechceć wykluczyć mnie z opieki nad Tolliverem. Do morza moich lęków dołączył

kolejny. Czy dopuściliby mnie w ogóle do Tollivera, gdyby Matthew się sprzeciwił? Musiałam szybko przebić jego rodzicielską kartę przetargową. Sama zaskoczyłam siebie słowami, które następnie dobyły się z moich ust.

–Żyjemy w konkubinacie. Tu nazywacie to związkiem nieformalnym. – Teksas uznawał trwale pożycie bez zawarcia małżeństwa, więc pewnie taka nomenklatura tu obowiązywała. – Mamy mieszkanie w St. Louis. Jesteśmy razem od sześciu lat.

Lekarzowi były najwyraźniej obojętne więzy, jakie nas łączyły. Chciał tylko dać wskazówki dotyczące dalszej opieki nad Tolliverem. Jednak kontynuując, zwrócił twarz w moją stronę, adresując wypowiedź do mnie.

–Dobrze byłoby znaleźć jakąś kwaterę w pobliżu szpitala, kiedy go wypiszemy. Jeszcze nie wyszedł zupełnie na prostą, ale myślę, że wszystko będzie dobrze.

–Dobrze. – Powtórzyłam wszystko w myślach. Obojczyk, mały kaliber, żadnych większych uszkodzeń. Trzy dni w szpitalu. Kroplówka z antybiotykami, pielęgniarka może przychodzić do hotelu. Hotelu położonego bliżej szpitala.

–W razie czego mogą się zatrzymać u mnie, mieszkam z ich bratem – rzekł Matthew, a lekarz skinął głową, zupełnie niezainteresowany szczegółami. Mogłam zagwarantować, że to wykluczone, ale nie był to czas ani miejsce na tego rodzaju dyskusje.

–Byłe miał porządną, stałą opiekę. Potrzebuje dużo spokoju, wygody. Kilka razy w ciągu dnia musi wstać i się poruszać. Trzeba mu podawać leki, porządne posiłki i żadnego alkoholu – wymienił lekarz. – To wszystko przy założeniu, że sprawy potoczą się tak gładko, jak do tej pory. Jutro będziemy wiedzieli więcej. – Spradling naturalnie ubezpieczał się, żebyśmy nie byli zaskoczeni, gdyby wydarzyło się cokolwiek niespodziewanego.

Przytaknęłam gorliwie, drżąc z niecierpliwości.

–Zostanę z nim na noc – powiedziałam, a medyk, który już odwracał się, aby odejść, popatrzył na mnie współczująco.

–Leży na sali pooperacyjnej i jest stale monitorowany – poinformował mnie. – Na razie się nie obudzi. Lepiej, żeby poszła pani do domu, umyła się, przebrała i wróciła rano. Proszę zostawić numer telefonu, w razie jakichkolwiek zmian skontaktujemy się z panią.

Spojrzałam po sobie. Krew na ubraniu zaschła. Wyglądałam... koszmar. Przeszłam się dziwić, dlaczego ludzie odwracali wzrok na mój widok. Na dodatek śmierdziałam krwią i strachem. I musiałam przyprowadzić samochód. Czyli pozostawało mi przelamać się i poprosić Matthew, by zawiózł mnie do motelu.

Policja skończyła już oględziny naszego pokoju.

Gdy dowlokłam się do recepcji z zamiarem porozmawiania z obsługą, powitała mnie kierowniczką, około pięćdziesięcioletnia Murzynka o krótkich włosach i miłym obejściu. Nie chcąc ryzykować, że ktoś z gości mnie zobaczy, pospiesznie zaprowadziła mnie do kantorka za kontuarem, gdzie posadziła na fotelu i podała kawę, choć nie przypominałam sobie, że bym ją o to prosiła. Do bluzki miała przypiętą plakietkę z imieniem Deniese.

–Pani Connelly – zaczęła serdecznie – za pani zgodą mogę posłać Cynthię do pokoju, aby spakowała państwa rzeczy.

–Dobrze, Deniese – przystałam na propozycję, nie do końca jeszcze pewna, dokąd nas to zaprowadzi. – Byłabym wdzięczna.

Odetchnęła głęboko.

–Jest nam niezwykle przykro z powodu tego, co zaszło, i zrobimy wszystko, aby reszta pani pobytu u nas przebiegła w spokoju. Na pewno ma pani o czym myśleć.

Nareszcie zrozumiałam. Deniese zastanawiała się, czy zamierzamy pozwać motel, i tym sposobem chciała mnie wy badać. Poza tym na pewno też była wstrząśnięta strzelaniną, a jej żal wydawał się szczery.

Po wydaniu dyspozycji Cynthii i odesłaniu jej do zrujnowanego pokoju po rzeczy – ulżyło mi, gdy Matthew zaproponował, że pójdzie z nią – Deniese przeszła do konkretów.

–Pewnie nie będzie pani chciała u nas zostać, ale gdyby się pani zdecydowała, byłoby nam niezwykle miło panią gościć.

To wydało mi się odrobinę mniej szczere, ale trudno ją było winić.

–Jeśli postanowi pani zostać, zapewnimy pokój o tym samym standardzie, oczywiście bezpłatnie. Choć w ten sposób chcielibyśmy zrekompensować te... niedogodności.

Prawie się uśmiechnęłam.

–Lekkie niedopowiedzenie – rzekłam. – Owszem, chciałabym zostać na noc, jednak wymelduję się zaraz z rana. Muszę znaleźć coś bliżej szpitala.

–Jak się czuje pan Lang? Zapewniłam ją, że wyzdrowieje.

–To wspaniałe nowiny! – Ulżyło jej zapewne z wielu powodów, ale nie wzięłam jej tego za złe.

Ustaliwszy sytuację motelowo-prawną, marzyłam już tylko o tym, aby znaleźć się w pokoju i dopaść łazienki. Kierowniczką zadzwoniła do Cynthii na komórkę, każąc jej przenieść rzeczy prosto do pokoju dwieście trzy.

–Pomyślałam, że lepiej się pani poczuje na piętrze – wyjaśniła po zakończeniu rozmowy.

–Dziękuję. – Zadrżałam na wspomnienie czarnego okiennego otworu. Bolała mnie twarz oraz ramiona, byłam pokryta smugami i plamkami zaschniętej krwi. Teraz, kiedy wiedziałam, że Tolliver wyzdrowieje, napięcie opuściło mnie i nagle poczułam się trząść.

Do kantorka wszedł Matthew.

–Rzeczy są już w twoim pokoju. W torebce chyba też niczego nie brakuje.

Nie podobało mi się, że Matthew miał dostęp do mojej torebki, ale trzeba przyznać, że naprawdę nam dzisiaj pomógł, więc coś za coś. Podziękowałam Deniese za uprzejmość i z kartą w ręku ruszyłam z Matthew do windy.

–Dzięki – powiedziałam, mijając rząd automatów z przekąskami i lodem. Idąca po schodach para obrzuciła spojrzeniami moją umazaną krwią osobę i pospieszyła do swojego pokoju.

–Nie ma sprawy. Usłyszałem strzał i twój krzyk.

Nie wiedziałem nawet, że potrafię tak szybko biegać. – Zaśmiał się. Nie zdawałam sobie sprawy, że krzyczałam.

–Widziałeś kogoś na parkingu?

–Nie. I doprowadza mnie to do szału, bo strzelec musiał być gdzieś obok.

Odłożyłam myślenie o tym na później.

–Cóż, w takim razie do zobaczenia jutro w szpitalu. O ile dasz radę wpaść – rzekłam, marząc tylko, żeby zostać sama.

–Mam zadzwonić do Iony?

–Nie! – zaprzeczyłam.

Roześmiał się, wydając krótkie, urywane dźwięki, zupełnie jak Tolliver.

–Nie obraż się, ale jesteś bardzo zależna od mojego syna.

Celność tej oceny wzbudziła we mnie gwałtowny gniew.

–Tolliver jest moim kochankiem i moją rodziną.

Trzymamy się razem od wielu lat. W ciągu których cię nie było.

–Ale powinnaś być trochę bardziej samodzielna – oświadczył Matthew pewnym tonem osoby,

która miała do czynienia z terapią. A ponieważ starał się mówić łagodnie, rozzłościło mnie to jeszcze bardziej. Może nie jestem nie wiadomo kim, ale wbrew pozorom nie jestem aż tak krucha. A jeśli nawet, to Matthew nic do tego.

–Nie masz prawa mówić mi, jak mam żyć i jaka mam być. W ogóle nie masz żadnych praw wobec mnie, nigdy ich nie miałeś i nie będziesz miał. Doceniam to, że nam dzisiaj pomogłeś. Cieszę się, że wreszcie zrobiłeś coś dla swojego syna, szkoda tylko, że musiał zostać do tego postrzelony. A teraz już idź, muszę wziąć prysznic. – Wsunęłam kartę w czytnik i drzwi otworzyły się, ukazując wnętrze. Zapalone lampy wypełniały pokój przyjemnym światłem w środku było ciepło, a przy łóżku stały nasze bagaże.

Matthew kiwnął głową i odszedł bez słowa. Na szczęście. Spojrzawszy na torbę Tollivera, zaczęłam płakać, ale zmusiłam się, aby iść do łazienki. Zrzuciłam zakrwawione ubranie i wzięłam prysznic, ostrożnie myjąc pokaleczone ciało. W końcu założyłam piżamę.

Zadzwołam do szpitala, ale stan Tollivera nie zmienił się. Przypomniałam pielęgniarkom, żeby dzwoniły, gdyby cokolwiek się wydarzyło. Wstawiłam telefon do ładowarki, położyłam się i czekałam, aż zadzwoni. Nie zadzwonił. Nie zadzwonił przez całą noc.

Rankiem, zahaczywszy o McDonalda, zdałam sobie sprawę, że muszę skontaktować się z Iona. Inaczej dowie się wszystkiego z gazet. Nie spodziewałam się po niej niczego szczególnego, a poza tym sama konieczność opowiadania się komukolwiek wydała mi się dziwaczna. Przywykliśmy z Tolliverem liczyć tylko na siebie. Gdybyśmy nie znajdowali się w ich miejscu zamieszkania, w ogóle nie brałabym pod uwagę informowania Iony o incydencie.

Do szpitala dotarłam wcześniej. Zajrzałam do sali, ale Tolliver nadal spał, więc wróciłam do poczekalni, żeby zadzwonić. Zasięg w budynku był dość słaby, dlatego wyszłam na zewnątrz, dołączając do grupki palaczy. Dzień był chłodny, ale pogodny, a niebo zachwycało czystym błękitem.

Zerknąwszy na zegarek, doszłam do wniosku, iż jest szansa, że Iona nie poszła jeszcze do pracy. Ciotka nie była zachwycona porannym telefonem, tym bardziej ode mnie.

–Wczoraj wieczorem Tolliver został postrzelony – oświadczyłam bez wstępów. Po drugie stronie zapadło chwilowe milczenie.

–W jakim jest stanie? – odezwała się w końcu ciotka, nadal naburmuszona.

–Wyzdrowieje. Leży już na zwykłej sali, w szpitalu God's Mercy. Miał operację obojczyka. Lekarz uważa, że będzie mógł wyjść za dwa, trzy dni.

–Dobrze. Chyba nie powinnam teraz mówić o tym dziewczynkom. Zresztą. Hank i tak zabrał je już do szkoły. Powiem im, jak wróca.

–Jak ci pasuje. Muszę zadzwonić do Marka. Na razie. – Zatrzasnęłam telefon rozżalona i

zła. Nie żebym chciała przysporzyć siostronom zmartwień, szczególnie po wczorajszych wydarzeniach na wrotkowisku. Po prostu drażniło mnie, że każdy kontakt z nimi był cenzurowany i wymagał przejścia obok trolla pilnującego mostu wiodącego do dziewczynek. Ech, chyba wykazywałam się daleko idącą niewdzięcznością, stosując takie porównanie wobec Iony. Powinnam się cieszyć, że ona i Hank na co dzień okazywali ogromną cierpliwość, jaka była przecież niezbędna do wychowywania dzieci pochodzących z patologicznej rodziny.

Mimo to utrzymywanie z nią poprawnych relacji było istną orką na ugorze.

Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że Tolliver może mieć rację w kwestii ograniczenia kontaktów z siostrami tylko do bardzo sporadycznych wizyt i posyłania okazjonalnych podarunków.

Głos Marka, bardzo zaspany, przywrócił mnie do rzeczywistości. Pracował wczoraj do późna, więc był mało przytomny, ale upewniłam się, że przyjął do wiadomości informacje o wieczornych wydarzeniach oraz zapamiętał nazwę szpitala. Obiecał, że postara się odwiedzić brata trochę później.

Po telefonach wróciłam do sali i usiadłam przy Tolliverze. Miałam co prawda ze sobą książkę, ale nie byłam w stanie skupić się na fabule. W końcu odłożyłam ją i przeniosłam spojrzenie na śpiącego ukochanego.

Tolliver rzadko chorował, a poważnie ranny nie był nigdy. Opatrunki i rurki od kroplówek sprawiały, że wyglądał obco, zupełnie jakby ktoś inny wkradł się w jego ciało. Wpatrywałam się w niego, pragnąc, by otworzył oczy i usiadł, by odzyskał swój zwykły wigor.

Oczywiście nie zadziało.

Zdawałam sobie sprawę, że tym razem ja, dla odmiany, muszę być silna. Teraz, gdy on był bezbronny, musiałam zatroszczyć się o niego i o nas. Dobrze, że ustaliliśmy kilkudniowy pobyt w Teksasie, ponieważ dzięki temu wiedziałam, że nie mamy zaplanowanych żadnych zleceń na najbliższy czas. Mimo to i tak czekało mnie sprawdzenie nowych wiadomości mejlowych. Będę musiała teraz zająć się WSZYSTKIM. Bałam się, że nie podolam, że zapomnę o czymś bardzo ważnym. Z drugiej strony, co mogłoby być teraz aż tak ważnego? Wystarczy, że nie przegapię żadnego umówionego spotkania i przypilnuję, żeby bak był pełny, a wszystko będzie dobrze.

W pewnej chwili do sali przyszedł doktor Spradling. Tolliver poruszał się od pewnego czasu, podejrzewałam więc, że wkrótce się obudzi. Tego ranka lekarz wyglądał na jeszcze starszego i bardziej zmęczonego niż wczoraj. Skinąwszy mi na powitanie, podszedł do łóżka.

–Panie Lang? – powiedział przenikliwym głosem. Tolliver otworzył oczy. Omijając wzrokiem lekarza, spojrzał prosto na mnie, a napięcie wokół jego ust wyraźnie zelzało.

–Jak się czujesz? – zapytał.

Przysłuchując się naszej konwersacji, doktor Spradling sprawdzał kartę pacjenta i zaglądał Tolliverowi w oczy.

–Boli mnie ramię. Co ci się stało? – pytał Tolliver. – Okno poszło w drzazgi. Ktoś cisnął w nie cegłą? Masz poranioną twarz.

–Zostałeś postrzelony – rzekłam, nie mając pomysłu, jak ująć to oględniej. – Mnie nic się nie stało, to tylko zadrapania od odłamków szkła. Ty też wyszedłeś z tego w miarę obronną ręką.

–Nic nie pamiętam – przyznał Tolliver oszołomiony. – Postrzał?

–Przypomni sobie wkrótce – orzekł lekarz. Popatrzyłam na niego, mruganiem usiłując powstrzymać łzy. – Chwilowa utrata pamięci w takich wypadkach jest normalna. – Poczulałam wdzięczność, że stara się nas uspokoić. – Muszę spojrzeć na pańską ranę, panie Lang. – Natychmiast dołączyła do nas pielęgniarka, a kilka następnych minut było naprawdę nieprzyjemnych. Po powtórnym opatrzeniu Tolliver był wykończony.

–Wszystko w porządku – ocenił lekarz. – Proces gojenia przebiega zgodnie z przewidywaniami.

–Fatalnie się czuję – przyznał Tolliver, ale w jego głosie nie brzmiała skarga, a troska.

–Postrzał to poważna sprawa. – Lekarz zerknął na mnie z lekkim uśmiechem. – To nie tak, jak w telewizji, gdzie dzielny detektyw wyskakuje zaraz z łóżka i rzuca się ścigać jakiegoś draba.

Tolliver chyba nie do końca rozumiał słowa lekarza, bo miał dość niepewną minę. Spradling zwrócił się do mnie.

–Jutro jeszcze musi tu zostać, a pojutrze zobaczymy. Możliwe, że ramię będzie wymagało rehabilitacji.

–Ale odzyska pełnię władzy? – Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że miałam większe powody do zmartwień, niż przypuszczałam.

–O ile wszystko pójdzie dobrze, prawdopodobnie tak.

–Ach – wyrwało mi się. Teraz przytłaczała mnie niepewność. – Jak mogę pomóc?

Lekarz wydawał się w tej chwili tak samo zagubiony jak Tolliver. Najwyraźniej uważał, że nie mogę zrobić nic prócz zapłacenia rachunku.

–Wszystko zależy od pani partnera.

Na dzień dzisiejszy zniechęciłam wszystkich lekarzy, skoro jeden z nich nie mógł udzielić mi jasnej wskazówki. Logika podpowiadała mi, że Spradling jest tylko realistą i że powinnam

docenić jego szczerość. Ale logika zajmowała dzisiaj miejsce pasażera, kierowały emocje. Zdołałam jednak powściągnąć nerwy i Spradling wyszedł, machając mi wesoło na pożegnanie. Tolliver, wciąż oszłomiony po narkozie, odплыł znowu. Reagował co prawda na głośniejsze dźwięki dochodzące z korytarza, ale nie otwierał oczu. Nie bardzo wiedziałam, za co się zabrać. Patrzyłam na Tollivera, usiłując ułożyć plan, jakkolwiek plan, kiedy w progu stanęła Victoria Flores.

Victoria dobiegała trzydziestki. Była funkcjonariuszkę teksańskiej policji los obdarzył piękną, kobiecą figurą. Jeśli chodzi o strój, miała własny styl. Nigdy nie widziałam jej w niczym innym poza kostiumem i szpilkami. Niesforne włosy, przycięte na pazia, zaczesywała gładko, a w uszach nosiła złote kolczyki, których gabaryty ocierały się o ekscentryzm. Spod kostiumu w kolorze zgaszonej czerwieni, wyglądała spłowiała kremowa bluzka.

–Co z nim? – zapytała, wskazując brodą nieruchomą sylwetkę na łóżku. Żadnych wstępów, powitań, uścisków dłoni. Victoria przechodziła wprost do rzeczy.

–Został dość poważnie ranny. Ma strzaskaną kość. – Wskazałam swój obojczyk. – Ale lekarz twierdzi, że po rehabilitacji wróci do pełnej sprawności. Jeśli nic po drodze nie wyskoczy.

Victoria prychnęła. – Jak to się stało?

Opowiedziałam jej wieczorne wydarzenia.

–Czym się ostatnio zajmowaliście?

–Sprawa Joyce'ów, wiesz.

–Mam się z nimi spotkać przed południem.

Nie opowiedziałam Victorii szczegółów zlecenia na cmentarzu, bo Joyce'owie nie dali mi na to pozwolenia, ale nakreśliłam jej ogólną sytuację. Wiedziała także, że siostry odwiedziły nas w motelu.

–To pewnie najbardziej prawdopodobna przyczyna strzelaniny – oceniła Victoria. – A wcześniejsze zlecenie?

–Pamiętasz tę niedawna sprawę seryjnego zabójcy chłopców w Północnej Karolinie? Tę, gdzie ofiary były pochowane w jednym miejscu?

–Tak. To wy? Ty ich znalazłaś?

–Uhm. Prawdziwy koszmar. Sprawa była głośna, a my w centrum zainteresowania, i to w większości niezbyt pozytywnego. – Poczta pantoflowa sprawdzała się lepiej, jeśli chodzi o zlecenia płatne. Media powodowały nagły wzrost zainteresowania, ale takie przyciąganie uwagi cieszyło tylko ludzi pragnących zbadać nierozwiązane, głośne sprawy. Tym gotowym wyłożyć

duże pieniądze nieszczęśliwie zależało na rozgłosie w okolicy.

–Myślisz więc, że to mogły być echa tamtego zlecenia?

–Wiesz, w zasadzie teraz, jak się nad tym zastanawiam, to raczej mało prawdopodobne.

Tolliverowi przydałoby się golenie. I powinnam go uczesać. Nie miałam pojęcia, co jeszcze mogłabym dla niego zrobić.

Wyglądał tak bezradnie. I był bezradny. Teraz ja powinnam go bronić i być dzielna.

–Te morderstwa w Północnej Karolinie wstrząsnęły ludźmi, i to mocno – rzekła Victoria z namysłem. Chyba naprawdę wierzyła, że atak na Tollivera miał coś wspólnego z tamtą sprawą, jedyną masową zbrodnią, z którą mieliśmy do czynienia.

–Ale sprawców ujęto. Dlaczego ktoś miałby do nas strzelać, skoro pomogliśmy w ich złapaniu?

–Na pewno nie było ich więcej? Tylko dwóch?

–Na pewno. Policja też tak twierdzi. Uwierz, to było bardzo dokładne śledztwo. Proces się jeszcze co prawda nie odbył, ale oskarżyciel jest pewny wyroku skazującego.

–Okej. – Victoria spoglądała przez chwilę na Tollivera. – W takim razie albo macie prześladowcę, albo jest to powiązane ze zleceniem Joyce'ów. – Zawiesiła na moment głos. – W sprawie Cameron już od dawna nie wypłynęło nic nowego, więc zakładam, że jest zbyt stara, by miała z tym jakiś związek.

–Też tak myślę – przytaknęłam. – Raczej stawiałabym na Joyce'ów. Jeśli zgodzą się na wyjawienie ci wszystkiego, chętnie to zrobię. Choć nie ma zbyt wiele do opowiadania.

Victoria sięgnęła po komórkę i wybrała numer. Byłam przekonana, że nie powinna dzwonić z sali. Po chwili rozmowy podała mi aparat.

–Halo? – powiedziałam.

–Tu Lizzy Joyce.

–Witam. Czy mam przekazać wszystkie informacje Victorii?

–Widzę, że dba pani o etykę zawodową. Tak, ma pani moje pozwolenie. – Czyżbym wychwyciła w jej głosie rozbawienie? Kwestie moich zasad moralnych nie wydawały mi się czymś śmiesznym. – Przykro mi z powodu pani menedżera – ciągnęła Lizzy. – Rozumiem, że to stało się w tym motelu, gdzie spotkaliśmy się ostatnio? Mój Boże! Co za koszmar. Myśli pani, że to przypadek?

Moja pamięć zaskoczyła nagle.

–Policja wspominała o innej strzelaninie kilka przecznic dalej, więc to możliwe. Ale jakoś trudno mi w to uwierzyć.

–Cóż, naprawdę bardzo mi przykro. Jeśli mogłabym jakoś pomóc, proszę dać znać.

Ciekawe, na ile szczerą była ta propozycja. Przemknęło mi przez głowę kilka zdań... „Pobyt w szpitalu jest bardzo kosztowny, bo mamy fatalne ubezpieczenie. Mogliby państwo zająć się rachunkiem? A przy okazji, będzie też kolejny, z rehabilitacji. Byłabym wdzięczna”. Jednak podziękowałam tylko i oddałam telefon Victorii.

Do tej pory zbyt pochłaniały mnie inne troski, by martwić się o finanse. Czekaając, aż Victoria skończy rozmowę, pograżyłam się w ponurych myślach. Dopiero teraz ujawnił mi się pełny obraz sytuacji. Postrzał oznaczał koniec naszych marzeń o domu, a przynajmniej odwlekał wszystko w nieokreśloną przyszłość.

Dziesięć minut temu nie uwierzyłabym, że mogę wpaść w jeszcze większe przygnębienie.

Zdałam Victorii relację ze spotkania na cmentarzu Pioneer Rest. Zadała mi masę pytań, na które nie umiałam odpowiedzieć, ale na końcu wydawała się usatysfakcjonowana każdym wydartym ode mnie okruczem wiedzy.

–Mam nadzieję, że spełnię ich oczekiwania – rzekła, chwilowo przytłoczona własnymi obawami. – Trudno uwierzyć, że zwrócili się do mnie zamiast do jakiejś dużej agencji. Choć teraz w pełni to rozumiem.

–Trudno ci było po przeprowadzce tutaj? – zapytałam.

–To zależy. Z jednej strony jest więcej pracy, ale z drugiej większa konkurencja. Na pewno lepiej, że mieszkam bliżej mamy. Pomaga mi bardzo z córką. Szkoła Mari Carmen jest lepsza niż ta poprzednia, a dojazd do Texarkany nie jest znów tak tragiczny.

Nadal załatwiam tam sporo spraw i mam kontakty, a droga zabiera mi nie więcej niż dwie i pół, trzy godziny, w zależności od ruchu i pogody.

–Nie znajdziemy Cameron, prawda? – Popatrzyłam na nią.

Zawahała się.

–Nigdy nie wiadomo. Zawsze jest szansa, że coś nagle wyskoczy. Nie zwodziłabym was, przecież wiesz.

Skinęłam głową.

–Zawsze mam to na uwadze – ciągnęła Victoria. – Przez te wszystkie lata, od chwili kiedy

przyszłam do waszej przyczepy i rozmawiałam z Tolliverem... Wtedy byłam ścieżynką, wydawało mi się, że odnajdę ją raz-dwa i dzięki temu wyrobię sobie dobrą opinię. Przeliczyłam się. Jednak nawet teraz, kiedy jestem już na swoim, nadal jej szukam przy każdej okazji.

Zacisnęła powieki. Ja także.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po wyjściu Victorii usiadłam na krześle u stóp łóżka szpitalnego. Noga znów odmawiała mi posłuszeństwa. Ta sama, którą pewnego popołudnia przeszył piorun. Gotowałam się na randkę, to był piątkowy czy może sobotni wieczór. Odkrycie, że nie pamiętam już dokładnie okoliczności, było dla mnie sporym szokiem.

Przypominałam sobie jedynie, że stałam przed lustrem, kręcąc włosy na lokówce podłączonej do gniazdka nad umywalką. Piorun wpadł przez okno łazienkowe. W następnej chwili leżałam na plecach, na wół w drugim pomieszczeniu. Tolliver mnie reanimował, ratownicy odrywali go ode mnie, Matthew na nich wrzeszczał, a Mark starał się uciszyć ojca.

Matka leżała nieprzytomna w sypialni. Widziałam ją kątem oka, rozciągniętą na łóżku. Jedno z dzieci płakało wniebogłosy, chyba Mariella. Cameron stała, przyciskając się do ściany w korytarzyku, oszalała z rozpaczy, z twarzą mokrą od łez. W powietrzu unosił się dziwny zapach. Włoski na moim prawym ramieniu były prawie całkiem spalone.

–Brat właśnie uratował ci życie – powiedział pochylający się nade mną starszy mężczyzna. Jego głos dochodził jakby z oddali i brzęczał.

Chciałam odpowiedzieć, ale wargi odmawiały mi posłuszeństwa. Zdołałam tylko mrugnąć.

–Dzięki ci, Jezu – wykrztusiła niewyraźnie Cameron.

Scena z przyczepy wydawała mi się bardziej realna niż szpitalne otoczenie. Potrafiłam przywołać niezwykle wyraźny obraz Cameron: długie, proste, jasne włosy i brązowe oczy, po ojcu. Nie byłyśmy do siebie podobne, nawet przelotne spojrzenie wystarczyło, by dostrzec różnice – odmienny kształt twarzy i inny wykrój oczu. Cameron miała piegi na nosie, była niższa i bardziej krępa. Obie osiągałyśmy dobre wyniki w nauce, ale to ją bardziej lubiano w szkole. Zapracowała sobie na to. Cameron radziłaby sobie jeszcze lepiej, gdyby nie pamiętała tak dobrze lat spędzonych w pięknym domu w Memphis, gdzie dorastałyśmy, nim rodzice nie stoczyli się na dno piekła. Tamte wspomnienia zmuszały ją do ciągłego, mozolnego trudu, by uzyskać podobieństwo do przechowywanego w głowie obrazu. Do szału doprowadzało ją, jeśli nie wyglądaliśmy wystarczająco czysto, schudnie i dostatnio. Podobnie jak do szału doprowadzała ją myśl, że ktoś mógłby zacząć podejrzewać, jak naprawdę wygląda nasz dom i życie. To dążenie do zachowania pozorów w szkole sprawiało, że głuchła na rozsądne argumenty. Prawdę mówiąc, czasem ciężko z nią szło wytrzymać. Ale była całkowicie oddana rodzeństwu: i temu spokrewnionemu, i temu przybranemu. Jej determinacja w pragnieniu odpowiedniego wychowania Marielli i Gracie równała się tej, z jaką starała się dorównać wyblakłym wspomnieniom naszych lepszych czasów. Cameron nie ustawała w wysiłkach, aby nasza przyczepa wyglądała czysto i porządnie, a ja byłam w tej walce jej adiutantem.

Spotkanie z Victorią obudziło wiele duchów przeszłości. Tolliver nadal spał, a ja myślałam o tych wszystkich latach, kiedy nieustannie spodziewałam się ujrzeć nagle siostrę. Wyobrażałam

sobie, że odwracam się w sklepie, a ona jest kasjerką przyjmującą ode mnie zapłatę. Albo że jest prostytutką stojącą nocą na rogu ulicy. Albo młodą matką pchającą wózek – tą z długimi, jasnymi włosami.

Ale nigdy tak nie było.

Raz nawet zaczepiłam dziewczynę, pytając, czy nie ma na imię Cameron, bo byłam przekonana, że to moja siostra, trochę starsza i znużona. Przestraszyłam ją. Oddaliłam się pospiesznie, wiedząc, że jeśli nie ustąpię, wezwie policję.

W tych wszystkich fantazjach nie było miejsca na kwestie, dlaczego Cameron w ogóle miała to swoje drugie życie ani czemu nie dała znaku przez te wszystkie lata.

Początkowo myślałam, że porwał ją jakiś gang albo handlarze żywym towarem, że spotkało ją coś brutalnego. Później przyszło mi do głowy, że może po prostu miała dość takiego życia, w obskurnej przyczepie, z rodzicami narkomanami, kulawą siostrą o błędnym spojrzeniu i dwoma maluchami, które wiecznie się brudziły.

Najczęściej jednak byłam pewna, że nie żyje.

Z przykrej zadumy wyrwało mnie nieoczekiwane pojawienie się jednego z detektywów, którzy wczoraj przyjechali na miejsce zdarzenia... Wsunął się cicho do sali i teraz stał nad Tolliverem.

–Jak się pani czuje, pani Connelly? – zapytał głosem, który nie wzbudził prawie żadnego ruchu powietrza, był taki cichy i jednostajny.

Wstałam, bo zdenerwowała mnie ta jego bezszelestność i szeptanina. Nie był specjalnie wysoki, nieco ponad metr siedemdziesiąt, mocno przysadzisty, miał gęste wąsy poprzetykane siwizną. Był typowym przeciętniakiem, wręcz przeciwieństwem swojego partnera, Parkera Powersa. Usiłowałam przypomnieć sobie, jak się nazywa. Rudy Cośtam. Rudy Flemmons.

–W porównaniu do brata, świetnie – odparłam, wskazując brodą na łóżko. – Macie już jakieś podejrzenia co do sprawcy?

–Na parkingu znaleźliśmy niedopalki, ale mogą należeć do kogokolwiek. Zabezpieczyliśmy je jednak, w razie gdybyśmy zdobyli jakiś materiał porównawczy. Zakładając, że technikom uda się wyodrębnić jakieś DNA. – Przez chwilę przypatrywaliśmy się Tolliverowi. Otworzył na moment oczy, uśmiechnął się i znów zapadł w sen.

–Uważa pani, że to do niego strzelano?

–Przecież został trafiony – powiedziałam, trochę zaskoczona pytaniem. Przecież to jasne, że strzelec celował w Tollivera.

–A może chciał trafić panią? – podsunął Rudy Flemmons.

–Dlaczego? – zabrzmiało to głupio. – Znaczy, dlaczego ktoś miałby do mnie strzelać? Chce pan powiedzieć, że Tolliver dostał kulę, która powinna trafić mnie?

–Mówię, że MOŻE chciał trafić panią, a nie, że POWINIEN trafić panią.

–A na jakiej podstawie opiera pan tę teorię?

–To pani gra pierwsze skrzypce w tym duecie.

Brat tylko pani pomaga. Pani jest ważniejsza. Z tego względu zamach na panią jest bardziej prawdopodobny niż na pana Langa. Rozumiem, że nie ma partnerki?

To najdziwniejszy policjant, z jakim zdarzyło mi się rozmawiać.

Westchnęłam. Znow się zaczynało.

–Ma.

–Jak się nazywa? – Flemmons wyjął notes.

–To ja.

Spojrzał na mnie skonfundowany.

–Słucham?

–Tolliver nie jest naprawdę moim bratem. – Męczyło mnie to wyjaśnianie naszych relacji.

–Ach tak, nie macie wspólnych rodziców. – Widać zebrał informacje o nas.

–Właśnie. Jesteśmy partnerami. W każdym znaczeniu tego słowa.

–W porządku. Rano dostałem interesujący telefon. – Flemmons nagle zmienił temat. Natychmiast zrobiłam się czujna.

–Tak? Od kogo?

–Od detektywa z texarkańskiej policji, Petera Greshama. To stary znajomy.

–I co panu powiedział? – Westchnęłam. Nie miałam ochoty wysłuchiwać powtórki sprawy zniknięcia mojej siostry. Ten dzień i tak upływał już pod znakiem żałoby po Cameron.

–Że był telefon w sprawie pani siostry.

–Jakiego rodzaju telefon? – Na świecie jest więcej świrów, niż dopuszcza ustawa.

–Ktoś widział ją w centrum handlowym.

Na moment zabrakło mi tchu. Potem powietrze zalało moje płuca tak gwałtownie, że aż jęknęłam.

–Cameron? Kto ją widział? Ktoś, kto ją znalazł?

–To był anonimowy telefon.

–Och. – Czulałam, jakby ktoś grzmotnął mnie w brzuch. – Ale... Jak sprawdzić, czy to prawda? Jest taka możliwość?

–Pamięta pani Pete'a Greshama? Prowadził śledztwo w sprawie pani siostry.

Przytaknęłam. Pamiętałam go, choć niezbyt wyraźnie. Patrząc wstecz, dni po zniknięciu Cameron zlewały mi się w jedno pasmo zmartwień. – Duży facet – powiedziałam i dodałam już mniej pewnie: – Zawsze chodził w kowbojkach? I łysiał, choć był na to zdecydowanie za młody.

–Tak, to on. Teraz jest całkiem łysy. Myślę, że po prostu goli te marne resztki, które przypadkiem zapłaczą mu się na czaszkę.

–I co? Zrobił coś w sprawie tej informacji?

–Przejrzał nagrania ochrony.

–Mają monitoring w centrum?

–Gdzieś i całkiem sporo na parkingu, jak mówił Pete.

–Widział ją? – Bałam się, że jeszcze chwila i zacznę do niego wrzeszczeć.

–Widział kobietę ogólnie pasującą do opisu pani siostry, ale zdjęcie było zbyt niewyraźne, aby stwierdzić, czy to była Cameron Connelly.

–Mogę obejrzeć to nagranie?

–Zobaczę, co się da zrobić. W normalnych okolicznościach pewnie chciałaby pani osobiście jechać do Texarkany, ale ze względu na stan pana Langa, który zapewne będzie wymagał pobytu w szpitalu, może uda się nam pokazać jej pani u nas.

–Byłoby wspaniale. Droga tam i z powrotem zajęłaby mi sporo czasu, a nie powinien zostawać na tak długo sam. – Zachowanie spokoju kosztowało mnie wiele wysiłku.

Impulsywnie ujęłam dłoń Tollivera. Była zimna. Postanowiłam poprosić pielęgniarkę o dodatkowy koc.

–Hej – powiedziałam, pochylając się nad Tolliverem. – Słyszałeś, co powiedział detektyw?

–Trochę – wymamrotał Tolliver niewyraźnie, ale udało mi się go zrozumieć.

–Ściągnie tu zapis z kamer centrum, żebym mogła go zobaczyć na miejscu. Może wreszcie trafimy na jakiś ślad. – Niewiarygodne, ale nie dalej jak godzinę temu właśnie o tym rozmawialiśmy z Victorią.

–Nie rób sobie nadziei – ostrzegł Tolliver wyraźniej. – Już tak bywało.

–Nie chciałam teraz rozpamiętywać poprzednich fałszywych tropów.

–Wiem, ale może tym razem będziemy mieć szczęście?

–Nawet jeśli, nie będzie już taka sama, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? – Tolliver otworzył wreszcie oczy i spojrzał przytomniej. – Nie będzie taka, jak kiedyś.

–Pospiesznie powściągnęłam emocje.

–Tak, wiem. – Nie byłaby taka, jak kiedyś. Minęło zbyt wiele lat. Dzielilo nas zbyt wiele bólu, zbyt wiele... wszystkiego.

–Jeśli chcesz jechać do Texarkany... – zaczął Tolliver.

–Nie, nie zostawię cię – przerwałam mu.

–Jeśli to konieczne, jedź – powtórzył.

–Dzięki. Ale nie ruszę się stąd nigdzie, dopóki nie wyjdiesz ze szpitala. – Nie mogłam uwierzyć, że to powiedziałam. Tyle lat czekałam na jakiegokolwiek wieści o siostrze. A teraz, kiedy pojawił się ślad, aczkolwiek mało prawdopodobny i niewiarygodny, właśnie oświadczyłam, że nie rzucę wszystkiego, żeby go sprawdzić.

–Usiadłam na krześle i pochyliliłam się, opierając czoło na pościeli. Nigdy nie czułam się bardziej rozdarta.

–Detektyw Flemmons przysłuchiwał się naszej rozmowie z obojętną miną. Zachował zdanie dla siebie, za co byłam mu wdzięczna.

–Dam pani znać, gdy będziemy gotowi – rzekł na pożegnanie.

–Dziękuję – wykrztusiłam nieco odrętwiała.

–Tak miało być – odezwał się Tolliver po wyjściu policjanta.

–Co?

–Dostałaś kulę przeznaczoną dla mnie, a jeśli on ma rację, teraz jest na odwrót. Myślisz, że to ty byłaś celem?

–Uhm, z tym że mnie ledwie drasnęła, ten strzelec miał lepsze oko.

–Tak, najwyraźniej do mnie strzelają ci lepsi.

–Te leki muszą być niezłe.

–Genialne – przyznał sennie.

Uśmiechnęłam się. Tolliver rzadko bywał tak odprężony. Nie chciałam na razie myśleć więcej o Cameron, bo sama nie wiedziałam, czego sobie życzyć. Rozległo się pukanie i nim zdążyliśmy odpowiedzieć, do sali wszedł Matthew. W jednej chwili przyjemny nastrój poszedł w diabły.

Matthew wyglądał na zmaltretowanego, co nie było dziwne, skoro nie spał wczoraj do późna, a dzisiaj, jak wspomniał, szedł na ranną zmianę. Zdążył jednak wziąć po pracy prysznic, bo nie roztaczał wokół siebie specyficznej woni McDonalda.

–Twój ojciec bardzo mi wczoraj pomógł – zwróciłam się do Tollivera, czując, że powinnam oddać mu sprawiedliwość. – I został w szpitalu, póki nie upewnił się, że jest z tobą lepiej.

–Jesteś pewna, że jego pomoc nie rozciągała się też na umieszczenie we mnie kulki?

Gdybym nie mieszkała kiedyś z Matthew Langiem, byłabym zszokowana takim przypuszczeniem. Sam Matthew wydawał się do głębi nim zraniony. – Jak możesz tak w ogóle mówić, synu? – powiedział, jednocześnie zły i rozżalony. – Wiem, że nie jestem najlepszym ojcem...

–Nie najlepszym? Nie pamiętasz, jak przystawiłeś Cameron lufę do skroni, grożąc, że rozwalisz jej mózg, jeśli nie powiem, gdzie schowałem wasz towar?

Matthew przygarbił się wyraźnie. Chyba udało mu się wyrzucić z pamięci ten mały incydent.

–I ty pytasz, czemu cię podejrzewam? – Gdyby Tolliver nie był tak osłabiony, jego ton kipiałby od gniewu. Zamiast tego jego słowa brzmiały tak smutno, że chciało mi się płakać. – To raczej naturalne, TATO.

–Nie zrobiłbym tego – bronił się Matthew. – Kochałem Cameron. Tak jak was wszystkich. Byłem ćpunem, Tolliverze. Byłem cholernym popaprańcem, wiem. Ale teraz jestem czysty i trzeźwy i proszę cię o wybaczenie. Przysięgam, że tym razem nie nawalę.

–Słowa to za mało. – Zmartwiona, zerknęłam na Tollivera. Pięć minut w towarzystwie ojca, a wyglądał na wykończonego. – Skoro już mówimy o miłych wspomnieniach, też mogłabym kilka wymienić. Wczoraj byłeś... w porządku. Świetnie. Ale to tylko kropla w morzu.

Matthew zasmucił się. Zrobił oczy spaniela, niewinne i wilgotne od tkliwych uczuć.

Ani przez moment nie wierzyłam w tę jego przemianę. Choć, musiałam przyznać, bardzo jej chciałam. Gdyby ojciec Tollivera naprawdę się zmienił, starał się kochać syna i szanować, jak ten na to zasługiwał, naprawdę byłabym szczęśliwa.

W następnej sekundzie złażałam się za sentymentalizm, za to, że tak poddałam się mu choćby na tyle. Tolliver był przecież ranny i słaby, dlatego ja powinnam wykazać się zdwojoną czujnością. W końcu teraz musiałam pilnować i siebie, i jego.

–Wiem, że sobie na to zasłużyłem, Harper – przyznał Matthew. – I wiem, przekonanie was, że naprawdę żałuję, zajmie mi sporo czasu. Wiem, że spieprzyłem, i to nie raz. Nie zachowywałem się, jak prawdziwy ojciec powinien. Ba, nie tylko ojciec, nawet przeciętny odpowiedzialny dorosły.

Odwróciłam się do Tollivera, żeby pohamować jego reakcję, ale ujrzałam tylko rannego młodego człowieka, umęczonego natrętnością ojca.

–Nie powinieneś fundować teraz Tolliverowi takich scen – rzekłam. – Ta cała dyskusja jest całkiem nie na miejscu. Dzięki za pomoc, ale teraz powinieneś już iść.

Musiałam oddać Matthew sprawiedliwość – posłuchał mnie bez sprzeciwu. Pożegnał się i wyszedł. – Uff, nareszcie – powiedziałam, żeby wypełnić czymś ciszę. Wzięłam Tollivera za rękę, ale nie otworzył oczu. Nie byłam pewna, czy naprawdę śpi, ale nie przeszkadzało mi to. Strumień odwiedzających wysechł chyba zupełnie, bo przez kilka kolejnych godzin udało nam się nacieszyć zwykłą, szpitalną nudą. Oglądaliśmy stare filmy, nawet trochę poczytałam. Nikt nie dzwonił, nikt nie przychodził. Kiedy wielki zegar wskazał piątą, Tolliver kazał mi iść i zameldować się w hotelu. Po krótkiej rozmowie z pielęgniarką w końcu ustąpiłam. Ledwie trzymałam się na nogach i marzyłam o prysznicu. Ranki na twarzy bolały i swędziały.

Musiałam skupić całą uwagę na kierowaniu, kiedy objeżdżałam hotele. Wybrałam ten, w którym zaoferowano mi czysty, przygotowany pokój na drugim piętrze. Wyciągnęłam torbę z bagażnika i powlokłam się przez hol do windy, myśląc tylko o tym, żeby znaleźć się już w wygodnym łóżku. Byłam co prawda głodna, ale to łóżko stanowiło główny punkt mojej tęsknoty. Kiedy zadzwoniła komórka, odebrałam przekonana, że to ze szpitala.

–Mówi pani, jakby spała na stojąco – zauważył detektyw Flemmons.

–Uhm.

–Rano będziemy mieć te nagrania. Wpadnie pani na komisariat?

–Jasne.

–Dobrze, w takim razie zobaczymy się jutro o dziewiątej, może być?

–Pewnie. Coś nowego w śledztwie?

–Nadal przepytujemy ludzi w okolicy. Może ktoś widział coś w czasie, gdy pani brat został postrzelony. Ta druga strzelanina, na Goodman, to były porachunki pomiędzy złodziejami. Niewykluczone, że ten sam sprawca tak się rozochocił, że mijając motel, postanowił sobie postrzelać do celu. Chyba znaleźliśmy też miejsce, z którego padły strzały.

–To dobrze – powiedziałam, niezdolna wykrzesać z siebie żywszej reakcji. Winda zatrzymała się na drugim piętrze i wyszłam na korytarz, gdzie znajdował się mój pokój. – Czy to już wszystko? – Włożyłam kartę do zamka.

–Raczej tak. Gdzie pani teraz jest?

–W hotelu, zatrzymałam się w Holiday Inn Express.

–Tym na Chisholm?

–Uhm. Niedaleko szpitala.

–Dobrze, skontaktuję się z panią później – rzekł detektyw na zakończenie. Rozpoznałam ton, jakim mówił.

Rudy Flemmons był Fascynatem.

Ludzie, których spotykałam w związku z pracą, dzielą się na trzy kategorie: tych, którzy nie uwierzyliby mi, nawet gdybym przedstawiła im pisemne zaświadczenie od samego Boga, ludzi o otwartych umysłach, którzy dopuszczali istnienie rzeczy nieprzewidywalnych (nazywałam ich Hamletowcami) oraz tych, którzy nie wątpili, że naprawdę robię to, co robię. Mało tego, ci ostatni byli absolutnie zafascynowani moim darem nawiązywania kontaktu ze zmarłymi.

Fascynaci oglądali „Łowców duchów”, brali udział w seansach spirytystycznych i korzystali z usług osób w rodzaju naszej świętej pamięci znajomej, Xyldy Bernardo. A jeśli nawet nie robili tego wszystkiego aktywnie, to z pewnością byli bardzo otwarci na nowe doświadczenia. W szeregach stróżów prawa nie spotykało się Fascynatów zbyt często, co było naturalne, gdyż policjanci na co dzień miewali do czynienia z różnego rodzaju oszustami.

Fascynatów przyciągałam niczym kocimiętka koty, ponieważ byłam prawdziwa. Wiedziałam, że od tej pory kontakty z detektywem Rudym Flemmonsem staną się coraz częstsze. Byłam żywym potwierdzeniem wszystkiego, w co skrycie wierzył.

A wszystko dlatego, że zostałam porażona piorunem.

Marzyłam o prysznicu, jednak zrzuciłam buty i położyłam się na łóżku. Zadzwoiłam do Tollivera, aby poinformować go o jutrzejszej wizycie na komisariacie, obiecałam, że prosto stamtąd przyjdę do szpitala i wszystko mu opowiem. Jego głos był tak senny jak ja. W efekcie

zamiast iść pod prysznic, ściągnęłam tylko spodnie, odłożyłam telefon na ładowarkę i wsunęłam się pod koldrę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Obudziłam się bardzo gwałtownie. Przez kilka sekund leżałam, usiłując skojarzyć powody, dla których czułam się taka nieszczęśliwa, a potem przypominałam sobie o ranie Tollivera. Wszystkie wspomnienia wróciły do mnie z przerażającą wyrazistością.

Ja także zostałam postrzelona przez okno, zaczęłam się więc zastanawiać, czy coś w tym jest. Może gdybyśmy trzymali się z dala od budynków, to by zneutralizowało niebezpieczeństwo? Co prawda Tolliver należał do skautów i jeździł na obozy, ale nie przypominam sobie, żeby pomieszkiwanie na Ionie natury szczególnie go zachwycało. Ja tym bardziej nie byłam typem biwakowiczki.

Zegarek wskazywał wpół do piątej. Przespałam cały wieczór i noc. Nic dziwnego, że mimo wczesnej pory byłam rześka. Podłożyłam poduszki pod plecy i włączyłam telewizor, ścisząc głoś. Oglądanie wiadomości odpadało, zawsze podawali w nich tylko złe, a miałam dość krwawych scen i brutalności. Na którymś kanale znalazłam stary western. Przyglądanie się, jak zwyciężają zawsze ci dobrzy, a twarde saloonowe dziwki odkrywają swe złote serca, wprawiało mnie w iście błogi nastrój. W dodatku zdałam sobie sprawę, że w niegdysiejszych filmach powaleniu kulą ludzie nie krwawili. Tamten świat podobał mi się znacznie bardziej niż ten, w którym żyłam, i wizyta w nim sprawiała mi ogromną przyjemność, szczególnie o tej szarej godzinie.

Po jakimś czasie musiałam znowu usnąć, bo gdy otworzyłam oczy, była siódma. Telewizor nadal chodził, a w ręku trzymałam pilota.

Po porannej toalecie zeszłam do baru na śniadanie. Zaczynałam się obawiać, że jeśli nie będę jadła regularnych posiłków, w końcu zasłabnę. Zjadłam sporą miskę owsianki, trochę owoców i wypilałam dwie filiżanki kawy. Wróciłam do pokoju, żeby umyć zęby i zrobić makijaż. Podkład odpadał z powodu skaleczeń, ale nałożyłam trochę cienia i wytuszcowałam rzęsy. Skrzywiłam się do odbicia w lustrze. Wyglądałam jak ofiara napadu kota. Równie dobrze mogłam zarzucić zbędne wysiłki poprawienia wyglądu.

Nadszedł czas, aby udać się na komisariat, żeby obejrzeć nagrania. Żołądek ścisnął mi się z nerwów. Usilnie starałam się nie myśleć o tym, że mogę ujrzeć Cameron, ale kiedy brałam witaminy, trzęsły mi się ręce. Zadzwoiłam do szpitala, żeby zapytać o Tollivera. Pielęgniarka powiedziała, że w nocy prawie cały czas spał, więc pozbyłam się obiekcji co do późniejszych odwiedzin.

Sen i posiłek pomogły, pomimo trosk nareszcie czułam się sobą. Wydział policji mieścił się w niskim gmachu, który wyglądał, jakby zaczynał skromnie, a potem wziął sterydy. Najwyraźniej rozbudowano go i najwyraźniej mimo to wciąż pękał w szwach. Miałam problem ze znalezieniem miejsca na parkingu, a gdy wysiadłam z samochodu, rozpadało się. Na początku kropiło, ale po chwili lunęło na dobre. Pobiłam rekord szybkości w wyciąganiu z bagażnika i rozkładaniu parasola, więc wchodząc do budynku, nie byłam tak strasznie przemoczona.

Z różnych powodów spędzałam sporo czasu na komisariatach. Nowe czy stare, są do siebie podobne, tak jak szkoły albo szpitale.

Nie dostrzegłam żadnego stojaka, musiałam więc zabrać parasol ze sobą. Szłam korytarzem, zostawiając mokry ślad. Sprzątacze będą dzisiaj mieli dużo pracy. Latynoska stojąca za kontuarem była szczupła, muskularna i bardzo zajęta. Na moją prośbę wezwała Flemmonsa przez interkom. Nie czekałam długo, detektyw pojawił się już po kilku minutach.

–Dzień dobry, pani Connelly – przywitał mnie. – Proszę ze mną.

Poprowadził mnie przez labirynt boksów, odgrodzonych niewysokimi przepierzeniami pokrytymi wykładziną. Mijając wydzielone pomieszczenia, zauważyłam, że są różnorodnie udekorowane przez zajmujących je pracowników. Większość komputerów była strasznie brudna, monitory pokrywały ślady palców i powłoka kurzu tak gruba, że trzeba się dobrze wpatrywać, żeby zobaczyć litery na ekranie. Salę, niczym gęsty smog, wypełniał gwar rozmów.

Nie było to radosne miejsce. Mimo że ludzie z policji zwykle uważali mnie za oszustkę, szarlatanekę, co oznaczało, że nie przepadałam za nimi jako jednostkami, i tak doceniałam, że ktoś w ogóle wykonuje tę pracę.

–Pewnie ciągle ma pan do czynienia z kłamcami – odezwałam się, podążając za tokiem własnych myśli. – Jak pan to wytrzymuje?

Rudy Flemmons spojrzał na mnie przez ramię.

–To część pracy. Ktoś musi stać pomiędzy tymi zwykłymi a tymi złymi.

Uderzyło mnie, że nie powiedział „dobrymi”. Możliwe, że gdybym pracowała w policji tak długo jak on, też nie wierzyłabym w istnienie czystej dobroci ludzkiej.

Na końcu, za boksami, znajdowało się coś w rodzaju pomieszczenia konferencyjnego z długim stołem otoczonym mocno zniszczonymi krzesłami. Na jednym krańcu blatu stał sprzęt do odtwarzania nagrań wideo. Kiedy zajęłam miejsce, Flemmons przygasił światło i nacisnął guzik startu.

Byłam tak spięta, że wydawało mi się, jakby pokój wibrował. Wpatrywałam się w ekran intensywnie, obawiając się, że coś przeoczę.

W następnej chwili oglądałam kobietę, na oko przed trzydziestką, która szła przez parking. Jej twarz była rozmazana i częściowo odwrócona. Miała długie, jasne włosy, była dość niska i krępa. Przysłoniłam usta dłonią, żeby nie mówić nic, póki nie nabiorę pewności.

Obraz zmienił się nagle, ukazując tę samą kobietę już w sklepie. Niosła torbę z Buckle'a. Ujęcie pokazywało ją en face. Mimo że film był krótki i zaśnieżony, przymknęłam powieki, czując ucisk w żołądku.

–To nie ona – rzekłam. – To nie moja siostra. – Miałam wrażenie, że zaraz się rozplacę, oczy mnie zapiekły, ale łzy nie popłynęły. Jednak niepokój i późniejsze rozczarowanie lub ulga były ogromne.

–Jest pani pewna?

–Nie na sto procent. – Wzruszyłam ramionami. – Musiałabym ją zobaczyć twarzą w twarz. Ostatnio widziałam siostrę osiem lat temu. Ale ta kobieta ma okrągłą twarz i chodzi inaczej niż Cameron.

–Dobrze, puszcze to jeszcze raz, dla pewności – rzucił Flemmons bardzo neutralnym tonem. Usiadłam prosto i jeszcze raz skupiłam się na ekranie.

Rzeczywiście, za drugim razem mogłam dostrzec więcej szczegółów.

Kobieta z parkingu dźwigała wielką torebkę. Cameron nie kupiłaby sobie takiej. Oczywiście, gusta ewoluują z czasem, ale nie sądziłam, żeby preferencje siostry zmieniły się aż tak drastycznie. Kobieta była ubrana dość swobodnie, ale na nogach miała szpilki, zaś Cameron nigdy nie założyłaby wysokich obcasów do codziennego stroju. Aczkolwiek mogła zmienić upodobania co do torebek i butów. Ja także nie nosiłam takich dodatków jak za czasów szkolnych. Jednakże kształt twarzy i chód, lekkie przygarbienie... Nie, to nie mogła być Cameron.

–Zdecydowanie nie – oświadczyłam po chwili.

Teraz byłam już spokojniejsza. Napięcie opadło, a fakt, że kolejna nadzieja okazała się złudna, dotarł już do mojej świadomości.

Rudy Flemmons spuścił na chwilę głowę, a ja zastanawiałam się, jaką minę ukrywa.

–W porządku – rzekł wreszcie. – W porządku, przekażę to Pete'owi Greshamowi. Przy okazji, pozdrawiał panią.

Kiwnęłam głową. Teraz, gdy widziałam już nagranie i okazało się, że kobieta na nim nie jest moją siostrą, chciałam dowiedzieć się czegoś na temat osoby, która zadzwoniła z informacją na policję. Zaczęłam wypytywać, ale detektyw nie puścił pary z ust.

–Dam pani znać, jeśli się czegoś dowiemy – uciał, nie zaspokoivszy mojej ciekawości.

Rozłożyłam parasol i pobiegłam do samochodu. Telefon w kieszeni zaczął wibrować, strzepnęłam więc parasol i wrzuciłam go na tył samochodu, wślizgując się za kierownicę. Zatrzasnąwszy drzwiczki, odebrałam.

–Mariah Parish miała dziecko – oznajmiła Victoria Flores.

–Możesz przekazywać mi tę informację?

–Rozmawiałam już z Lizzy Joyce. Aktualnie idę za śladem tego dziecka. Godzinami siedzę przy komputerze, sporo też chodziłam. Cała ta sprawa jest bardzo dziwna. Skoro pozwoliła tobie rozmawiać ze mną, przyjmuję, że działa to też w drugą stronę – Victoria, zwykle powściągliwa i rzeczowa, teraz niemalże paplala.

–Hm, nie wiem, w każdym razie ja na pewno nie będę rozpowiadała o tym na prawo i lewo – zapewniłam coraz bardziej zaciekawioną.

–Może zjemy razem obiad? Chyba przyda ci się trochę towarzystwa, skoro twój luby jest w szpitalu?

–Bardzo chętnie.

–Dobrze, co powiesz na Outback? Ten w pobliżu szpitala?

Podala mi wskazówki, jak dojechać na miejsce, i umówiliśmy się na szóstą. Zdziwiła mnie ta otwartość Victorii. W zasadzie jej ochoczość do dzielenia się ze mną informacjami wydała mi się nawet dziwna. Jednak po prawdzie, czułam się trochę osamotniona i świadomość, że ktoś chce ze mną porozmawiać, sprawiła mi przyjemność. Co prawda dzwoniła też Iona, żeby zapytać o zdrowie Tollivera, ale tylko raz, a konwersacja była krótka i raczej kurtuazyjna.

Szpitala to odrębne światy – także i ten kręcił się niepowstrzymanie wokół własnej osi. Nie zastałam Tollivera w sali. Powiedziano mi, że został zabrany na badania, ale nikt nie wiedział na jakie i dlaczego.

Poczułam się strasznie opuszczona. Nawet Tollivera, teoretycznie przykutego do łóżka, nie było w spodziewanym miejscu. Zadzwoiła komórka. Rozejrzałam się skrepowana, bo nie powinnam mieć jej w szpitalu włączonej, ale odebrałam.

–Harper? Wszystko u ciebie w porządku?

–Manfred! Co słyhać? – Od razu się uśmiechnęłam.

–Czułem, że masz jakieś kłopoty, i musiałem zadzwonić. Coś się dzieje?

–Nawet nie wiesz, jak się cieszę – powiedziałam bardziej ożywiona, niż powinnam.

–Hm, skoro tak, lecę pierwszym samolotem. – Nie do końca żartował. Manfred Bernardo, początkujący jasnowidz, młodszy ode mnie o trzy czy cztery lata, nigdy nie ukrywał, jak bardzo go pociągam.

–Czuję się trochę samotna, bo Tolliver został postrzelony. – Natychmiast zdałam sobie sprawę, jak bardzo egocentrycznie to zabrzmiało. Po moich wyjaśnieniach Manfred rozochocił

się jeszcze bardziej.

Na serio zapowiedział swój przylot do Teksasu, żeby „użyczyć mi rękawa”, w który mogłabym się wyplakać. Przez moment miałam ochotę na to przystać. Obecność Manfreda – z jego tatuażami, kolczykami i całą resztą – poprawiłaby mi nastrój. Powstrzymała mnie jednak wizja miny Tollivera na wieść o przybyciu chłopaka.

W końcu obiecałam, że dam mu znać, jeśli będzie gorzej, tym ogólnikowym stwierdzeniem satysfakcjonując nas oboje. Manfred poprzysiągł, że będzie dzwonił codziennie, póki Tolliver nie wyjdzie ze szpitala.

Rozmowę skończyłam w znacznie lepszym nastroju. A żeby było jeszcze lepiej, w tej samej chwili salowy przywiózł siedzącego na wózku Tollivera.

Tolliver wyglądał odrobinę lepiej niż wczoraj, ale po przygarbionej pozycji, w jakiej siedział, poznałam, że jest bardzo osłabiony. Co prawda nie przyznałby się do tego, ale z ulgą wrócił do łóżka.

Upewniwszy się, że pacjentowi niczego nie brakuje, salowy wyszedł cichym, szybkim krokiem, który leżał chyba w zakresie obowiązków wszystkich pracowników szpitala. Tolliver wyjaśnił, że był na prześwietleniu, badaniu obojczyka i konsultacji z neurologiem, który sprawdzał, czy rzeczywiście nerwy nie zostały uszkodzone.

–Widziałeś się z doktorem Spradlingiem? – zapytałam.

–Tak. Mówił, że wszystko wygląda w porządku. Myślałem, że będziesz wcześniej. – Chyba zupełnie zapomniał, że mówiłam mu o zaplanowanej wizycie na posterunku.

Opowiedziałam mu o nagraniu i różnicach pomiędzy nieznaną kobietą a Cameron.

–Przykro mi – westchnął. – Co prawda przypuszczałem, że to ktoś inny, ale pewnie gdzieś na dnie zawsze płonie jakaś iskierka nadziei.

Właśnie tak się czułam.

–Ja się najbardziej zastanawiam, dlaczego ktoś sądził, że to ona. Kto dzwonił na policję? Kto podsunął Pete'owi pomysł z nagraniami? Ta kobieta była na tyle podobna, by zmylić Pete'a i skłonić go do pokazania zapisu mnie. Czy ten anonimowy informator chodził z nami do szkoły i po prostu się pomylił? Czy to raczej jakiś świr, który nas dręczy?

–I dlaczego akurat teraz? – dorzucił Tolliver, spoglądając na mnie. Nie znałam odpowiedzi.

–Jakoś nie mogę się dopatrzeć związku z Richem Joyce'em i jego opiekunką. Ale zbiegnięcie się tych spraw w czasie jest zastanawiające, nie?

Żadne z nas nie mogło wymyślić nic więcej na temat tego splotu wydarzeń. Po chwili podeszłam do szafy i wyjęłam z dzinsów Tollivera grzebień. Spodnie były zaplamione, a koszulka pocięta. Zanotowałam w myślach, żeby przynieść mu czyste ubranie na wyjście.

Podczas czesania okazało się, że ma brudne włosy, więc zaczęłam kombinować, jak by je umyć. Improvizowałam. Z pomocą czystego basenu, gumowego podkładu, którym okryty był materac w razie, gdyby opatrunek przemókł, oraz szamponu znajdującego się w wyprawce szpitalnej, udało mi się tego dokonać. Pomogłam mu się też ogolić, umyć zęby, a nawet umyć z grubsza gąbką, która to czynność nabrała zaskakująco sprośnego wymiaru.

Po wszystkim Tolliver, odprężony i senny, stwierdził, że czuje się o wiele lepiej. Przyglądałam mu ciemne, wilgotne włosy i pocałowałam w gładki policzek.

Pielęgniarka przyszła go umyć w chwili, kiedy skończyłam. Widząc, że wszystko jest zrobione, wzruszyła ramionami i wyszła.

W szpitalu czas się niemiłosiernie dłuży. Zanim miałam okazję powiedzieć Tolliverowi o telefonie Victorii, zasnął. Biorąc pod uwagę, że mieliśmy w perspektywie cały długi dzień, postanowiłam go nie budzić. Sama także ucięłam sobie drzemkę. Ocknęłam się o wpół do dwunastej, przebudzona hałasem wózka z jedzeniem. Kolejna ekscytująca przerwa w nudzie. Pokroiłam Tolliverowi jedzenie, choć wiele do krojenia nie było, i włożyłam słomkę do napoju, żeby poradził sobie jedną ręką. Był przeszczęśliwy, że wreszcie dostał coś konkretnego, i nawet jakoś szpitalnego posiłku mu nie przeszkadzała. Kiedy się najadł, zabrałam tacę i wręczyłam mu pilota do telewizora. Postanowiłam sama poszukać czegoś do zjedzenia.

–Nie musisz tu siedzieć cały dzień – powiedział Tolliver.

**–Teraz coś zjem, a potem jeszcze posiedzę – oświadczyłam tonem nieznoszącym sprzeciwu.
– Później mam spotkać się z Victorią i pewnie już dzisiaj nie przyjdę.**

–Bez sensu, żebyś tu tkwiła tyle czasu. Lepiej byś się przebiegła albo poszła na siłownię.

Miał rację. Przywykłam co prawda do długiego siedzenia, w końcu tyle czasu spędzaliśmy w samochodzie, ale też codziennie ćwiczyłam, więc czułam, że mam zastępe mięśnie.

W barze szybkiej obsługi zjadłam sałatkę, z przyjemnością chłonąc atmosferę rozgardiaszu w lokalu. Na początku czułam się dziwnie, siedząc przy stoliku sama, ale moją uwagę szybko pochłonęło obserwowanie siedzącej przy sąsiednim stoliku matki z trójką kilkuletnich dzieci. Zastanawiałam się, czy Tolliver chciałby mieć dzieci. Ja niekoniecznie. Wychowywałam już dwójkę niemowląt, moje siostrzyczki, i nie ciągnęło mnie, aby powtarzać to doświadczenie. Musiałam przyznać przed sobą, że choć nie chciałam zostać wyeliminowana całkowicie z ich życia, to nie uśmiechałoby mi się także zajmowanie się nimi na co dzień.

Nawet widok przytulającego się do matki chłopca nie wzbudził we mnie pragnienia noszenia w sobie nowego życia. Czy powinnam mieć z tego powodu wyrzuty sumienia? Czy naprawdę

każda kobieta chce mieć własne dzieci?

Niekoniecznie, pomyślałam. Poza tym jest masa samotnych dzieci. Nie ma potrzeby sprowadzania na ten świat kolejnych.

Po powrocie do szpitala zastałam Tollivera oglądającego mecz koszykówki.

–Mark dzwonił, jak cię nie było – poinformował mnie.

–O rany, daleś radę sięgnąć do telefonu?

–To było spore wyzwanie, ale udało się.

–Mówił coś ciekawego?

–Uhm. Że rozmowa ze mną przybiła tatę i że jestem idiotą, skoro nie powitałem go w Krainie Trzeźwości z otwartymi ramionami.

Namyślałam się przez chwilę, zanim wypowiedziałam to, co chodziło mi po głowie.

–Mark ma słabość do ojca. Wiesz, że kocham twojego brata, uważam, że jest porządnym człowiekiem, ale myślę, że nigdy nie będzie obiektywny w stosunku do Matthew.

–No, masz rację. Ubóstwiał mamę, a kiedy zmarła, przelał uczucia na ojca.

Tolliver rzadko mówił o matce. Jej śmierć z powodu raka musiała być koszmarem.

–Mark chyba chce wierzyć, że ojciec w głębi duszy jest dobry – podjął Tolliver z namysłem. – Inaczej oznaczałoby to, że stracił jedyne pozostałego mu rodzica. A to dla niego bardzo ważne.

–Myślisz, że twój ojciec jest rzeczywiście dobry w głębi serca?

Widać było, że Tolliver rozważa odpowiedź.

–Mam nadzieję, że zostało w nim trochę dobra. Ale szczerze, nie sędę, żeby długo pozostał czysty. Nieraz już obiecywał i nic z tego nie wyszło. Zawsze wraca do ćpania, a pamiętasz, że w najgorszych okresach brał co popadło. Teraz wydaje mi się, że naprawdę musiał cierpieć, skoro potrzebował tyle prochów. Ale nigdy nie zapomnę, że dla narkotyków zostawił nas na pastwę losu. Nie, nie ufam mu. I mam nadzieję, że nie zacznę, bo nie chcę się znów rozczarować.

–To samo czułam, jeśli chodzi o moją matkę – rzekłam ze zrozumieniem.

–Ta, Laurel też była niezłym ziółkiem. Wiesz, że uderzała do mnie i Marka?

Zrobiło mi się niedobrze.

–Nie – wydusiłam przez ściśnięte gardło.

–Owszem. Cameron wiedziała. Weszła w... hm, krytycznym momencie. Mark mało nie umarł z zażenowania, ja też nie wiedziałem, co robić.

–I co? – Spalałam się ze wstydu. Oczywiście nie było w tym mojej winy, ale na wieść, że własna matka robiła takie rzeczy, człowiekowi przewraca się w żołądku.

–Cameron zaciągnęła ją do sypialni i ubrała. Nie sądzę, żeby Laurel w ogóle miała świadomość tego, gdzie się znajduje, co robi i że to my. Cameron spoliczkowała wtedy twoją mamę kilkakrotnie.

–Rany boskie... – czasami po prostu brakowało mi słów.

–Ale to już za nami – powiedział Tolliver, jakby próbował przekonać samego siebie.

–Tak, to przeszłość. Teraz mamy siebie.

–I tamto już nas nie dotknie.

–Tak – skłamałam. – Nie dotknie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Restauracja, w której spotkałam się z Victorią, była zatłoczona. Obsługa niezadowolona gonila w te i wewte. Stanowiło to niesamowity kontrast z martwością stłumionych odgłosów szpitalnych. Ku memu zdumieniu Victoria nie przyszła sama. Przy stoliku towarzyszył jej Drexell Joyce, brat Lizzy i Katie.

– Witaj, moja droga. – Victoria podniosła się i objęła mnie na powitanie. Znów mnie zaskoczyła, ale nie na tyle, bym się cofnęła. Nie sądziłam, że jesteśmy na tak familiarnej stopie.

Odniosłam wrażenie, że to raczej pokaz na rzecz Drexella. Zakładałam, że będzie to spotkanie dwóch kobiet, które zarabiają na życie odkrywaniem sekretów, a nie posiedzenie strategiczne z udziałem obcego mężczyzny.

– Panie Joyce... – przywitałam się, siadając i wsuwając torebkę pod nogi.

– Proszę mi mówić po imieniu – zaproponował z szerokim uśmiechem. W spojrzeniu, jakim mnie obrzucił, włożył wiele podziwu. Ani przez sekundę nie wierzyłam w jego szczerość.

– Co cię przywiodło tak daleko od rancza? – zapytałam, uśmiechając się, jak miałam nadzieję, rozbijając.

– Siostry prosiły, żebym sprawdził, czy Victoria ma jakieś nowe wieści i jak idzie śledztwo. Jeśli mamy jakiegoś nieletniego wujka lub ciotkę, chcemy się upewnić, że ma dobrą opiekę.

– Zakładasz więc, że ojcem dziecka Mariah Parish jest wasz dziadek? – Wydawało mi się to niesłychane i nie usiłowałam tego ukryć.

– Owszem, tak uważani. Był starym lisem, fakt, ale szczwanym. Dziadek zawsze był babiarzem.

– I myślisz, że Mariah chętnie przyjąłaby jego awanse?

– Cóż, był bardzo charyzmatyczny, a ona mogła myśleć, że jej reakcja może mieć wpływ na pracę, więc tak. Dziadek nie przyjmował dobrze odmowy.

Urocze. Nie przychodziło mi na myśl nic, co mogłabym powiedzieć, więc milczałam.

– Jak się czuje twój brat? – zapytała Victoria z życzliwą troską.

Ogarnęło mnie rozczarowanie. Liczyłam, że Victoria zaprosiła mnie tu, bo miała jakiś ukryty cel. W końcu nie chodziło przecież o samo moje towarzystwo.

– Dużo lepiej, dziękuję – odpowiedziałam. – Mam nadzieję, że jutro wypuszczą go ze szpitala.

–Macie plany, co potem?

–Zwykle Tolliver się tym zajmował. Jak wyjdzie, siądziemy i sprawdzimy, co dalej. Na razie zamierzamy zostać tu kilka dni i pobyc trochę z rodziną.

–O? Macie tu krewnych?

–Dwie młodsze siostry.

–Z kim mieszkają?

–Wychowują je wujostwo.

–Mają tu dom?

Możliwe, że Drex zadawał tyle pytań, bo był zadowolony wszystkim, co dotyczyło Harper Connelly, ale nie pochlebiali mi to wyciąganie prywatnych informacji.

–Często bywacie w Dallas? – zapytałam. – Wczoraj widziałam tu twoje siostry, a dzisiaj ty? Macie dość daleko do domu?

–Mamy tu mieszkanie, a drugie w Houston. Na ranczu spędzamy dziesięć miesięcy, ale czasem też potrzebujemy użyć wielkiego świata. Z wyjątkiem Chipa, który mógłby się stamtąd nie ruszać. Ale Lizzy i Katie zasiadają w różnych zarządach, od banków po instytucje charytatywne, a spotkania odbywają się tutaj, w Dallas.

–A ty? – wtrąciła Victoria. – Nie zajmujesz się działalnością charytatywną?

Drex zaśmiał się, odrzucając głowę. Pewnie chciał ukazać nam swoją męską szczękę z innej perspektywy. Ciekawe, co będzie robił za parę lat, kiedy linia tej szczęki nie będzie już tak napięta. Z doświadczenia wiedziałam, że w grobie nikt nie wygląda atrakcyjnie.

–Przypuszczam, że większość członków zarządów ma na tyle oleju w głowach, by mnie o to nie rosić – stwierdził z błyskiem w oku, charakterystycznym dla złotych chłopców. Jeszcze jeden synalek potentata z południa. – Nie umiem usiedzieć miejscu, a ich gadanina usypia mnie momentalnie.

Jak Victoria mogła tego słuchać? Robiła wrażenie oczarowanej tym dupkiem.

–Ale wracając do rzeczy, Victorio, jak tam poszukiwania? – zapytał Drex tonem mężczyzny, który z żalem porzuca zabawę, by zająć się nudnymi prawami.

–Całkiem nieźle. – Nadstawiłam uszu. Victoria mówiła spokojnym, profesjonalnym tonem, zaprawionym więcej niż nutą rezerwy. – Aktualnie zbieram informacje na temat Mariah i okazuje się, że nie jest to wcale takie proste, jak przypuszczałam. Jak dokładnie sprawdziliście ją przed przyjęciem do pracy?

–Nie wiem, ale chyba nie Lizzy to robiła. – Drex wydawał się zaskoczony. – Dziadek ją sam zatrudnił. Dowiedzieliśmy się o niej, jak już zamieszkała w domu.

–Ale rozważaliście przyjęcie kogoś do pomocy dla dziadka? – drążyła Victoria.

–Tak, kogoś, kto byłby więcej niż gosposią, ale jeszcze nie wykwalifikowaną pielęgniarką. Potrzebował asystentki w szerokim tego słowa znaczeniu. Mariah była jakby niańką. Pilnowała, żeby odpowiednio się odżywiał, zwracała uwagę, czy nie za dużo pije. Ale rzucił się, kiedy tak ją nazywaliśmy. Sprawdzala mu też codziennie ciśnienie.

Victoria uczepiła się tej ostatniej informacji.

–Miała dyplom pielęgniarski?

–Nie, nie sędzę, żeby była wykształcona. Miała tylko pilnować, żeby brał leki, przypominać o spotkaniach, wozić, jeśli nie czuł się na tyle dobrze, by sam prowadzić i w razie czego dzwonić do lekarza. Dostała listę niepokojących objawów. Była czymś w rodzaju żywego guzika alarmowego, w każdym razie w założeniu.

Wymieniłyśmy z Victorią spojrzenia. A więc nie tylko ja wychwyciłam w monologu Dreksa nutkę urazy. Teraz nabrałam pewności, że Victoria nie jest zainteresowana Dreksem w sposób, w jaki wydawało mi się na pierwszy rzut oka. Prowadziła grę bardziej złożoną, niż ja potrafiłabym zaplanować i wprowadzić w życie.

–Ona postrzegała swoją rolę nieco inaczej? – wtrąciłam.

–I to jak. Uważała się za jego strażniczkę. – Drex pociągnął potężny łyk piwa i rozejrzał się za kelnerem. Zamówienie złożyliśmy kilka minut wcześniej.

–Dlaczego zapłaciliście za jej pogrzeb i w dodatku złożyliście wśród krewnych? – zadałam wreszcie pytanie, które dręczyło mnie od jakiegoś czasu. – A co z jej własną rodziną?

–Po śmierci przejrzelśmy jej rzeczy, ale nie znaleźliśmy niczego, gdzie byłyby zapisane jakieś nazwiska czy adresy. Lizzy pytała wszystkich, czy Mariah opowiadała coś o sobie – skąd pochodzi, czy ma bliskich, ale nikt nic nie wiedział. Chip ani jego rodzina też.

–A numer ubezpieczenia? Jako pracodawca dziadek musiał go mieć.

–Zatrudniał ją na czarno.

Zdumiałam się. Dlaczego ktoś tak bogaty jak Richard Joyce miałby zatrudniać kogoś na czarno? Joyce'owie musieli mieć masę ludzi, księgowych, kadrowych, gotowych na każde skinienie załatwić wszelkie formalności.

–Po spotkaniu z Mariah Lizzy powiedziała dziadkowi, że to nieodpowiednia osoba. Dziadek

uparł się, choć wiedział, że jesteśmy przeciwni. Dlatego nie chciało mu się zatrudnić jej oficjalnie, żeby nie musiał jej w razie czego zwalniać – bronił się Drex, a ja rozumiałam dlaczego. Spojrzałyśmy po sobie z Victorią.

–A więc twój dziadek zatrudnił obcą osobę, płacił jej pod stołem, nic o niej nie wiedział, ale pozwolił, by zamieszkała pod waszym dachem? – Jeśli w moim tonie pobrzmiwało niedowierzanie, cóż, trudno. – Wspominałeś, że Chip rozmawiał ze swoimi krewnymi po jej śmierci, dlaczego? – Usłyszawszy grzmot, popatrzyłam w okno. Na szybie rozbijały się duże krople deszczu.

–Tak, bo oni ją znali. To właśnie Chip ją polecił.

Zapadło chwilowe milczenie. Drex rozglądał się znów za obsługą, zaś Victoria i ja siedziałyśmy pogrążone we własnych myślach. Nie wiem, co chodziło po głowie Victorii, ale ja doszłam do wniosku, że chciałabym, by moja rodzina na starość zajęła się mną lepiej niż Joyce'owie Richardem.

–Czy Lizzy i Chip są ze sobą długo? – zapytała Victoria, jakby nowym tematem chciała skierować rozmowę na tory bardziej towarzyskiej pogawędki.

–Ech, od niepamiętnych czasów. Poznali się na ranczu oczywiście. Poza tym oboje brali udział w rodeo. Po kilku latach znajomości i rozwodzie Chipa jakoś tak między nimi zaskoczyło. Byli na zawodach w Amarillo, on startował w rzucie lassem, a ona w slalomie beczkowym. Miała jakiś problem z hakiem od przyczepy i on jej pomógł.

–Więc Mariah pracowała wcześniej dla rodziny Chipa?

–Nie, wychowywali się w jednym domu zastępczym, a kiedy Mariah się wyprowadziła, Chip zarekomendował ją swojemu dalekiemu kuzynowi, Arthurowi Peadenowi, chyba tak się nazywał. Ten kuzyn umarł mniej więcej w tym czasie, kiedy lekarz powiedział dziadkowi, że przyda mu się całodobowa pomoc. Chip wtedy wspomniął o Mariah i przysłał ją do domu. Dziadkowi się spodobała i to wszystko. W sumie, jak już wyszliśmy z szoku, stwierdziliśmy, że to może i lepiej, że nie musieliśmy szukać kogoś i przeprowadzać tej masy rozmów kwalifikacyjnych. Dziadek miał kogoś doświadczonego w opiece, a Mariah nie łąziła za nim krok w krok, jakby był sklerotycznym kaleką. Była ładna, miła, uśmiechnięta i w dodatku świetnie gotowała.

Drex dostał w końcu nowe piwo, a Victoria zaczęła tak prowadzić rozmowę, żeby mówił o sobie.

Drex nie grzeszył szczególną bystrością, Victoria natomiast była sprytna, więc przysłuchując się im, nie musiałam długo czekać, żeby pojawił mi się w głowie obraz życia młodego Joyce'a.

Ojcu prawdopodobnie trudno przyszło zaakceptować, że jego jedyny męski potomek nie jest odpowiednią osobą do przejęcia rodzinnego interesu, ale trudno było podważyć, że Lizzy była

nie tylko najstarsza, lecz także najinteligentniejsza. Katie, średnia z rodzeństwa, była, przynajmniej według Dreksa, najbardziej narwana.

Z ulgą powitałam nadejście kelnera z zamówieniem. Nie byłam prywatnym detektywem i nie płacono mi za zgłębianie zawitych historii rodu Joyce'ów. Podczas posiłku niemal na śmierć zanudziło mnie wysłuchiwanie Dreksa, nie uszczęśliwiała mnie też przynależność do drużyny mającej za zadanie wyciągać z tego durnia informacje. Mimo irytacji rozumiałam zamysł Victorii polegający na sprowadzeniu tu Dreksa. Przy mojej pomocy łatwiej było jej ukryć przesłuchanie pod płaszczykiem konwersacji i sprawić, by Drex nie zorientował się, w jaką stronę zmiierzają jej pytania, a także pewnie więcej wychłapał.

Dodałam też kilka pytań od siebie.

Wiedziałam również, że Victoria chciała podsunąć mu więcej niż jedną atrakcyjną kobietę do towarzystwa i szczerze ulżyło mi, gdy okazało się, że to ona bardziej odpowiada jego gustom. Z perfidną radością wymówiłam się wcześniej, zostawiając ich, nim kelnerka przyszła zaproponować desery. Przez moment Victoria wyglądała na zaniepokojoną, ale pożegnała mnie, umawiając się na telefon.

Postanowiłam za wszelką cenę uniknąć tego kontaktu. Nie cierpiałam, jak się mną posługiwano, a byłam przekonana, że Victoria zaplanowała dokładnie ten wieczór, jeszcze zanim mnie zaprosiła. A mogła mi powiedzieć, o co chodzi. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego uciekła się do czegoś takiego. Przecież skoro Joyce'owie sami ją zatrudnili, pewnie gotowi byli na daleko idącą współpracę. Dlaczego nie zdobyła tych informacji już wcześniej?

Do hotelu wracałam z uczuciem niesmaku. Ponieważ przestało padać, postanowiłam trochę się poruszać. Nie lubiłam biegać po ciemku, ale naprawdę potrzebowałam wysiłku fizycznego. Wcześniej nie zdążyłam rozejrzeć się po okolicy, ale wydawało mi się, że przecznicę od hotelu znajduje się szkoła. Może, jeśli brama będzie otwarta, mogłabym skorzystać z ich ścieżki zdrowia. A jeśli nie uda się tam, naprzeciwko znajdowała się duża zajezdnia autobusowa.

Ku mojemu zdumieniu w holu siedział Parker Powers, były futbolista i aktualny gliniarz.

–Czeka pan na mnie? – zapytałam, podchodząc.

–Tak. Możemy porozmawiać? – Otaksował mnie przenikliwym spojrzeniem.

–O czym?

–Chciałbym zadać pani jeszcze kilka pytań o brata. Wczoraj kilka przecznic od motelu ktoś strzelał z samochodu. Chcemy ustalić, czy atak na pani brata jest z tym jakoś powiązany. Słyszałem, że wraca do zdrowia?

Nie musiał tego dodawać. Widziałam błysk w jego oku. Ale skoro zajmował się śledztwem w sprawie Tollivera, byłam gotowa pomóc. Chciałam wiedzieć, kto strzelał do mojego brata.

Jednakże nie zamierzałam rozmawiać o tym w holu ani też, ze względu na wspomniany błysk, zapraszać go do pokoju.

–Zamierzam pobiegać, może się pan przyłączy?

–Jasne. – Wahał się tylko przez mgnienie oka. – Mam w samochodzie spodnie do ćwiczeń. Wie pani, to nierozsądne biegać o tej porze, szczególnie że ktoś strzelał do pani brata. Nie mamy pojęcia, jaki był motyw tej napaści. Może jest to powiązane z pobliską strzelaniną, ale być może nie.

–Zejdę za dziesięć minut. – Poszłam do pokoju. Klucz oraz prawo jazdy włożyłam do plastikowej torebki, którą zawiesiłam na szyi, przebrałam się, zmieniłam buty i podskoczyłam kilkakrotnie, żeby upewnić się, czy z portfelika nic nie wypadnie. Byłam gotowa. Komórkę włożyłam do zapinanej na zamek kieszeni i zesłam na dół.

Parker czekał, ubrany w stare spodenki oraz znoszoną bluzę. Wyszliśmy na parking, żeby się rozgrzać. Odniosłam wrażenie, że Parker dawno nie biegał, strój sportowy pewnie woził na siłownię. Widać, że pracował nad mięśniami, ale dorobił się walka na brzuchu. Nie ćwiczył szczególnie entuzjastycznie, w każdym razie nie tak, jak przyglądał się mnie.

–Gotowy? – zapytałam. Kiwnął głową, choć minę miał kwaśną. W ogóle wyglądał, jakby wybierał się na szafot, nie na miłą przebieżkę.

Ruszyliśmy chodnikiem wzdłuż szeregu kamienic, minęliśmy przecznice i kolejne budynki, aż dotarliśmy na teren szkoły. Na zewnątrz paliło się dużo światła, ale wszyscy siedzieli raczej w domach. Było chłodno, a na ulicach zebrały się kałuże po wcześniejszym deszczu. Samochody przejeżdżały dość często, jedne bardzo szybko, wyraźnie przekraczając prędkość, inne zaś wlokąc się niemilosiernie, jednak szeroki chodnik gwarantował wygodę. Ciekawe, czy któryś z kierowców rozpoznał mojego towarzysza.

Rzeńskie powietrze ułatwiało mi bieg. Utrzymałam stałe, niespieszne tempo, ciesząc się wolnym rozgrzewaniem mięśni i przyspieszonym biciem serca. Szkolna ścieżka zdrowia znajdowała się za wysokim ogrodzeniem, a dostępu do niej, jak się spodziewałam, broniła zamknięta brama. Przecięłam ulicę, kierując się na rozległą zajezdnię szkolnych autobusów. Parker dotrzymywał mi kroku. Zerknęłam w bok – uśmiechał się, zadowolony z siebie. Przyspieszyłam, a jego uśmieszek natychmiast zrzędł. Kilka przecznic dalej Parker oddychał już ciężko. Jednak nie zwalniał, napędzany ambicją.

Po kolejnych kilkuset metrach skończyła mu się ambicja. Parking składał się z trzech zatoczek, w których stały rzędy autobusów. Biegaliśmy wzdłuż nich, zakręcając na końcach. Rozruszałam się w końcu i czułam się świetnie, ale Parker przystanął zgięty wpół, ciężko dysząc. Zatrzymałam się, biegnąc w miejscu. Machnął, żebym kontynuowała. – Ale niech pani zostanie na widoku – wyskandował pomiędzy świszczącymi oddechami.

Tak też zrobiłam. Nie byłam nawet w połowie tak dobrym biegaczem jak brat, ale tego

wieczoru czułam się lekka i pełna energii. W porównaniu do Parkera biegałam, jakbym miała skrzydła u stóp. Przebiegłam wzdłuż cichej linii autobusów, wdychając zapach kałuż i mokrego betonu. Zerknęłam przez ramię. Parker podążał za mną szybkim krokiem, ale zaraz miałam mu zniknąć z zasięgu wzroku. Z żalem porzuciłam pomysł okrążenia autobusów i obróciwszy się na pięcie, pobiegłam z powrotem tą samą drogą.

Do zajezdni musiała prowadzić jeszcze jedna droga, bo usłyszałam nadjeżdżający z końca parkingu samochód. Po chwili reflektory oświetliły mnie z tyłu, rzucając na chodnik mój cień i rażąc Parkera po oczach. Poczulałam ukłucie irracjonalnego lęku i zwolniłam, niepewna, co robić. Odgłos silnika narastał powoli, ale był coraz wyraźniejszy.

Detektyw, choć oślepiony, przyspieszył kroku, biegnąc mi naprzeciw. Był parę metrów ode mnie, kiedy wyciągnął broń. Przez moment myślałam, że zamierza do mnie strzelić. Skonfundowana, prawie przystanąłam. Samochód był tuż za mną. – Biegnij! – krzyknął Parker. Nie rozumiałam, o co mu chodzi, ale ruszyłam pędem, młóćąc rękami powietrze i przyspieszając coraz bardziej. Kiedy znalazłam się przy Parkerze, ten pchnął mnie pomiędzy autobusy, a sam odwrócił się do nadjeżdżającego samochodu i uniósł broń. Kierowca chyba dostrzegł pistolet, bo skręcił gwałtownie i z piskiem opon przyspieszył, wypryskując z parkingu w szalonym pędzie.

–Co...?! – wykrzyknęłam, wybiegając pomiędzy autobusów na spotkanie mojego wybawiciela. – Co to było?! – wrzasnęłam, wyrzucając ramiona w górę.

–Pogróżki – odparł jeszcze z lekką zadyszka. – Ktoś pani dzisiaj groził. Nie chciałem, żeby biegała pani sama. Byłaby pani zbyt łatwym celem.

–Czemu, do cholery, nic mi pan nie powiedział?

A więc stąd to wspólne bieganie?

–Nie miałem pojęcia, że ma pani obsesję na punkcie zdrowia – rzucił z pretensją. – Miałem panią ostrzec i powiedzieć o tamtej strzelaninie.

–A więc zamiast... – zapowietrzyłam się. Zamknęłam oczy, wzięłam się w garść i stanęłam prosto. – Czy te pogróżki mają jakiegoś konkretnego autora?

–Nie, to był męski głos. Mówił, że to, co pani robi, to dzieło szatana i tym podobne. I jeszcze, że nie powinna pani przyjeżdżać do Teksasu i że się tym zajmie, jak panią zobaczy. Wymienił też nazwę tego hotelu, do którego się pani przeprowadziła.

Nie przejmowałam się zbyt, dopóki Parker nie wspomniał o hotelu. Dopiero to wytrąciło mnie z równowagi. Sprawa wyglądała poważnie.

–Więc myśli pan, że to on był w samochodzie, czy tylko przeraził pan jakichś smarkaczy? – Nogi zaczęły mi sztywnieć, więc podskoczyłam kilka razy i zrobiłam parę skłonów.

–Nie wiem – przyznał Parker ponuro. – Ale zauważyłem część rejestracji, sprawdzę to.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że ten człowiek zasłonił mnie, praktycznie rzecz biorąc, własnym ciałem, myśląc, że ktoś może do mnie strzelać. Znaczenie tego czynu ogłuszyło mnie.

–Dziękuję – powiedziałam, stojąc na trzęsących się nagle nogach. – Bardzo panu dziękuję.

–To moja praca. Mamy przecież chronić. Na szczęście nie muszę tego robić zbyt często, bo zawał miałbym gwarantowany. – Uśmiechnął się. Zauważyłam też, że już nie oddycha tak ciężko.

–To co? Chyba powinniśmy wracać? Mam nadzieję, że nie będzie powtórki? – Nie chciałam ranić jego uczuć, co było dość absurdalne.

–Nie, sądzę, że odjechał na dobre. – Chyba odetchnął z ulgą. – Chodźmy do hotelu. – Schował broń.

Wiedziałam, że nie ma szans na zmuszenie policjanta do biegu, więc ruszyliśmy po prostu szybkim krokiem. Minęliśmy szkołę, docierając do części mieszkalnej, gdzie o tej porze prawie nie było już ruchu. Ludzie wrócili z pracy, a prawie nikt nie wychodził z domu. Temperatura spadła trochę, zaczęłam się trząść. Znajdowaliśmy się w okolicy, gdzie hobby mieszkańców stanowiły ogródki. Rosło tu mnóstwo zimozielonych drzew, a fronty domów upiększały krzewy i skalniaki. Parker zadawał mi pytania mające prawdopodobnie mnie uspokoić. Pytał kompletnie bez sensu o to, ile i gdzie zwykle biegam, jak długo i czy brat także biega...

W momencie gdy cień za jednym z drzew nabrał w moich oczach kształtu mężczyzny, oderwał się od pnia i zastąpił nam drogę, ujrzałam odbicie światła na broni. Parker rzucił się ku mnie, odtrącając na bok, a strzelec trafił go prosto w pierś.

Krzyki byłyby stratą cennego czasu. Jedyłą moją przewagą stanowiła szybkość. Skoczyłam na trawnik i pognałam niczym zając na prochach. Mimo miękkiego podłoża słyszałam za plecami kroki napastnika. Pobiegłam za dom, otoczony od tyłu ogrodzeniem. Płot był raczej tylko umownym zabezpieczeniem, więc pokonałam go bez trudu, lądując na trawie po drugiej stronie. Kilkoma susami dotarłam do krańca kolejnego podwórka.

Dopiero później pomyślałam o wszystkich przeszkodach, na których z łatwością mogłam upaść, łamiąc nogę.

Przedostałam się do sąsiedniego ogródka, skąd miałam już wolną drogę na ulicę. Domy zbudowano tylko po jednej stronie. Po przeciwnej znajdował się pas drzew, a za nim, z tego, co mogłam dostrzec w plamach światła rzucanych przez latarnie, rów. Rzuciłam się pędem w stronę hotelu najszybciej jak potrafiłam. Tu było ciemniej. Bałam się, że upadnę, bałam się, że zostanę postrzelona, bałam się, że detektyw nie żyje. Wiedziałam, że zmierzam w dobrym kierunku, choć nie dostrzegałam hotelu, który stał za zakrętem. W końcu dopadłam drzwi, ale przed wejściem powstrzymała mnie myśl, że mogę sprowadzić niebezpieczeństwo na gości

hotelowych.

Pobiegłam dalej. Wydawało mi się, że za plecami słyszę ruch, więc wskoczyłam za jakiś samochód i znieruchomiałam skulona. Nadstawiłam uszu, ale moje serce waliło tak głośno, że nie byłam w stanie usłyszeć nic poza nim.

Wyjęłam komórkę i przysłoniwszy dłonią ekran, wybrałam numer alarmowy. Kiedy w słuchawce rozległ się kobiecy głos, rzuciłam:

–Jestem na podjeździe domu za hotelem Holiday Inn Express – starałam się mówić jak najciszej. – Detektyw Parker Powers został ranny. Leży na Jacaranda Street. Napastnik mnie ściga. Proszę się pospieszyć.

–Halo? Mówiła pani, że jakiś policjant jest ranny? Czy pani także?

–Tak, detektyw Powers. Nie, ja nie jestem ranna. Jeszcze. Muszę kończyć. – Nie mogłam rozmawiać przez telefon. Musiałam nasłuchiwać.

Teraz, gdy mój oddech się uspokoił, wychwyciłam nieopodal odgłos oddechu oraz cichych kroków. Ktoś szedł chodnikiem przy ogródkach frontowych. Ktoś, kto nie chciał być wyraźnie widziany w świetle latarni. Czy mieszkańcy tych domów nie zauważyli, że coś się dzieje? Gdzie ta powszechnie dostępna broń, kiedy jest potrzebna? Nie miałam pojęcia, czy powinnam biec dalej, czy raczej pozostać w ukryciu z nadzieją, że strzelec mnie nie znajdzie.

Byłam napięta do granic wytrzymałości. Czajenie się za tym samochodem okazało się jedne z najtrudniejszych rzeczy w życiu. Nie wiedziałam nawet, dokąd prowadzi pobliska ulica. Za zakrętem mogła się przecież kończyć ślepo. Żeby wrócić na Jacaranda Street i do hotelu, musiałabym się kawalek cofnąć. Możliwe, że znów czekałoby mnie przedzieranie się przez płoty, a na podwórkach mogły być psy... Jeden nawet czekał, i to wielki, sądząc po głosie.

Kroki, bardzo ciche, zbliżyły się trochę, po czym ucichły. Widział mnie? Lada moment mógł do mnie strzelić?

W oddali rozległo się wycie syren policyjnych. Dzięki ci, Boże, za policję z ich hałasem, światłami i bronią. Cień, który już znajdował się tuż obok miejsca, gdzie się ukrywałam, drgnął i zniknął, kiedy jego właściciel zrejterował, uciekając w ulicę, którą przybiegłam.

Próbowałam wstać, ale bezskutecznie. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Migające światła były coraz bliżej, aż wreszcie musnął mnie snop blasku. Wrócił, oświetlając mnie na dobre.

–Połóż się z rozłożonymi rękami! – rozległ się kobiecy głos.

–W porządku! – odkrzyknęłam.

W tej chwili wydawało mi się to zdecydowanie lepszym pomysłem niż wstawanie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Koniec końców resztę nocy spędziłam w szpitalu, z Tolliverem. Wolalam to niż samotność w pokoju hotelowym. Czulałam się przy nim bezpiecznie, mimo że był przecież ranny.

Detektyw Powers przeżył. Szczerze uradowała mnie ta wieść. Wolalam, by jego odwaga została nagrodzona w tym życiu, a nie w następnym. Podśluchałam urywki rozmów policjantów, którzy zresztą traktowali mnie jak powietrze.

–Powers się wylize – rzekła policjantka, pozwalając mi wreszcie wstać. – Jest twardy.

–Po tylu latach futbolu musi być twardy – wtrącił ratownik, któremu polecono mnie zbadać. Orzekłszy, że nic mi nie jest, niespiesznie pakował sprzęt.

–Uhm, choć te wszystkie urazy głowy nie wyszły mu na dobre – włączył się do rozmowy inny policjant, z wygoloną czaszką. – Powers grał jeden sezon za dużo.

–Hej, trochę szacunku dla detektywa – obruszył się starszy ratownik. – Jest bardzo dobrym rzecznikiem. Czytając pomiędzy wierszami, domyśliłam się, że Powers był twarzą promocyjną policji i że to popularność miała wiele wspólnego z jego awansem na detektywa. Ludzie, zaaferowani przesłuchiwaniami przez byłego futbolistę, mówili więcej, niż zamierzali, aby tylko przyciągnąć jego uwagę. A więc nie ceniono go może za bystrość czy wrodzone zalety, a raczej za gotowość do pokazywania się w świetle reflektorów oraz postrzegano jako atut sam w sobie. Plus uważano go za milego gościa.

Z przyjemnością opowiedziałam obecnym o jego odwadze i z taką samą przyjemnością obserwowałam ich dumę. Fakt, że uznawali jego zachowanie za idiotycznie brawurowe, został odsunięty na bok.

Miałam na twarzy kilka smug krwi, udałam się więc do hotelu, by się umyć. Towarzyszyła mi policjantka, Kerri Sauer. Zaproponowała także, że odprowadzi mnie do szpitala. Przyjęłam ten gest z wdzięcznością.

–Widziała pani kiedyś Parkera podczas gry? – zapytała, przyglądając się, jak zmywam krew gąbką.

–Nie, a pani? Musiał być chyba bardzo młody?

–Tak. I świetnie grał. Jego kontuzja stanowiła katastrofę dla całej drużyny. Zawsze był, nadal jest, gotów narażać się dla dzieciaków, którym coś grozi. Wspaniały człowiek. Dobrze, że podała pani lokalizację dyspozytorce. To uratowało mu życie.

Ma spore szanse wyjść z tego bez większych problemów.

Wydawało mi się bez sensu wspominać, że gdyby nie ja, Powers w ogóle nie znalazłby się w tej

sytuacji. Kiwnęłam tylko głową i ukryłam twarz w ręczniku, żeby nie zobaczyła mojej miny.

Radiowóz zaparkował pod szpitalem, poszłam do wejścia i pomachałam siedzącej w samochodzie policjantce. Kiedy odjechała, przyszła mi do głowy szalona myśl. Czy gdybym nie mogła zarabiać odnajdywaniem ciał, nadawałabym się na policjantkę? Zastanawiałam się, czy przeszedłabym testy sprawnościowe. Rzadko miewałam problemy z nogą, ale od czasu do czasu jednak mi dokuczała. Dręczyły mnie też koszmarne bóle głowy. Te dolegliwości pewnie wykluczały w moim przypadku karierę w szeregach stróżów prawa. Potrząsnęłam głową i zobaczyłam ten ruch odbijający się w lśniących powierzchniach ścian windy. Co za głupoty przychodzą mi na myśl.

Przeszłam na palcach przez korytarz i ostrożnie otworzyłam drzwi do sali Tollivera. W pomieszczeniu panował mrok. Jedyne światło sączyło się przez szczelinę otwartych drzwi łazienkowych.

–Harper? To ty? – mruknął Tolliver, rozespany.

–Tak, ja. Stęskniłam się – szepnęłam.

–Chodź do mnie.

Podeszłam do łóżka i zzułam buty.

–Zdrzemnę się na fotelu – wyszemrałam. – Idź spać.

–Chodź do mnie, tylko z tej zdrowej strony.

–Będzie ci niewygodnie, łóżko jest wąskie.

–Chodź, chodź. Wolę się tłoczyć z tobą niż mieszkać w pałacach bez ciebie.

Poczułam lzy spływające po policzkach i zdławiłam szloch.

–Co się stało? – Objął mnie zaniepokojony. Położyłam się na boku, żeby zająć jak najmniej miejsca.

–Nic, nic. Teraz śpij. Nie chciałam być po prostu sama.

–Ja też. – Zasnął niemal natychmiast. Mnie zajęło to ledwie kilka minut.

Pielęgniarka, która przyszła o wpół do szóstej, była zaskoczona, znajdując mnie w łóżku Tollivera. Upewniwszy się, że oboje jesteśmy ubrani i że pacjent nie uraził ramienia, rozpogodziła się.

Tolliver wyglądał lepiej w porannym świetle. Jego obecność miała dobroczynny wpływ także na mnie. Czulałam się dużo pewniej. Oczekawszy, aż skończymy poranne ablucje oraz zje

śniadanie, opowiedziałam mu o wczorajszym wieczorze.

–Muszę stąd natychmiast wyjść! – zareagował gwałtownie i zaczął wstawać.

–Absolutnie! – powstrzymałam go ostro. – Nigdzie się stąd nie ruszysz. Tu jesteś bezpieczny. Poza tym to lekarz zdecyduje, kiedy cię wypuścić.

–Grozi ci niebezpieczeństwo, maleńka. Musimy ci znaleźć jakieś bezpieczne miejsce. – Na szczęście porzucił myśl o natychmiastowym wypisie, głównie chyba dlatego, że jego zryw skończył się osłabieniem i potami.

–Brzmi nieźle – oceniłam. – Z tym że nie mam pomysłu na tego rodzaju miejsce.

–Mogłabyś wyjechać – rzucił bez zastanowienia. – Wrócić do mieszkania w St. Louis.

–I zostawić cię tu w tym stanie? Chyba żartujesz.

–Mogłabyś wyjechać z kraju. – Jasne, polecieć sobie na wycieczkę do Europy za ciężko zarobione pieniądze, bo jakiś wariat strzela do ludzi wokół mnie.

–Ktoś ci groził śmiercią – rzekł Tolliver z naciskiem, jakbym była niedorozwinięta lub przyglucha.

–Wiem – odwzorowałam jego ton. Spojrzał na mnie spode łba. – A poważnie, wydaje mi się, że ktoś próbuje mnie tylko nastraszyć. Sam pomyśl, najpierw ty zostałeś ranny, potem ten biedny detektyw. Skoro napastnik tak dobrze sobie radzi z bronią, równie łatwo mógłby trafić mnie. Trudno uwierzyć, żebym aż dwa razy miała takie szczęście. Dlatego uważam, że raczej chce mnie wystraszyć.

–Ten sposób straszenia nie wydaje mi się jakoś lepszy od autentycznych morderczych zamiarów. – Tolliver wskazał wymownie na łóżko szpitalne.

–No, masz rację. – Znaleźliśmy się w patowej sytuacji.

Po chwili do sali wszedł doktor Spradling i zaczął zadawać Tolliverowi typowe pytania. Z jego słów wynikało, że niebezpieczeństwo już minęło i Tolliver mógłby wyjść, zakładając, że ktoś się nim zajmie. Podniosłam rękę na znak, że ja jestem tą osobą.

–A co z podróżowaniem? – zapytałam.

–Samochodem? – Tak.

–Nie wcześniej niż za dwa dni. Zastanawiam się nad kroplówką z antybiotykiem, ale jeśli obieca pani, że zagwarantuje mu spokój i przypilnuje, żeby leżał, zamienię to na leki doustne i wypuszczę go jutro.

–Dobrze – obiecałam.

–W takim razie, jeśli jego stan nadal będzie się poprawiał i nie pojawi się gorączka, jutro może wyjść.

Ucieszyłam się bardzo. Tolliverowi także ulżyło.

–Powinnam wracać do hotelu. Wziąć prysznic i coś zjeść – powiedziałam po wyjściu lekarza.

–Nie możesz poczekać, aż Mark skończy zmianę? Mógłby iść z tobą.

–Nie mogę się zamknąć w pokoju i nigdzie nie ruszać. Trzeba się zająć paroma rzeczami. – Nie chciałam, żeby coś się stało także Markowi.

–Jak myślisz, kto to robi?

–Wiem, że to może idiotyczne, ale zastanawiałam się, czy przypadkiem ktoś nie ma obsesji na moim punkcie. Jakiś świr, który nie chce, by kręcili się koło mnie inni mężczyźni. Choć, oczywiście, to może być zbieg okoliczności, że podczas obu ataków przebywałam w męskim towarzystwie. Może ten ktoś jest rzeczywiście kiepskim strzelcem i tylko dlatego mnie nie trafił. A może to ktoś, kto po prostu mnie zaczepia, żeby zobaczyć, co zrobię.

–Ale dlaczego akurat teraz? Musi być jakiś powód.

–Nie mam pojęcia – zniecierpliwiałam się. – Skąd mam wiedzieć? Może policja do czegoś dojdzie. Postrzelenie kolegi zawsze mobilizuje ich do odnalezienia sprawcy. Bez końca wypytywali mnie o każdą minutę ostatnich dni. Ale fakt, mam coś do zrobienia. Muszę odwiedzić tego rannego detektywa.

Tolliver kiwnął głową, po czym odwrócił twarz do okna. Dzień był piękny, a niebo aż raziło błękitem. Tak cudowna pogoda, a my siedzieliśmy w pokoju i boczyliśmy się na siebie.

Podeszłam do łóżka i ujęłam Tollivera za rękę. Nie zareagował.

–Pójdę. Wezmę prysznic, zjem coś i odwiedzę tego policjanta – powiedziałam. – Potem wrócę. Nic mi się nie stanie, jeśli będę w ruchu. Przecież nikt nie da rady za mną chodzić przez całą dobę siedem dni w tygodniu, prawda? – Nie znosiłam się podlizywać, a tak to brzmiało.

–Muszę stąd wyjść – oświadczył Tolliver. – Już niedługo. Słyszałeś, co mówił lekarz. Tylko nie możesz szaleć. I uważaj na siebie, dobrze?

Rozległo się skrobanie do drzwi i do sali wszedł niewysoki mężczyzna. Wyglądał nieprzeciętnie: odziany na czarno, z platynowymi włosami na sztorc oraz kolczykami w brwiach, nosie, a także (to już wiedziałam z doświadczenia) w języku. Młodszy ode mnie (po dwudziestce), był szczupły i osobliwie przystojny.

–Cześć, Manfred – powitał go Tolliver. – Nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem, ale cieszę się, że cię widzę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Manfred robił wrażenie nieco urażonego moimi protestami przeciw jego towarzystwu.

–Uważasz, że nie potrafię ci pomóc? – zapytał, patrząc na mnie niebieskimi oczyma z odcieniem smutku.

–Daj spokój, Manfred – zirytowałam się. – Po prostu nie mam pojęcia, co z tobą począć.

–Miałbym kilka pomysłów – oświadczył, poruszając zabawnie brwiami. Wiedziałam, że nie do końca żartuje. Wystarczyłoby jedno skinienie, a już wyciągałby portfel, żeby zameldować nas w pierwszym lepszym hotelu.

Kłopot w tym, że to ja musiałabym zapłacić, biorąc pod uwagę zawartość tego portfela. Nie miałam pojęcia, jak zdołał się tu dostać. Jego babka, Xylida Bernardo, była barwną hochsztaplerką, ale posiadała prawdziwy dar. Niestety, nie zawsze działał, gdy tego potrzebowała, więc gdy nie słyszała autentycznego głosu, zmyślała. Jakoś udawało jej się z tego utrzymać. Uwielbiała dramatyzm, przez co czasem udawała dość nieprzekonywająco.

Manfred był sprytniejszy. I także posiadał dar. Nie znałam co prawda możliwości ani rodzaju nadprzyrodzonego talentu Manfreda, ale miałam przecucie, że gdy tylko chłopak go udoskonali i nauczy się nim posługiwać, zacznie mu się dobrze powodzić. Jednak z tego, co wiedziałam, wszystko to było jeszcze przed nim.

–Po pierwsze – zaczęłam, ignorując jego aluzje – muszę iść do hotelu. Chcę wziąć prysznic i się przebrać. Potem pójdziemy do innego szpitala, tego, w którym leży detektyw Powers.

–Ten Kowboj z Dallas? Parker Powers? – rozpromienił się Manfred. – Czytałem o nim ilustrowany artykuł, kiedy wstąpił do policji.

–W życiu bym nie pomyślała, że jesteś fanem futbolu. – Pokręciłam głową. Życie jest pełne niespodzianek.

–Żartujesz? Uwielbiam futbol. Grałem w licealnej drużynie.

Otaksowałam go wzrokiem z powątpiewaniem.

–Niech cię nie zwiodą moje gabaryty. Biegam jak strzała. Poza tym to była mała szkoła, nie mieli wielkiego wyboru – przyznał na koniec.

–Na jakiej pozycji grałeś?

–Byłem skrzydłowym ataku – rzekł z autentyczną powagą. Manfred nie żartował, jeśli chodzi o futbol.

–Ciekawe – powiedziałam całkiem szczerze. – Manfred, czemu przyjechałeś, skoro mówiłam, że sobie poradzę?

–Czułem, że masz kłopoty. – Zerknął na mnie z ukosa, po czym przeniósł wzrok na ulicę. Uznaliśmy, że pojedziemy jego poobijanym camaro, bo w razie gdyby mnie ktoś śledził (a wydawało mi się to niesłychanie dziwne), zmiana samochodu powinna zmylić mojego prześladowcę.

–Naprawdę? Widziałeś to?

–Widziałem, jak ktoś do ciebie strzela – powiedział i naraz wydał mi się starszy. – I jak upadasz.

–Więc... Wchodząc do sali Tollivera, nie wiedziałeś, czy żyję?

–Śledziłem wiadomości. Nie słyszałem w nich nic, co wskazywałoby, że nie żyjesz. Mówili o postrzelonym policjancie w Garland, ale nie podali jego nazwiska. Miałem nadzieję, że z tobą wszystko w porządku. Ale wołałem się przekonać na własne oczy.

–I po to pokonałeś całą tę trasę? – Zdumiona pokręciłam głową.

–To znów nie tak daleko. Milczałam, czekając, aż coś dorzuci.

–No dobra – zrejterowałam. – To gdzie byłeś?

–W motelu, w Tulsie. Miałem tam robotę. – Już jesteś oficjalnie w interesie?

–Uhm. Mam stronkę, taki własny kącik. – Jak to działa?

–Dwadzieścia pięć dolarów za odpowiedź na jedno pytanie, pięćdziesiąt za konsultację, jeśli podadzą mi datę urodzenia. Poza tym jeżdżę na prywatne odczyty, za to biorę więcej.

–Jak ci idzie? – Jak widać, myliłam się co do stanu finansów Manfreda.

–Całkiem nieźle. – Uśmiechnął się lekko. – Oczywiście podpieram się reputacją Xyldy. Niech jej dusza spoczywa w pokoju.

–Pewnie za nią tęsknisz?

–Bardzo. Matka jest dobrą kobietą – dodał jakby z obowiązku. – Ale to babcia otoczyła mnie miłością, a ja troszczyłem się o nią, jak umiałem. Więc to tak naprawdę Xylda była moją... Moim domem.

Wspaniale to ujął.

–Ja też często myślę o Xyldzie. Przykro mi, że odeszła.

–Dzięki – rzekł weselej, jakby chciał przełamać pośępnosc tej wymiany zdań. – Ona też cię lubiła. Nawet bardzo.

Reszta podróży przebiegła nam w milczeniu.

Podczas gdy ja się kąpałam i przebierałam, Manfred poszedł na miejsce, gdzie postrzelono Powersa. Chciał sprawdzić, czy coś poczuje, i przy okazji dać mi trochę prywatności. Doceniałam jedno i drugie. Kiedy zapukał, byłam już ubrana i umalowana, przynajmniej na tyle, na ile pozwalała moja poraniona twarz, oraz gotowa na odwiedziny u detektywa. Manfred wstukał do gps-a adres szpitala, do którego zawieźli Powersa. Policjanta umieszczono w Christian Memorial, nie miałam pojęcia dlaczego, skoro Tolliver, także przecież z raną postrzałową, leżał w God's Mercy. Wobec tego nie mogło to mieć związku z możliwościami medycznymi szpitala.

Manfredowy gps zrobił na mnie wrażenie. Od jakiegoś czasu rozważałam zakup takiego urządzenia z okazji urodzin Tollivera, więc po drodze do szpitala rozmawialiśmy właśnie na ten temat. Nie chciałam myśleć o wizycie, która mnie czekała. Na szczęście musieliśmy zwracać baczną uwagę na innych kierowców, więc nie miałam czasu na roztrząsanie problemów.

Mieszkańcy każdej aglomeracji na świecie uważają, że to właśnie ich miasto jest najbardziej zakorkowane. Dallas rozwinęło się w tak krótkim czasie i przeprowadziło się doń tylu ludzi, którzy wcześniej nie poruszali się w terenie gęsto zabudowanym, iż niewykluczone, że to właśnie mieszkańcy Dallas mają rację, uważając swoje miasto za największy koszmar kierowców. Korki swoim zasięgiem obejmują nie tylko centrum, ale też miejscowości satelickie, po których ulicach właśnie kluczyliśmy.

Wyczerpawszy temat gps – ów, Manfred skierował rozmowę na ostatnią sprawę, którą rozwiązywałam przed przyjazdem do Dallas.

–Opowiedz, co robiłaś przez kilka ostatnich dni – tak to ujął. – Te ataki muszą wiązać się z czymś, co robiłaś niedawno, a nie sądzę, żeby chodziło o Karolinę.

Zgadzałam się z nim. A skoro był swego rodzaju kolegą po fachu, zrelacjonowałam mu wydarzenia na cmentarzu Pioneer Rest. Normalnie nie zламаłabym tajemnicy zawodowej, ale podejrzewałam, że Joyce'owie są w jakiś sposób zamieszani w to, co działo się teraz, a poza tym wiedziałam, że Manfred zachowa wszystko dla siebie.

–W takim razie są dwa wyjścia – rzekł, kiedy skończyłam. – Zająć się sprawą dziecka i jego nieznanego ojca, oczywiście biorąc pod uwagę, że to niemowlę teraz będzie mniej więcej w wieku szkolnym. Albo szukać tego, kto rzucił w Richa grzechotnikiem, przyprawiając staruszkę o zawał.

–To dwie możliwości – zgodziłam się, zadowolona, że mogę porozmawiać o tym z kimś z zewnątrz. – Plus sprawa Matthew, który teraz właśnie próbuje odnowić kontakty z Tolliverem. A także dziewczynkami. Na dodatek kolejnym dziwnym zbiegiem okoliczności wypłynął ten

telefon z informacją o Cameron.

Wprowadziłam Manfreda w sprawy rodzinne.

–A więc to może się także łączyć w jakiś sposób z twoimi młodszymi siostrami. Albo zaginięciem starszej. W jaki sposób mogłoby wiązać się z tym ostatnim?

–Z Cameron? – zdumiałam się.

–Najpierw ktoś dzwoni, że widział Cameron. Potem policja otrzymuje telefon z pogroźkami. Dwa anonimowe telefony w tym samym czasie. Trochę dziwne jak na przypadek, nie uważasz?

–Hm, owszem – przyznałam, po raz pierwszy kojarząc te fakty. – Tak, jak najbardziej. – Jeśli nie myślałam o tym wcześniej, to tylko dlatego, że wytrąciły mnie z równowagi zamachy na ludzi, w których towarzystwie przebywałam. – Czyli rzeczywiście, to może mieć coś wspólnego z Cameron.

–Weź też pod uwagę, że anonim mógł działać w ten sposób, bo zakładał, że to najłatwiejszy sposób rozdzielenia cię z Tolliverem. Pewnie myślał, że natychmiast pojedziesz do Texarkany. Nie przewidział przeszkody w osobie policjanta, który ściągnął nagrania tutaj, na miejsce. – Manfred zamilkł na moment. – Harper? Jesteś pewna, ale tak całkowicie, że to nie była twoja siostra?

–Tak. Miała inny owal twarzy i inny chód. Fakt, była blondynką, odpowiedniej budowy i wzrostu. I rzeczywiście, dziwne, że ktoś to zgłosił, skoro sprawa jest nieruszana już od lat.

–Jesteś... Rozumiem, że uważasz Cameron za zmarłą?

–Tak, od dawna – odrzekłam stanowczo, jakby nigdy nie nachodziły mnie co do tego wątpliwości. – Za nic w świecie nie pozwoliłaby mi się zamartwiać przez te wszystkie lata.

–Ale mówiłaś, że bywało wam się ciężko dogadać?

–Uhm, ale nigdy by mi czegoś takiego nie zrobiła – oznajmiłam z pełnym przekonaniem. – Kochała nas, mnie i dzieciaki.

–A więc nagle pojawia się twój ojczym i ktoś widzi Cameron. – Manfred taktownie pominął możliwość odejścia Cameron z własnej woli. – Co za zbieg okoliczności, prawda?

–Owszem. Ale nie mam pojęcia, jak to powiązać. Nigdy nie przyszło mi na myśl, żeby go podejrzewać. A może powinno. Ale wtedy pojechał do jakiegoś swojego koleśia, z którym miał interesy. Wykluczało go to z kręgu podejrzanych.

–Jakiego rodzaju interesy?

–Prochy i cała reszta, na czym mogli zarobić. – Musiałam się skupić, żeby sobie przypomnieć.

Dziwne. Nie sądziłam, że kiedykolwiek zapomnę szczegóły tamtego dnia. – Renaldo i Matthew mieli po południu zanieść jakiś złom na składowisko. Ale chyba nie dotarli do celu, bo zaczęli grać w bilard. – Jak miał na nazwisko ten kumpel?

–Simpkins – odparłam niezadowolona, że z takim trudem przyszło mi wygrzebanie tego nazwiska z pamięci. – Był młodszy od Matthew, nawet przyjemny dla oka z tego, co pamiętam. – Usiłowałam przywołać obraz jego twarzy. – Może Tolliver przypomni sobie coś więcej – dodałam. Miałam wrażenie, jakbym, zapominając detale tamtego dnia, zdradzała moją siostrę. Po raz pierwszy doceniłam raporty policyjne. Victoria Flores też powinna taki mieć.

Zaparkowaliśmy pod szpitalem. Christian Memorial był może odrobinę nowszy od God's Mercy, ale w tej okolicy nic nie mogło być zbyt stare. Po wejściu poprosiliśmy rejestratorkę w różowym fartuchu o wskazanie drogi. Obdarzyła nas wyuczonym uśmiechem, który w zamyśle miał być ciepły i życzliwy.

–Detektyw Powers leży na czwartym piętrze, ale ostrzegam, dość tłoczno tam, możecie się nie dostać.

–Dzięki. – Uśmiechnęłam się równie promiennie.

W drodze do windy dekoracje na twarzy Manfreda przyciągały wzrok mijających nas ludzi. Mój towarzysz wydawał się nie zauważać fascynacji i zaskoczenia, jakie wzbudzał. Na czwartym piętrze naszym oczom ukazał się tłum, w którym dominował kolor niebieski. Wszędzie klębili się mundurowi w różnego rodzaju uniformach oraz cywile, prawdopodobnie detektywi. Pomiedzy nimi dostrzegłam też jednego czy dwóch futbolistów.

Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby zostawić Manfreda na dole, ale szybko zrozumiałam, że to niedopatrzenie było błędem. Zwracał na siebie uwagę, i to nie w sensie pozytywnym. Wyprostowałam się. Manfred był moim przyjacielem i miał prawo przebywać tutaj, jak każdy inny. Podeszła do nas wysoka kobieta z szopą brązowych włosów. Na pewno tu dowodziła. Zresztą dowodziłaby i gdziekolwiek indziej.

–Witam – rzekła. – Jestem Beverly Powers, żona Parkera. Mogę jakoś państwu pomóc?

–Mam nadzieję – odparłam z wahaniem. Nie przewidziałam takiego tłumu i tylu oczu skupionych na mnie. – Nazywam się Harper Connelly, Parker został ranny, kiedy ktoś chciał mnie zastrzelić. Chciałabym mu podziękować. A to Manfred Bernardo, mój przyjaciel. Przywiózł mnie tu zamiast mojego brata, który leży w szpitalu.

–Ach, więc pani jest tą kobietą. – Beverly Powers spojrzała na mnie z większym zainteresowaniem. – Cieszę się, że mogę panią poznać. Krąży wiele hipotez na temat powodów, dla których mój mąż był wtedy z panią. Mam nadzieję, że powie mi pani, jak to się stało?

–Jak najbardziej – odpowiedziałam zdumiona. – To żadna tajemnica.

Czekała w milczeniu z uniesionymi brwiami. Zaskoczona zrozumiałam, że chce wyjaśnić tu i teraz.

Wszyscy wokół słuchali, udając, że tego nie robią. Kątem oka dostrzegłam, jak Manfred odsuwa się, stając pod ścianą. Skrzyżował ramiona na piersiach i obserwował mnie czujnie. Wyglądał jak jakiś tajniak na służbie. I pewnie właśnie takie wrażenie chciał sprawiać. Ten chłopak był niczym kameleon.

–Dwa dni wcześniej został postrzelony mój brat – zaczęłam, ostrożnie dobierając słowa. – Na miejsce przyjechał detektyw Powers. On oraz Rudy Flemmons. Detektyw Flemmons przyszedł następnego dnia do szpitala, kiedy odwiedzałam brata, aby przekazać mi pewne informacje. A kiedy wczoraj wróciłam do hotelu, czekał tam na mnie pani mąż. Powiedziałam, że wybieram się pobiegać, bo przez cały dzień siedziałam z bratem, a on zaproponował, że będzie mi towarzyszył, ponieważ nie był przekonany, czy to mój brat stanowił prawdziwy cel. – Nie zamierzałam wspominać o żadnych błyskach, które widziałam w oczach Powersa. – Uważał, że być może strzelano do mnie, tym bardziej że tego dnia ktoś dzwonił na komisariat, grożąc mi śmiercią. Chyba żadne z nas nie brało tych pogroźek poważnie, co, jak się okazało, było błędem i bardzo tego żałuję. Na usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że już wcześniej mi grożono i nigdy nikt nie posunął się poza słowa. Pani mąż przebrał się w samochodzie w rzeczy, które miał w bagażniku, po czym ruszyliśmy na ulicę. Szybko się zmęczył, proszę wybaczyć, ale pewnie dawno nie biegał. – Wcześniej wyczuwalne napięcie wśród zebranych opadło w trakcie mojej opowieści, a gdy wspomniałam o braku kondycji Powersa, kilka osób nawet się zaśmiało. Przez twarz Beverly także przemknął lekki uśmiešek.

Nagle zrozumiałam. Pani Powers i koledzy detektywa sądzili, że mieliśmy romans. Moje konkretne wyjaśnienia rozwiały te podejrzenia. Tak naprawdę nie byli rozbawieni, po prostu im ulżyło.

–Biegaliśmy wokół ciągów autobusów na zajezdni, tej naprzeciw szkoły na Jacaranda. – Kątem oka dostrzegłam, że parę osób kiwa głowami. – Usłyszeliśmy nadjeżdżający samochód. Oboje pomyśleliśmy, że ktoś nas śledził, ale kierowca odjechał. Uznaliśmy jednak, że lepiej wracać. Nagle na ulicy zza drzewa wyskoczył jakiś mężczyzna i wystrzelił. Nie wiem, czy celował we mnie, czy w pani męża, ale detektyw Powers odepchnął mnie na bok i kula trafiła w niego. Bardzo mi przykro. Naprawdę wykazał się ogromną odwagą i fatalnie się czuję, że został tak ciężko ranny. Zadzwoiłam na numer alarmowy tak szybko jak mogłam.

–To ocaliło mu życie – stwierdziła Beverly. Miała miłą, śliczną twarz, ale wyraz oczu z tym kontrastował. Niezależnie jaki rodzaj sportu uprawiała, musiała być niezwykle groźną rywalką.

Byłam szczęśliwa, że nie miałam romansu z jej mężem.

–Proszę, zaprowadzę panią do Parkera – zaproponowała.

–Jest przytomny?

–Nie – odpowiedziała i z tonu wywnioskowałam, że detektyw Powers może już nigdy nie wrócić do przytomności.

Kobieta wzięła mnie za rękę, prowadząc do pomieszczenia o szklanych ścianach. Powers wyglądał strasznie, leżał nieruchomo, bez ducha. Nie wiem, czy przez leki, czy tak głęboko spał, czy może był w śpiączce.

–Przykro mi – szepnęłam. Powers był o krok od śmierci. Nie zawsze mam rację, śmierć może zawisnąć nad człowiekiem, ale nie zbliżyć się do niego, jednak w tym wypadku nie miałam wątpliwości. Jedyne nadzieję, że się mylę.

–Dziękuję, że pozwoliła mi pani jeszcze raz przy nim być – powiedziała Beverly. Przez chwilę stałyśmy w milczeniu.

–Muszę wracać do brata – odezwałam się. – Bardzo dziękuję za rozmowę i za to, że pozwoliła mi go pani zobaczyć. Proszę przekazać mężowi, że bardzo dziękuję za to, co dla mnie zrobił.

Niezdarnym gestem poklepałam Beverly po ramieniu, po czym zaczęłam przebijać się przez tłum w stronę Manfreda. Wziąwszy mnie za rękę, nacisnął guzik windy. Drzwi otworzyły się natychmiast. Stojąc w środku, pragnęłam, żeby winda jak najszybciej ruszyła, uwalniając mnie od bolesnego widoku na korytarzu.

–Dobrze, że ze mną przyszedłeś – powiedziałam. – Pewnie cię to kosztowało sporo nerwów.

–Coś ty, uwielbiam wlażyć do jaskini pełnej lwów z pieczętką „soczysta owieczka” na czole. – Teraz, gdy byliśmy już sami, jego beznamiętna maska opadła, ukazując ulgę, pewnie podobną mojej. Tak mocno ściskaliśmy sobie dłonie, że czułam wszystkie jego kostki. Natychmiast, jak tylko zdałam sobie sprawę z bólu, rozluźnił uścisk. – Niezła przygoda – powiedział normalnym głosem. – Co teraz? Zapasy z aligatorem?

–Myślałam raczej o lunchu. Potem muszę wracać do Tollivera.

–Lekarz pozwolił Tolliverowi wyjść, tak? – zapytał Manfred, kiedy siedzieliśmy już w samochodzie.

–Jutro. Będę się nim zajmowała. Nie wiem, czy nie wynająć apartamentu zamiast tego pokoju, który mamy teraz. Zostaniemy z tydzień, lekarz mówił, że Tolliverowi potrzebny jest spokój. Na początku poleży w łóżku, musi mieć wygodnie.

–Ostatecznie jesteście już razem, tak? On jest tym jedynym? – zapytał Manfred, poważniejąc.

–Tak, jest tym jedynym. Był, odkąd go poznałam. Ty oczywiście jesteś moją rezerwą. – Uśmiechnęłam się. Ku mej radości odpowiedział tym samym.

–Ech, muszę dalej zarzucać sieci – westchnął melodramatycznie. – Może złowię jakąś syrenkę.

–Jeśli komuś by się to udało, to właśnie tobie.

–A mówiąc o syrenach, sprawdzasz, czy mamy ogon, czy nie ufasz moim umiejętnościom prowadzenia auta?

–Chciałabym umieć dostrzec ogon. Ktoś dybie na moje życie, a ja nic nie zauważam. Nie nadaję się na detektywa.

Manfred także usiłował zwracać uwagę na otoczenie, ale nie widział żadnego samochodu, który jechałby za nami. Trudno było zorientować się w czymkolwiek w takich korkach, ale i tak poczułam się lepiej.

W hotelu spakowałam rzeczy i wymeldowałam się, wcześniej poszukawszy w pobliskich hotelach wolnego apartamentu. Zarezerwowałam go na nazwisko Tollivera. Prześladowca wiedział o poprzednim hotelu, a choć znalezienie mnie i w kolejnym nie będzie pewnie trudne, nie zamierzałam mu tego ułatwić. Podalam sześciodniowy termin pobytu. Zawsze mogliśmy zrezygnować wcześniej, gdyby Tolliver poczuł się na tyle dobrze, by podróżować. Zadzwoiłam też do Marka, aby poinformować go o zmianie hotelu. Później Manfred zawiózł mnie na miejsce i pomógł zatańczyć do pokoju bagaże.

W końcu poszliśmy coś zjeść w rodzinnej restauracji z barem sałatkowym. Czulałam, że powinnam zjeść coś mniej niezdrowego, toteż załadowałam sobie talerz warzywami i owocami. Nicco zaskoczona, ujrzałam na talerzu Manfreda podobny zestaw.

Mój towarzysz był wielbicielem konwersacji. A w każdym razie uwielbiał mówić. Zastanawiałam się, czy ma wielu znajomych w swoim wieku, bo chyba brakowało mu okazji, żeby się swobodnie wygadać. Szczególnie o Xyldzie, o tęsknocie za nią, o rzeczach, których go nauczyła, i dziwnych przedmiotach, jakie znalazł po jej śmierci w domu.

–Dziękuję, że przyjechałeś – odezwałam się w przerwie tego potoku słów.

Wzruszył ramionami. Wyglądał na dumnego i zakłopotanego jednocześnie.

–Wiedziałem, że mnie potrzebujesz – rzekł, uciekając wzrokiem.

–Chciałabym, żebyś spotkał się z paroma osobami, może coś wychwycisz. Tylko muszę się zastanowić, jak to zrobić, żeby wyglądało naturalnie.

Aż za bardzo uradowała go perspektywa wyświadczenia mi przysługi.

–Oczywiście zrozumieć, jeśli musisz wracać do domu – zapewniłam go.

–Nie, nie. Głównie pracuję teraz przez Internet, a w tym tygodniu nie mam żadnych spotkań. Wziąłem ze sobą laptopa i komórkę, podstawowe narzędzia pracy. Na co powinienem zwracać uwagę? – Lekki ton gdzieś zniknął i teraz patrzyłam na człowieka o wiele starszego niż ten, do jakiego przywykłam.

–Na wszystko. Ktoś postrzelił Tollivera, a potem Powersa, a myślę, że to ja byłam celem. Podejrzewam, że to któraś z tych osób. I chcę wiedzieć dlaczego.

–A nie, kto to zrobił?

–To oczywiście też. Ale ważniejsze: dlaczego. I czy w ogóle jestem celem, czy nie.

–Rozumiem – kiwnął głową. Pojechaliśmy do szpitala. Manfred podwiózł mnie pod boczne wejście, najbardziej dyskretne w tym budynku. Wślizgnęłam się do środka i dotarłam do wind poza holem. Chyba nikt nie zwrócił na mnie uwagi i nikt też nie zachowywał się szczególnie podejrzanie. Wszyscy, których obserwowałam, wydawali się mieć jakiś cel pobytu w szpitalu. Nikt też nie próbował mnie zaczepiać.

Tolliver siedział w fotelu obok łóżka. Ten widok wywołał u mnie szeroki uśmiech.

–Widzę, że ogarnęła cię żądza przygód – zażartowałam.

–Ej, nie rób ze mnie inwalidy. – Uśmiechnął się. – Wieść o wypisie podziałała na mnie lepiej niż leki. Jak tam przejażdżka ze wspaniałym Manfredem?

Opowiedziałam Tolliverowi o wizycie u detektywa Powersa.

–Ulżyło im, kiedy okazało się, że nie mieliśmy romansu.

–Jak wydobrzeje, będziesz mu mogła powiedzieć, że koledzy mają go za babiarza.

–Nie sądzę, żeby z tego wyszedł. Myślę, że umrze.

Tolliver wziął mnie za rękę.

–Harper, to nie zależy od nas. Możemy mieć tylko nadzieję, że się z tego wygrzebie.

To było słodkie, może nie same słowa, ale sposób, w jaki je wypowiedział. Dzięki takim drobiazgom wiedziałam, że mnie kocha. Rozplakałam się, a on pozwolił mi szlochać, bez żadnej protekcjonalności. Potem pomogłam mu wrócić na łóżko, bo był zmęczony. Powinniśmy zastanawiać się, kto do niego strzelał, ale oboje byliśmy na to zbyt wyczerpani.

Jakąś godzinę później do szpitala przyszli Mark oraz Matthew.

Oglądaliśmy akurat stare filmy i było naprawdę przyjemnie, ale z grzeczności wyłączyłam telewizor, kiedy weszli do sali. Obserwując ich, kiedy stali obok siebie przy łóżku, dostrzegłam,

że Mark jest bardziej podobny do ojca niż Tolliver. Naturalnie wszyscy trzej mieli podobny kolor oczu, cery i włosów, ale jeśli chodzi o budowę, to Mark odziedziczył niski wzrost, mocną budowę i kwadratową szczękę. Pod tym względem Tolliver był bardziej podobny do matki. Co prawda widziałam ją tylko na zdjęciach, ale to po niej młodszy syn miał pociągłą twarz i drobniejszy kościec.

Zastanawiałam się, czy Mark i Matthew woleliby, żebym wyszła.

Tolliver nie dał mi żadnego sygnału świadczącego o chęci pozostania z bratem i ojcem sam na sam, więc choć podejrzewałam, że tamci pragnęliby porozmawiać beze mnie, zostałam.

Po standardowych pytaniach o zdrowie i warunki szpitalne Mark przeszedł do konkretów.

–Może przeprowadziłbyś się do mnie, znaczy, do mnie do domu? Na czas rekonwalescencji.

–Do ciebie do domu – powtórzył Tolliver, jakby nie mieściło mu się to w głowie. Tylko raz byliśmy w domu Marka, klasycznej parterówce z trzema sypialniami i ogródkiem. Zaprosił nas na kolację, zamówił coś przez telefon.

–No, czemu nie? Skoro ty i Harper... – Wykonał mglisty gest, który miał oznaczać, że ze sobą śpimy. – Znaczy, skoro jesteście razem, to mam przecież jeszcze jeden wolny pokój.

–A więc ten drugi zajmuje teraz ojciec, tak? – mówiąc to, Tolliver nie patrzył na ojca, a Mark z pewnością dostrzegł aluzję.

–Tak. Wiesz, nie zarabia zbyt wiele, a z pokoju i tak nikt nie korzystał, więc samo się tak nasunęło.

–Wynajęłam nam wygodny apartament w hotelu – rzekłam spokojnie, dbając o neutralność tonu. Nie chciałam doprowadzić do żadnej konfrontacji. Moje życzenie jednak się nie spełniło.

–Wiesz co, Harper – zaczął Mark, czerwieniejąc, jak zwykle, gdy się zaperzał – nie wtrącaj się. To mój brat, a ja zaprosiłem go do siebie. Tak powinno być. I to on ma zdecydować. Jesteśmy rodziną.

Nie tylko mnie rozzłościł, ale także zranił. Nie zależało mi, aby ktokolwiek uznawał mnie za członka rodziny Matthew, ale przecież tyle przeszliśmy z Markiem, myślałam, że to właśnie my, dzieci, stanowiliśmy rodzinę. Czułam gorąco wypieków na twarzy.

–Harper jest naszą rodziną, Mark – zareagował Tolliver ostro. – Dla mnie jest nią od lat. Dla ciebie też zawsze nią była. Wiem, że pamiętasz, jak musieliśmy trzymać się razem.

Mark spuścił głowę. Aż przykro było patrzeć na jego twarz, na której odbijało się teraz tyle sprzecznych uczuć.

–W porządku, Mark – odezwał się Matthew. – Rozumiem ich. Musieliście liczyć tylko na siebie, Laurel i ja nie byliśmy w stanie dbać o dzieci. Byliśmy razem, ale nie tworzyliśmy prawdziwej rodziny. Tolliver ma rację.

Przeszarżował, pomyślałam.

–Ale, tato – wymamrotał Mark, jakby znów był siedemnastolatkiem. – Przecież starałeś się trzymać nas razem.

–Starałem się, ale nałóg wchodził mi w drogę.

Włożyłam wiele wysiłku, aby nie wywrócić oczyma. Istny teatr. Tolliver przyglądał się z nieodgadnioną miną, jak Matthew po raz kolejny bije się w piersi. Nawet po tylu latach chwilami nie byłam w stanie określić, co myśli. Teraz właśnie był taki moment. Może miękł wobec skruchy ojca, a może wręcz przeciwnie, miał ochotę go zamordować. W tej chwili stawiałabym na to drugie.

–Proszę cię, Tolliverze, daj mi jeszcze jedną szansę – zaklinał Matthew.

Milczenie przedłużało się, aż wreszcie przerwał je Mark.

–Pamiętasz, Tol, jak zachorowała Gracie? Miała wtedy może ze cztery miesiące i tata zabrał ją do szpitala. To było tak dawno, że prawie zapomniałem. Mogłem mieć, ja wiem, może z piętnaście lat. Byłem strasznie skrępowany, że mam tak małą siostrzyczkę, bo to oznaczało, że moi rodzice uprawiają seks.

Zadziwiająca, że coś takiego może jeszcze wprawiać w zakłopotanie w tym wieku.

W tamtym czasie wiedziałam już sporo o dzieciach, bo zajmowaliśmy się Mariellą. Pierwszą naszą siostrzyczką matka nawet starała się opiekować, w każdym razie w podstawowym zakresie. Dzięki temu byliśmy w stanie chodzić normalnie do szkoły. Gracie urodziła się z niedowagą, słaba, więc coś takiego nie wchodziło w grę. Nie mam pojęcia, czemu opieka społeczna nie zabrała jej zaraz po porodzie. W duchu modliliśmy się o to. Liczyliśmy też, że matka w chwili przeblysku wykaże się rozsądkiem i odda ją do adopcji.

Niestety, ani jedno, ani drugie nie nastąpiło. Musieliśmy więc radzić sobie sami. Cameron i ja zatrudnialiśmy się na zmianę jako opiekunki, chłopcy dorabiali dorywczo, czasem nawet Matthew coś dorzuczał, dzięki czemu mogliśmy na te parę godzin oddawać dziewczynki do żłobka.

Po jakimś czasie Gracie, która od początku miała problemy z płucami, zaczęła chorować jeszcze bardziej. Nie pamiętam dokładnie wszystkich okoliczności prócz tego, że strasznie się bałam. Matthew zrobił na nas wrażenie, zawożąc ją do szpitala.

–Chcesz powiedzieć – odezwał się wreszcie Tolliver – że mam wybaczyć ojcu wszystko, bo

raz, jeden jedyny raz zachował się tak, jak powinien?

Odetchnęłam z ulgą. Nie dał się zwieść.

–Ech, Tolliverze. – Matthew potrząsnął głową z wypisanym na twarzy wielkimi literami rozżaleniem. – Staram się wytrwać w trzeźwości. Nie odwracaj się ode mnie.

Wiele mnie kosztowało, żeby ugryźć się w język, ale duma z siebie wynagrodziła mi wysiłek. Na sekundę serce podeszło mi do gardła, bo wydało mi się, że ujrzałam oznaki łagodnienia na obliczu Tollivera.

–Do widzenia, Mark. Tato, dziękuję, że przyszliście mnie odwiedzić – zakończył rozmowę Tolliver, a mnie wyrwało się ciche westchnienie ulgi.

Goście popatrzyli po sobie, a potem na mnie. Najwyraźniej oczekiwali, że jednak wyjdę. Ale trwałam przy swoim. Po chwili zrozumieli, że nic nie wskórają.

–Harper, jeśli będziesz potrzebowała pomocy przy przewożeniu Tollivera do hotelu, zadzwoń do Marka i zostaw wiadomość. Możesz na nas liczyć.

Skinęłam głową.

–Przykro mi, że nie możemy się razem... – głos Marka załamał się z żalu. – Jezu, żałuję, że nie jesteście w stanie wybaczyć i zapomnieć.

Niewiarygodne. Zabrakło mi słów, żeby odpowiedzieć bratu, ale znalazłam kilka przeznaczonych dla Matthew.

–Twoje postępowanie było dla mnie lekcją życia. Nie nienawidzę cię, ale nie zamierzam niczego zapominać. To byłoby bardzo, bardzo głupie.

Matthew spojrzal mi prosto w oczy i przez moment widziałam na jego twarzy nieklamana niechęć. Szybko jednak przybrał na powrót maskę skruchy.

–Bardzo mi przykro, że tak uważasz, Harper – rzekł bez zająknięcia. – Będę się za ciebie modlił, synu.

Tolliver popatrzył na niego w milczeniu. Mark i Matthew odwrócili się i wyszli.

–Nienawidzi mnie – odezwałam się po chwili.

–Nie wiem, czy przypadkiem nie żywi tego samego uczucia wobec mnie – westchnął Tolliver. – Jeśli spadnę ze schodów, nie dzwoń do nich. Kocham brata, ale jest zupełnie pod wpływem ojca. Za grosz mu nie ufam.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Szpital opuściłam po zmroku. Przez jakiś czas jeździłam w kółko, upewniając się, że nikt mnie nie śledzi. Sytuacja, że ktoś może to robić, była dla mnie taką nowością, że pewnie nie zauważyłabym, gdyby nawet siedziało mi na ogonie i pięć samochodów, ale bardzo się starałam. Zaparkowałam w pobliżu wejścia do hotelu, a drogę do drzwi pokonałam biegiem. Dotarwszy na piętro, odczekałam z wejściem do pokoju, póki nie nabrałam pewności, że jestem sama na korytarzu.

Wypakowałam parę rzeczy i zrobiłam niewielkie prasowanie, po czym sięgnęłam do torby Tollivera, żeby wybrać coś wygodnego na wyjście ze szpitala. Koszulki wkładane przez głowę odpadały ze względu na ranę ramienia, zdecydowałam się więc na sportową koszulę i dzinsy. Złożyłam je i umieściłam w malej torbie.

Po obejrzeniu wiadomości zadzwoniłam po obsługę. Dobrze, że przy hotelu znajdowała się restauracja, bo nie miałam ochoty wychodzić nigdzie sama.

Trochę zdziwiło mnie, że Manfred nie zadzwonił, żeby umówić się na kolację, ale brak towarzystwa nie pozbawił mnie apetytu. Zamówiłam sałatkę cesarską oraz minestrone, dochodząc do wniosku, że tych potraw nawet kiepski kucharz nie zepsuje za bardzo.

Podeszłam do drzwi, słysząc pukanie, ale nie otworzyłam. Obsługa zwykle od razu się przedstawiała, a ten, kto stał po drugiej stronie, nie odezwał się.

Nasłuchiwałam, przyłożywszy ucho do drzwi. Podejrzewałam, że tamten ktoś robił to samo.

Powinnam po prostu sprawdzić, ale ogarnął mnie irracjonalny lęk przed spojrzaniem w wizjer. Bałam się, że stoi tam ktoś z bronią i że domyśliwszy się mojej obecności, zacznie strzelać. Wiedziałam, że bystry obserwator może stwierdzić, czy ktoś jest po drugiej stronie drzwi, i nie potrafiłam się przełamać.

Usłyszałam windę. Stała na moim piętrze, otworzyły się drzwi, po czym na korytarzu zaturkotał wózek obsługi. Tajemnicza osoba za drzwiami poruszyła się. Czyli nadal tam stała. Po chwili jednak dobiegły mnie szybkie, cichnące w oddali kroki. Popatrzyłam przez wizjer, ale za późno. Nie zauważyłam nikogo.

Moment później ktoś zapukał stanowczo do drzwi, a damski głos oznajmił:

–Obsługa hotelowa.

Zerknięcie przez wizjer potwierdziło te słowa. Widząc znudzenie na twarzy pokojówki, otworzyłam bez zwłoki.

–Nie widziała pani przypadkiem kogoś stojącego pod moimi drzwiami? – zapytałam, a nie chcąc wyjść na gościa z manią prześladowczą, dodałam: – Zdrzemnęłam się, wydawało mi się,

że słyszę pukanie, ale kiedy otworzyłam, już nikogo nie było.

–Tak, ktoś szedł korytarzem, ale nie dostrzegłam twarzy – odpowiedziała kobieta.

Chyba nie mogłam liczyć na nic więcej.

Byłam na siebie zła. Powinnam spojrzeć przez wizjer. Może okazałaby się, że ktoś po prostu pomylił pokoje. A może Manfred, który przecież wiedział, że mieszkam w tym hotelu, przyszedł mnie odwiedzić? Może nawet ujrzałabym twarz tego, kto na mnie polował.

Rozczarowana własnym tchórzostwem, włączyłam telewizor i jedząc zupę oraz sałatkę, obejrzałam powtórkę „Prawa i porządku”.

W tym serialu zawsze zwycięża sprawiedliwość, a jeśli nawet trafiłabym na odcinek oglądany już wielokrotnie, zawsze mogłam przełączyć kanał i znaleźć którąś z serii „CSI”. Szkoda, że ci dobrzy wygrywają zawsze tylko w filmach, a o tyle rzadziej w rzeczywistości.

Może dlatego telewizja cieszy się taką popularnością?

Jadłam bez pośpiechu. W pewnej chwili złapałam się na tym, że staram się gryźć możliwie cicho, nie chcąc uronić żadnych odgłosów dochodzących z korytarza. To było głupie. Założyłam łańcuch, zablokowałam drzwi zasuwką i od razu poczułam się znacznie lepiej. Po skończeniu posiłku sprawdziłam, czy nikt nie stoi za drzwiami, i dopiero wtedy wystawiłam wózek na korytarz. Zrobiłam to najszybciej jak się dało, po czym ponownie zamknęłam drzwi na cztery spusty. Co prawda do apartamentu prowadziło tylko jedno wejście, a przez okno na pierwszym piętrze nikt by nie wszedł, ale na wszelki wypadek zasunęłam też zasłony. Dotrwałam w ten sposób aż do rana.

Jednakże nie dało się tak żyć na dłuższą metę.

Tego dnia Tolliver wyglądał jeszcze lepiej, a doktor zezwolił w końcu na wypis. Dostałam długą listę wskazówek. Rana nie powinna być zamaczana. Tolliverowi nie wolno podnosić nic prawą ręką. Po powrocie do domu (czyli do St. Louis w naszym przypadku) powinien przejść fizykoterapię. Oczywiście proces wypisu trwał całe wieki, ale wreszcie znaleźliśmy się w samochodzie. Zapięłam Tolliverowi pas bezpieczeństwa.

Już miałam powiedzieć, że nie marzę o niczym innym, tylko żeby się wyrwać z tego miasta, ale zmieniłam zdanie. Tolliverowi mogłoby to sprawić przykrość. I tak musieliśmy trzymać się zaleceń lekarza i zostać tu kilka dni. Ale naprawdę coraz bardziej chciałam opuścić Teksas. Planowałam, że moglibyśmy wykorzystać ten czas na szukanie domu, ale teraz na pierwsze miejsce wysunęło się pragnienie wrzucenia rzeczy do samochodu i wyjazdu co silnik wyskoczy.

Tolliver wyglądał przez okno z miną więźnia, który po dziesięciu latach odsiadki po raz pierwszy widzi hotele, restauracje i ruch uliczny. W ubraniach, które mu przyniosłam, bardziej niż w piżamie szpitalnej przypominał siebie.

Dostrzegł, że na niego zerkam.

–Wiem, że wyglądam jak siedem nieszczęść. Nie musisz mi o tym przypominać – rzucił rzeczowo.

–Wprost przeciwnie. Właśnie myślałam, że wyglądasz świetnie – zaprzeczyłam niewinnie, wywołując jego śmiech.

–Jasne.

–Nie przeżyłam nigdy postrzału. No wiesz, tamto to było draśnięcie. Naprawdę czuleś, jakby ktoś grzmotnął cię pięścią? Tak to opisują zwykle w książkach.

–Uhm. Coś jakby wielka piącha przeszła cię na wylot, wychlustując z ciebie krew i przyprawiając o nieprawdopodobny ból. – Poważniej dodał: – Przez chwilę bolało tak bardzo, że miałem ochotę umrzeć.

–Rany. – Usiłowałam wyobrazić sobie taki ogrom cierpienia. Byłam ranna, również poważnie, ale po porażeniu piorunem nie czułam nic. Tak jakbym na parę sekund przeniosła się do innego świata, a potem wróciła do tego. Wtedy dopiero zaczęło boleć. Matka opowiadała, że porody są strasznie bolesne, ale ja żadnego nie przeżyłam. – Mam nadzieję, że już nigdy nic podobnego nam się nie przytrafi.

–Masz jakieś wieści od kogoś? Dziwnie sformułowane pytanie.

–Od kogoś konkretnego?

–Wczoraj wieczorem wpadła do mnie Victoria.

–Powinnam być zazdrosna? – zapytałam po chwili, kiedy uznałam, że uda mi się zdobyć na lekki ton.

–Najwyżej tyle, ile ja o Manfreda. Aha.

–W takim razie lepiej mi o tym opowiedz. Akurat zatrzymaliśmy się pod hotelem i nasza rozmowa została przerwana na czas wysiadania. Kiedy otworzyłam drzwi pasażera, Tolliver ostrożnie spuścił nogi na chodnik i dźwigając się, podparł zdrową ręką na moim ramieniu. Musiało go zaboлеć, bo skrzywił się trochę. Zamknęłam samochód i krok za krokiem ruszyliśmy do wejścia. Staralam się ukryć zaniepokojenie, gdy uświadomiłam sobie, jak słaby jest Tolliver.

Udało nam się dotrzeć bez przeszkód do holu i w końcu do windy. Usiłowałam obserwować Tollivera, chcąc wychwycić każdą oznakę, że potrzebuje mojej pomocy, a zarazem mieć baczenie na wszystko, co dzieje się wokół. W ten sposób czułam się jak neurotyczka omiatająca nerwowym spojrzeniem wszystkie kąty i jednocześnie zezująca na towarzysza.

Dotarwszy do pokoju, odetchnęłam z ulgą. Pomogłam Tolliverowi ułożyć się na łóżku i przysunęłam sobie krzesło. Jednak to za bardzo przypominało mi szpital, więc położyłam się przy nim na boku, żeby móc na niego patrzeć.

Kiedy wygodnie się umościł, odwrócił się do mnie.

–Tak jest lepiej – oświadczył. – To lepsze niż cokolwiek innego.

W pełni się z nim zgadzałam. W ramach powitania w nieszpitalnym świecie, rozpięłam mu spodnie i zastosowałam fizykoterapię, jakiej się nie spodziewał. Sprawilo mu to taką przyjemność, że później pocałowaliśmy się tylko i przytuleni, zapadliśmy w sen.

Obudziło mnie pukanie do drzwi. Zamarzyłam o drzwiach, które dałoby się tak zabezpieczyć, żeby nikt nie mógł się do nich dobijać. Żałowałam, że nie wywiesiłam plakietki „Nie przeszkadzać”. Tolliver poruszył się, otwierając oczy. Zeszłam z materaca, przeciągnęłam się, poprawiłam włosy i poszłam do saloniku, żeby sprawdzić, kogo licho niesie. Tym razem zdobyłam się na odwagę i wyjrzałam przez wizjer.

Ku memu zaskoczeniu, bo przecież nie informowałam policji, gdzie się zatrzymamy, w korytarzu stał Rudy Flemmons.

–To ten detektyw – rzuciłam, wracając do sypialni. – Nie ten postrzelony, tylko Flemmons.

–Poważnie? – ziewnął Tolliver, zasuwając rozporek. Pomagając mu zapiąć guzik, spojrzałam na niego i uśmiechnęliśmy się.

Wpuściwszy detektywa, przyprowadziłam Tollivera do saloniku, żeby mógł uczestniczyć w rozmowie. Tolliver zajął sofę, więc Flemmons usiadł na fotelu.

–Kiedy tu dotarliście? – zapytał policjant. Spojrzałam na zegarek.

–Wypisaliśmy się ze szpitala jakieś półtorej godziny temu – odparłam. – Przyjechaliśmy prosto tutaj, a potem oboje się zdrzemnęliśmy.

Tolliver przytaknął.

–Czy w ciągu ostatnich dwóch dni widzieli się państwo z Victorią Flores?

–Tak – przyznał Tolliver bez namysłu. – Wczoraj wieczorem odwiedziła mnie w szpitalu, już po wyjściu Harper. Została jakieś trzy kwadransy i poszła. Mogło być koło... Rany, nie wiem, dostawałam sporo leków przeciwbólowych. Ale chyba koło ósmej. Potem już jej nie widziałem.

–Nie wróciła wczoraj do domu. Zostawiła swoją córkę, Mari Carmen, ze swoją matką, a ta zadzwoniła na policję, gdy Victoria długo nie pojawiała się po dziecko. Normalnie nie zajęlibyśmy się spóźnieniem dorosłej kobiety po odbiór pociechy od babci, ale Victoria

pracowała w texarkańskiej policji i wielu z nas ją zna. Nigdy nie spóźniała się na nic, co dotyczyło jej dziecka, a jeśli nawet, to nie bez uprzedzenia. Victoria jest bardzo dobrą matką.

Po jego minie widziałam, że należy do tych policjantów, którzy ją znali. Przyszło mi nawet do głowy, że mógł znać ją bardzo dobrze.

–Czy znalazł pan kogoś, kto widział ją po wyjściu ze szpitala?

–Nie – westchnął ciężko. – Niestety.

Tyle dobrego, że nikt nie uwierzyłby w scenariusz, że Tolliver wyskoczył z łóżka, obezwładnił Victorię i schował pod łóżkiem, po czym przekupił salowego, żeby pobyl się ciała.

–Nie kontaktowała się z matką? Detektyw potrząsnął głową.

–To straszne – wyrwało mi się. – Ja... To po prostu okropne.

Przypomniałam sobie, że Tolliver miał mi opowiedzieć o swojej rozmowie z Victorią. Ciekawe, czy zamierzał zrobić to teraz, w obecności policjanta. Zerknęłam na niego ukradkiem, ale prawie niedostrzegalnie pokręcił głową. A więc nie.

No dobrze.

–O czym pan z nią rozmawiał? Czy Victoria wspominała, nad czym aktualnie pracuje albo gdzie wybiera się po wizycie u pana?

–Niestety, rozmawialiśmy głównie o mnie – rzekł Tolliver. – Pytała o kulę, czy ustalono miejsce, z którego padł strzał, czy w okolicy wydarzyło się w tym czasie coś niezwykłego... Podobno była inna strzelanina? Harper mi przekazała. Poza tym, jak długo mam zostać w szpitalu i takie tam.

–Mówiła coś o sobie? O prywatnym życiu?

–Tak. Napomknęła, że jakiś czas spotykała się z jednym facetem, policjantem, i że niedawno zerwali. Mówiła, że przemyślała sprawę i chce do niego zadzwonić jeszcze tego wieczoru.

Nie spodziewałam się aż tak gwałtownej reakcji. Flemmons zbladł jak ściana. Przestraszyłam się, że zaraz zemdleje.

–Tak powiedziała? – wykrztusił.

–Owszem – przytaknął Tolliver, równie jak ja zaskoczony. – Prawie słowo w słowo. Sam byłem zdziwiony, bo nigdy wcześniej mi się nie zwierzała. Nie byliśmy aż tak blisko, a ona nie należała do osób omawiających publicznie swoje życie uczuciowe. Wie pan, z kim się spotykała?

–Tak – oświadczył Flemmons. – Ze mną. Żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć, jak zareagować w tych okolicznościach.

Flemmons siedział jeszcze z pół godziny, wypytując Tollivera o szczegóły spotkania. Ten z kolei był wybitnie powściągliwy w odpowiedziach, co mnie zdumiało i zaniepokoiło, biorąc pod uwagę powagę sytuacji.

Opowiedziałam detektywowi o tajemniczym gościu, który czaił się pod moimi drzwiami wczorajszego wieczora, tuż przed przyjściem obsługi. Nie przypuszczałam, by była to Victoria, ale na wszelki wypadek wołałam poinformować kogoś, że coś takiego miało w ogóle miejsce.

Wreszcie Flemmons poszedł sobie. Ulżyło mi, gdy drzwi się za nim zamknęły. Nasłuchiwałam jego kroków w korytarzu, sygnału zamykającej się windy i szumu mechanizmu dźwigu. Na koniec wyjrzałam, chcąc upewnić się, że na pewno nikt nie czyha w pobliżu.

To już zakrawało na obsesję, ale pocieszałam się, że mam ku temu słuszne powody.

–No, teraz mów – zażądałam po powrocie. Tolliver wyglądał na wykończonego przesłuchaniem. Pomogłam mu wrócić do łóżka, ale tym razem nie zamierzałam popuścić. Musiałam dowiedzieć się tego, co miał mi zakomunikować, nim Rudy Flemmons zapukał do naszych drzwi.

Leżąc wygodnie, Tolliver zaczął zdawać relację.

–Zapytała mnie, czy uważam, że Joyce'owie chcą w dobrej wierze odnaleźć dziecko Mariah Parish, czy raczej może pozbyć się go na dobre.

–Pozbyć... – wyjąkałam oszołomiona, ale natychmiast pojęłam sens pytania. – Rzeczywiście, przecież to dziecko dziedziczyłoby co najmniej ćwierć majątku. Spadkobierca z linii zstępnej, chyba tak to się nazywa? Jeśli jakiś prawnik posłuży się tym terminem, dziecko będzie dziedziczyło bez względu na to, czy pochodzi z prawego łóża czy nie. Istnieją jakieś przesłanki, że Rich Joyce poślubił Mariah po cichu?

–Nie, jeśli już, zrobilby to otwarcie, a już na pewno nie wchodziły w grę żadne oszukańcze ceremonie. Według Victorii był zasadniczy aż do bólu. Jeśli dziecko byłoby jego, uznalby je natychmiast. O ile by o nim wiedział.

–I nie miała co do tego żadnych wątpliwości?

–Żadnych. Victoria przepytowała wiele osób, które znały go bardzo dobrze, były z nim blisko. Wszyscy mówili, że Lizzy jest taka jak dziadek, konkretna i szczerą. Co innego Kate i Drex, im zależy tylko na forsie.

–A Chip? Ten facet Lizzy?

–O nim nic nie wspominała.

–Victoria dowiedziała się tego wszystkiego tak szybko?

–No, nie obijała się.

–Czemu w ogóle rozmawiała z tobą na ten temat? Bo chyba nie dla pięknych oczu, skoro chciała wrócić do Flemmonsa?

–Uważała, że postrzeliło mnie jedno z Joyce'ów. Dlatego właśnie przyszła z tym do mnie.

–Hm, nadal nie łapię.

–Oni myślą, że wiesz więcej o okolicznościach śmierci Richa, niż wyjawiałaś wtedy na cmentarzu. Denerwują się, bo podałaś przyczynę śmierci Mariah Parish, a tym samym wywlekałaś na światło dzienne istnienie dziecka. Pewnie obawiają się, że mogłabyś też odnaleźć jego ciało.

Zrobiło mi się niedobrze. Przez to, co zostawił we mnie piorun, ciągle miałam styczność z niegodziwościami i złem. Dawniej śmierć dzieci była czymś powszechnym, umierały z powodu komplikacji, które teraz były rzadkością. Stawałam na tyłu maleńkich grobach, a obrazy białych, nieruchomych twarzątek zawsze przepelniały mnie smutkiem. Jednakże zabójstwo dziecka było dla mnie najgorszą nikczemnością, szczytem zła.

–Właśnie. Więc tak to przedstawiła Victoria. Nie znalazła żadnych dokumentów, które świadczyłyby o narodzinach dziecka. Może Mariah urodziła sama?

–Daj spokój, jaka kobieta w tych czasach nie idzie do szpitala, kiedy czuje, że poród jest blisko?

–Taka, która nie może...

Czułam, że usta zaciskają mi się ze zgrozy i obrzydzenia.

–Chcesz powiedzieć, że ktoś nie pozwolił jej iść do szpitala? Że pozwolił jej tak umrzeć? – Nie musiałam dodawać, że było to okrutne i nieludzkie. Tolliver podzielał moje odczucia.

–Niewykluczone. To wyjaśniałoby jej śmierć po porodzie i brak dokumentacji szpitalnej jej czy dziecka.

–I gdyby nie ja...

–Nikt by się o tym nigdy nie dowiedział. Teraz już przestałam się dziwić, że ktoś dybie na moje życie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pokonywałam kolejne kilometry na bieżni w „sali ćwiczeń”, hotelowym ukłonie w kierunku zdrowia. Dobrze, że było to zamknięte pomieszczenie, co w tej sytuacji oznaczało „bezpieczne”. Obudziłam się wczesnym rankiem, a po regularnym oddechu oceniałam, że Tolliver śpi głęboko.

Choć zyskałam teraz wyraźniejszy obraz przyczyn tego koszmaru, w którym tkwiłam, nadal nie miałam pojęcia, co na to poradzić. Na policję nie było z czym iść, a Joyce'owie byli bogaci i ustosunkowani. Nie wiedziałam na pewno, czy któreś z nich było w to zamieszane ani czy strzelec oraz morderca (śmierć Richa i Mariah uznałam za morderstwa) był tą samą osobą i czy działał sam. Nie wątpiłam, że trójka rodzeństwa oraz Chip są ludźmi zdolnymi do użycia broni. Może myślałam stereotypowo, ale trudno uwierzyć, żeby Rich, który wychował wnuczki na jeźdźców rodeo, zaniedbał naukę strzelania. Umiejętności Dreksa nawet nie przyszło mi do głowy kwestionować. Podobnie z Chipem Moseleyem.

O tym ostatnim wiedziałam najmniej. Robił wrażenie idealnego partnera dla Lizzy: twardy, ogorzały, wydawał się kompetentnym człowiekiem stąpającym mocno po ziemi. Podchodził sceptycznie do moich umiejętności, owszem, ale pod tym względem należał do większości ludzi, z którymi miałam styczność.

Po pewnym czasie, spocona jak mysz, zwolniłam tempo. Szłam jeszcze dziesięć minut, po czym osuszyłam twarz ręcznikiem i wróciłam do pokoju. Zaczynałam nienawidzić hoteli. Nie podejrzewałam siebie o domatorstwo, ale naprawdę brakowało mi domu, prawdziwego domu. Pragnęłam kapy nieuszytej z poliestru i prześcieradła, na którym nie spałby nikt inny. Marzyła mi się komoda z poukładanymi ubraniami zamiast torby, z której musiałam wylawiać każdą część garderoby. Chciałam biblioteczki, a nie tekturowego pudła z książkami. Co prawda w naszym mieszkaniu było to wszystko, jednak nawet ono nie posiadało atmosfery domowej stabilizacji. Było po prostu jeszcze jednym wynajmowanym lokalem, choć oczywiście miłszym niż pokoje hotelowe.

Stojąc w windzie, zepchnęłam te myśli w najdalszy kąt umysłu. Położyłam na beczce pokrywę i docisnęłam ją ciężkim głazem. Wymagało to wysiłku wyobraźni, ale chciałam zyskać pewność, że myśli te nie rozproszą mnie w owej makabrycznej sytuacji, kiedy znaleźliśmy się na czyimś celowniku. Teraz, gdy Tolliver został częściowo wykluczony z gry, musiałam być podwójnie silna.

Przed drzwiami stał Rudy Flemmons, unosząc właśnie rękę, aby zapukać.

–Detektywie Flemmons! – zawołałam. – Proszę zaczekać.

Zamarł z pięścią w górze. Od razu wiedziałam, że stało się coś bardzo złego.

Podeszłam, chcąc zajrzeć mu w twarz, a przynajmniej w profil. Nie odwrócił głowy w moją

stronę.

–Och, nie – jęknęłam. – Wejdźmy do środka. – Wyminęłam go, otwierając drzwi. Zapaliłam światło, mając nadzieję, że nie obudzę tym Tollivera, ale dostrzegłam, że w sypialni świeci się lampa. A więc już nie spał. Zapukałam w futrynę.

–Wszystko gra? Mamy gościa.

–Tak wcześnie? – Po tonie poznałam, że miał kiepską noc.

–Kochanie, możesz tu przyjść? – poprosiłam, licząc, że zrozumie wskazówkę.

Zrozumiał. Pół minuty później wszedł do saloniku. Z trudem dowlókl się do kanapy. Naprawdę musiał czuć się źle. Sięgnęłam do lodówki i podałam mu szklankę soku pomarańczowego. Rudy'emu nawet nie zaproponowałam poczęstunku. Zapadł się w fotel, zgarbiony; wyglądał jak kupka nieszczęścia. Nie znałam go na tyle dobrze, by ocenić, czy przytłaczał go lęk, czy rozpacz, ale ani przez chwilę nie wątpiłam, że sytuacja jest krytyczna.

Paskudny początek dnia, mimo to Tolliver rozluźnił się, opierając wygodniej na sofie.

–Co się stało? – zagaił.

–Myślę, że Victoria nie żyje – wyrzucił z siebie Flemmons. – Jej samochód znaleziono dzisiaj przy cmentarzu w Garland. Torebka była w środku.

–Ale nie znaleźliście jej ciała? – upewniłam się.

–Nie. Pomyślałem, że może pani pojedzie ze mną rzucić okiem.

Smutne. I nieco niezręczne zawodowo. W obliczu jego rozpaczki oraz faktu, że Victoria była naszą przyjaciółką, nawet nie pomyślałam o pieniądzach. Myślałam za to o reakcji innych policjantów, którzy na mój widok mogliby uznać, że niepokój Rudy'ego przybrał ekstremalną formę.

Jednak w tych okolicznościach nie miałam wyjścia.

–Proszę mi dać dziesięć minut – powiedziałam.

Wskoczyłam pod prysznic, umyłam zęby i ubrałam się. Założyłam też wygodne buty – nie żadne kozaczki na szpilkach, tylko nieprzemakalne trapery. Ostatnio pogoda kaprysiła, co chwilę padało. Nie chciałam dać się zaskoczyć. Nie zdążyłam rano wysłuchać prognozy ani sprawdzić jej w gazecie, ale zauważyłam ciepłą kurtkę detektywa i postąpiłam za jego przykładem, wyciągając swoją.

Udział Tollivera w wycieczce nie wchodził w grę. Fakt ten dotarł do mnie, kiedy stałam już gotowa do wyjścia. Deszczowa pogoda, cmentarz, niezbyt idealne warunki dla rekonwalescenta

po postrzale.

–Wróć jak najszybciej się da – zapewniłam go, czując przemożny niepokój. – Nic nie rób. To znaczy, wracaj do łóżka i oglądaj telewizję. W razie czego zadzwonię, dobrze?

Tolliver przejął się perspektywą, że tym razem będę pracowała bez niego.

–W kieszeni kurtki mam cukierki, weź je – poinstruował mnie. – Nie rób niczego, co mogłoby ci zaszkodzić – dodał surowo.

–Nie martw się – uspokoiłam go. – Jestem gotowa – zwróciłam się do Flemmonsa, choć stwierdzenie to było dalekie od prawdy.

W czasie drogi mżyło. Wlekąc się w porannych korkach, milczeliśmy. Rudy odezwał się tylko raz, informując kogoś przez radio, że już jedziemy. Przerwał milczenie dopiero wtedy, gdy parkowaliśmy wśród długiego szeregu samochodów stojących na drodze przy cmentarzu. Nekropolia należała do tych nowoczesnych, na których nie wolno było stawiać pionowych nagrobków. Natychmiast zalała mnie fala wibracji pochodzących od zmarłych. Były bardzo intensywne, bo i miejsce pochówku nowe. Najstarszy pogrzeb mógł się tu odbyć najwyżej dwadzieścia lat temu.

–Wiem, że robi to pani odpłatnie – rzekł.

–Nie ma sprawy, proszę o tym zapomnieć – powiedziałam, wychodząc z samochodu. Nie wyobrażałam sobie rozmów o pieniądzach teraz, gdy za moment będę szukała ukochanej tego pogrążonego w żalu człowieka.

W zasadzie szukanie osoby znanej powinno być łatwiejsze, ale nic bardziej mylnego. Wprost przeciwnie. Inaczej już dawno znalazłabym moją siostrę. Zmarli domagali się uwagi z jednakową intensywnością, a jeśli Victoria gdzieś tu była, dla mnie stanowiła tylko jeden z wielu głosów chóru. Ciężko było przechodzić obok grobów, z których dobiegało mnie wołanie, a jeszcze ciężiej było mi ze względu na brak Tollivera. Tym razem nie miałam żadnego oparcia.

Bądź rozsądna, powiedziałam sobie w duchu, podchodząc do porzuconego samochodu na tyle blisko, na ile było to możliwe. Jeden z techników badał ślady opon, ale bez wielkiego zaangażowania, co wskazywało, że większość pracy śledczej już zakończono. Po całym terenie cmentarza kręcili się policjanci. Umiejscowiona na zboczu nekropolia, zgodnie z nowoczesnymi wzorcami tego rodzaju architektury, podzielona została na rejony, które wyznaczały stojące pośrodku wysokie statuy, na przykład aniołów lub krzyży, ułatwiające odwiedzającym odnalezienie odpowiedniej mogiły. Nie wiem, czy groby umieszczano promieniście od pomników, czy też były w kwaterach rozplanowane w jakiś inny sposób. Cmentarz wyglądał raczej na zapelniony. Znajdowały się tu jedynie zwykle mogiły ziemne. Poza tym w oddali dostrzegłam szopę ogrodniczą, a w centrum wznosiła się kaplica, spora, marmurowa konstrukcja, w której znajdowało się zapewne mauzoleum bądź kolumbarium. Mimo prowadzonych poszukiwań Victorii w pewnej odległości od nas odbywał się pogrzeb.

Szczerze licząc, że nikt mnie nie zauważy, zamknęłam oczy, otwierając się na odbiór. Tak wiele sygnałów, spośród których trzeba wyluskać ten jeden, tak wiele głosów do rozpoznania. Zadrżałam, ale wytrwałam.

Najświeższe. Najświeższe. Potrzebowałam najnowszych. To znaczy zmarłych wczoraj, może nawet dzisiaj, kilka godzin wcześniej. O tam, na wprost ode mnie. Otworzyłam oczy i ruszyłam w stronę grobu zasypanego pogrzebowym kwieciami. Ponownie przymknęłam powieki, po czym sięgnęłam w głąb.

–Nie – mruknęłam. – To nie ona. – Nie zaskoczyła mnie obecność stojącego tuż przy mnie detektywa. – To Brandon Barstow, ofiara wypadku samochodowego – zwróciłam się do niego, po czym ponownie skoncentrowałam na wibracjach. Poczułam, że coś ciągnie mnie w stronę szopy. Bardzo świeży sygnał.

–Tam – wskazałam kierunek i ruszyłam przed siebie. Patrzyłam pod nogi, bo podczas podążania za tropem stopy niosły mnie praktycznie same. Rudy Flemmons deptał mi po piętach, spięty, że nie wie, w jaki sposób mi pomóc. To nic, dawałam radę sama.

Trawa była mokra, a warstwa opadłych igieł sosnowych potęgowała śliskość podłoża. Teraz wiedziałam już, dokąd zmierzam, z całą pewnością.

–Tu już sprawdzaliśmy – powiedział detektyw.

–Ale tu ktoś jest – upierałam się. Domyśliłam się już, jaki poboczny cel miały te poszukiwania. – Powiedzą, że jakimś cudem o tym wiedziałam – mruknęłam – i będą chcieli mnie tu zatrzymać.

Ciało nie znajdowało się w szopie ani też obok. Teren za budyneczkiem tworzył stromy spadek, u którego stóp znajdował się rów odwadniający. Miejsce odpływu przykrywała rzadka trawa. Victoria znajdowała się w odpływie. Jej ciało wepchnięto na tyle głęboko, że nie było widoczne. Mogłam powiedzieć nie tylko to, że tam jest, ale także, że została postrzelona i wykrwawiła się na śmierć.

Rudy spojrział w dół nieprzekonany, więc wskazałam wylot odpływu. Nie musiałam nic mówić. Detektyw zsunął się do rowu i przyklęknął, zaglądając do przepustu.

A potem krzyknął:

–Tutaj! Tutaj!

Naraz wszyscy rozproszeni po terenie cmentarza stróże prawa, łącznie z technikiem od opon, rzucili się ku nam. Rudy chyba myślał, że Victoria może jeszcze żyje, ale łudził się albo podświadomie wypierał prawdę. Nie potrafiłam odnajdywać żywych.

Cofnęłam się, kierując kroki w stronę porzuconego samochodu Victorii. Bagażnik stał otworem. Zagapiłam się do wnętrza, starając robić wrażenie niezainteresowanej. W środku leżały teczki, niektóre luzem, inne spięte gumkami w pakiety. Jedna z wiązek była opatrzona etykietą „Lizzy Joyce”. Nim zastanowiłam się, co robię, schwyciłam plik i wrzuciłam go do samochodu Rudy'ego. Pocieszyłam się, że w bagażniku zostało jeszcze wiele dokumentów, a w ten sposób będzie nam łatwiej ustalić, kto na nas poluje.

Później doszłam do wniosku, że postąpiłam głupio, nieprzemyślenie. Trzeba było zostawić wyjaśnienie tej sprawy policji. Ale w tamtej chwili wydało mi się to sensownym taktycznym posunięciem, ba, nawet przebiegłym. Tylko to mogę rzec na swoją obronę. Jedna z osób opisana w dokumentach strzelała do nas, a ja zamierzałam się dowiedzieć, kto jest najbardziej podejrzany.

Wsiadłam do samochodu Rudy'ego. Na tylnym siedzeniu leżała jego kurtka. Wzięłam ją i okryłam się, jakby było mi zimno, co zresztą nie mijало się z prawdą. Kilka minut później podszedł do mnie umundurowany policjant, oświadczając, że dostał polecenie odwiezienia mnie do hotelu. Zdolałam niepostrzeżenie włożyć kurtkę i zapiąć ją, przytrzymując teczki pod spodem. Posłusznie wysiadłam i poszłam do radiwozu.

Mundurowy, ogolony na zero trzydziestolatek, miał ponurą minę, co nie zaskakiwało, zważywszy na okoliczności. Przez całą drogę odezwał się do mnie tylko raz.

–Znaleźliśmy ją podczas naszych poszukiwań – rzekł z naciskiem, dorzucając spojrzenie, które w założeniu miało mnie śmiertelnie przerazić. Nie miałam problemu z szybkim przytaknięciem. Naprawdę musiałam wyglądać na zastraszoną, bo resztę podróży milczał.

Podtrzymując teczki, niezgrabnie wydostałam się z radiwozu. Policjant pewnie zastanawiał się, czy jestem w jakimś stopniu niesprawna fizycznie, ale nie złagodziło to jego groźnej miny. Obejmując się ramionami, ruszyłam do wejścia hotelowego, błogosławiąc w duchu rozsuwane drzwi na fotokomórkę, dzięki którym nie musiałam operować rękoma. Ze zdobyczą w ramionach bez przeszkód dotarłam do windy.

Zdrętwiałymi z zimna rękoma wydobyłam kartę. Manipulacje przy czytniku zajęły mi chwilę, ale wreszcie drzwi ustąpiły. Z ulgą wpadłam do pokoju.

–Co się stało? – zawołał Tolliver zaniepokojony, więc natychmiast ruszyłam do sypialni. W czasie mojej nieobecności musiała przyjść pokojówka, bo łóżko było świeżo zasłane. Tolliver leżał na pościeli w czystej piżamie, przykryty kocem wydobytym ze schowka. Rozsunięte zasłony wpuszczały do sypialni szare światło ponurego dnia. Rozpadało się, kiedy jechałam windą. Deszcz mógł utrudnić śledztwo na cmentarzu. Ciężkie krople spływały po szybie. Podeszłam do łóżka i pochyliłam się nad nim, podciągając skraj kurtki Rudy'ego. Teczki wylądowały na materacu z suchym łoskotem.

–Coś ty nawyprawiała? – zapytał Tolliver, ale raczej z żywym zainteresowaniem niż

karcąco. Wyłączywszy telewizor, sięgnął po plik, ale byłam szybsza. Zdjęłam gumkę, odkładając ją na bok, i wręczyłam mu pierwszą teczkę, tę z imieniem Lizzy.

–A więc znalazłaś ją – powiedział. – Cholera, tak kochała tę swoją małą. Robi się coraz gorzej. Długo jej szukałaś?

–Może z dziesięć minut. Odwiózł mnie mundurowy.

–Ukradłaś te dokumenty?

–Tak, z bagażnika jej samochodu. – Jakie są szanse, że przyjdą tu po nie?

–Nie wiem, jak dokładnie się przyjrżeli, nim popędzili sprawdzać, czy da się uratować Victorię. Niewykluczone, że porobili zdjęcia. – Wzruszyłam ramionami. I tak nie mogłam już tego odkręcić.

–Czego szukamy?

–Osoby, która jest naszym najbardziej prawdopodobnym prześladowcą.

–W takim razie zabieramy się do roboty. Zzulałam mokre, ubłocone buty, wdrapałam się do niego na łóżko i wzięłam do ręki teczkę Katie.

Godzinę później zrobiłam przerwę i zadzwoniłam po obsługę. Nie zdążyliśmy zjeść śniadania, a dochodziła już jedenasta.

Dowiedzieliśmy się masy rzeczy.

–Była naprawdę niezła. – Nie doceniałam Victorii, ale teraz miała moje pełne uznanie. Niesamowite, ile informacji zebrała w tak krótkim czasie. Przepytala też wiele osób.

Tolliver z wdzięcznością przyjął filiżankę kawy oraz buleczkę z otrębami, którą w drodze wyjątku posmarowałam masłem. Przełknął kęs, popił kawą i zrobił rozanieloną minę.

–Umm, niebo w gębie po tym szpitalnym żarciu – podsumował. – Ta Lizzy to wyjątkowo barwna postać, nawet barwniejsza, niż wydała mi się na cmentarzu. Kilkakrotna mistrzyni slalomu beczkowego, ma też sporo tytułów w innych konkurencjach rodeo. Jako nastolatka była stanową miss rodeo, liceum skończyła z wyróżnieniem, a Baylor z trzydziestą lokatą na roku.

Nie miałam pojęcia, ilu studentów rocznie kończy ten uniwersytet, ale i tak zrobiło to mnie wrażenie.

–Tak z ciekawości, jaki kierunek studiowała?

–Zarządzanie. Ojciec przygotowywał ją z awansu do przejęcia interesu. Ranczo to tylko część majątku Joyce'ów, dorobili się podczas boomu na ropę i większość z tego poinwestowali,

sporo za granicą. Mają całą armię księgowych, którzy zajmują się finansami holdingu Joyce'ów. Victoria mówiła, że każdy jeden patrzy drugiemu na ręce, więc nie robią przekrętów, a jeśli już, to nie może im to ujsć na sucho. Joyce'owie mają też pakiet udziałów w firmie prawniczej założonej przez wuja.

–To co robią?

Zdumiewające, ale Tolliver zrozumiał pytanie.

–Robią spore darowizny na badania onkologiczne, żona Richa zmarła na raka. Poza tym utrzymują ośrodek dla niepełnosprawnych dzieci. To ich główna działalność charytatywna. Placówka działa przez pięć miesięcy w roku, w tym czasie Joyce'owie opłacają kadre, choć korzystają też z zewnętrznych donacji. Głównym ranczem zarządza Chip Moseley. To ich główna siedziba w czasie, gdy nie pomieszkują w apartamencie w Dallas lub drugim, w Houston. Teczki Chipa jeszcze nie czytałem.

–Dobra, teraz ja. Kate, nazywana zdrobniale Katie, nie dorównuje siostrze inteligencją. Wyleciała z Uniwersytetu Teksasńskiego, gdzie studiowała głównie imprezowanie. Jako nastolatka dorobiła się kartoteki: drobne wykroczenia, jazda pod wpływem, wandalizm. Roztrzaskała szybę w samochodzie chłopaka, kiedy zerwali. Później spoważniała. Zajmuje się małym ranczem, tym ośrodkiem dla dzieci, organizuje akcje charytatywne na jego rzecz, poza tym robi zakupy. A, i swego czasu pracowała jako wolontariuszka w zoo.

Nudy.

Ciekawszą personą okazał się natomiast Chip Moseley. Zaczynał jako szeregowy pracownik. Po śmierci rodziców wychowywał się w domu zastępczym, na niewielkim ranczu. Tam nauczył się jeździć konno i zyskał sławę na rodeo. Zaraz po szkole zatrudnił się u Joyce'ów. Miał za sobą nieudane małżeństwo, po którego zakończeniu zszedł się z Lizzy. Do wszystkiego doszedł sam. Uczęszczał na kursy wieczorowe i teraz zarządza hodowlą bydła. Spotykał się z Lizzy od sześciu lat. Poza niewielkim wykroczeniem w młodości był czysty. Aresztowano go podczas burdy w jakiejś spelunie w Texarkanie. Ku swemu zaskoczeniu znalazłem nazwę baru. Matka i ojczym bywali tam od czasu do czasu.

Zmęczona czytaniem, padłam na poduszkę. Tolliver streścił mi zawartość akt Dreksa, choć właściwie niczym mnie nie zaskoczył. Wystarczyło jedno krótkie spotkanie, żeby wyrobić sobie pogląd na młodego Joyce'a. Jedyne męski spadkobierca fortuny był jednym wielkim rozczarowaniem. Jeszcze w liceum zaliczył wpadkę ze swoją dziewczyną. Uciekli, wzięli ślub, a niedługo potem rozwód. Drexłożył na utrzymanie swojej bylej i dziecka. Po osiągnięciu pełnoletności zaciągnął się do marines. (I co ty na to, tatuśku?!) Pod sam koniec służby zasadniczej dorobił się wrzodów żołądka. Albo miał je wcześniej, tylko jego stan się pogorszył. W każdym razie armię opuścił honorowo i od tego czasu kręcił się bez konkretnego celu, robiąc to i owo na ranczu ojca. Niekiedy pomagał też w ośrodku dla dzieci, a przez parę lat pracował w biurze jednego z partnerów biznesowych ojca. Akta nie zawierały szczegółów co do zakresu

jego obowiązków.

–Pewnie robił niewiele i kiepsko – podsumował Tolliver. – Raczej nigdzie nie studiował.

–Żal mi go. – Ziewnęłam. – Ciekawe, ile lat ma matka Victorii. Myślisz, że da radę sama wychować dziecko? I kto jest ojcem? Victoria wspominała ci coś na ten temat?

–Zastanawiałem się, czy nie mój ojciec. Tolliver zastrzelił mnie tak, że aż zamarłam w połowie kolejnego ziewnięcia.

–Mówisz poważnie. Naprawdę.

–Uhm... Po zniknięciu Cameron Victoria kręciła się przy nas. Ale policzyłem i czas się nie zgadzał. Chyba był już w więzieniu, kiedy doszło do poczęcia. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego kobiety traciły dla niego głowę.

–Ja na pewno nie – stwierdziłam śmiertelnie poważnie.

–Na szczęście dla mnie. Wolisz wyższych, szczuplejszych mężczyzn, prawda?

–Uhhh, koniecznie brunetów i najlepiej wieczorową porą. – Roześmiałam się, przysuwając do Tollivera. Przez chwilę leżeliśmy w milczeniu, obserwując rozbijające się na szybie krople deszczu. Niebo postanowiło pójść na całego. Współczułam członkom ekipy śledczej, którzy jeszcze pracowali na cmentarzu. Uznałam też, że policja powinna mi być wdzięczna, że odnalazłam Victorię, zanim zaczęła się ulewa. Przynajmniej zdążyli spokojnie wyjąć ciało z przepustu. Myślałam też o Joyce'ach, dzieciakach, które dorosły, by stać się typowymi bogaczami. Co prawda robili wiele dobrych rzeczy, lecz mnie w tej chwili interesowały te złe. Ciekawe, że żadne z nich nie znalazło szczęścia w małżeństwie. A przecież wszyscy byli w odpowiednim wieku. W sumie jednemu mogło się nawet udać. Już miałam mentalnie pokiwać głową nad truizmem, że pieniądze szczęścia nie dają, ale przypomniałam sobie, że przecież Mark, Tolliver, Cameron i ja też nie byliśmy członkami żadnych podstawowych komórek społecznych. Cameron zapadła się pod ziemię, Mark nigdy nie związał się z żadną dziewczyną na dłużej, a Tolliver i ja...

–Naprawdę chcesz wziąć ślub? – zapytałam.

–Jak najbardziej – odrzekł bez namysłu. – Możemy to zrobić nawet jutro, jeśli chcesz. Bo nie masz żadnych wątpliwości, prawda? I nie martwisz się, że będziemy w zasadzie sami?

–Nie. Wiesz, jesteś chyba jakimś wyjątkiem. Bo z tego, co czyta się w pismach, zwykle niespieszno wam do ożenku.

–Ty też nie wpisujesz się w stereotyp kobiety z artykułów w męskich pismach. I uwierz, to komplement.

–Dobrze się znamy, chyba też swoje najgorsze strony. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Mam nadzieję, że to nie zabrzmiało tak, jakbym miała zamiar uwiesić się u twego ramienia? Postaram się być trochę bardziej samodzielna.

–Jesteś samodzielna. Każdego dnia podejmujesz sama wiele decyzji. Po prostu łatwiej przychodzi mi ogarnianie praktycznych spraw. Ale ty jesteś najlepsza w tym, co robisz. A po zakończeniu zlecenia znów mogę działać.

–Nie wyglądało mi to na sprawiedliwy podział.

–A gdzie Manfred? – zapytał Tolliver, jakby nagle coś go tknęło.

–Rany, nie mam pojęcia. Kazał mi dzwonić w razie potrzeby. Nie mówił, gdzie się udaje ani co będzie robił, kiedy tam dotrze.

–Zadurzył się w tobie po uszy, wiesz?

–Wiem.

–I co? Gdybym zniknął, zastąpiłabyś mnie Kolczykowym Rycerzykiem?

Zapytał żartem, ale oczekiwał odpowiedzi. Nie byłam taka głupia, żeby naprawdę rozważyć opcje i odpowiadać serio.

–Żartujesz? To jakby przerzucać się na hamburgery po zjedzeniu prawdziwego steku. – W duchu przyznałam się przed sobą, że czasami nachodziła mnie ochota na hamburgera, a nie wątpiłam, że i Tolliver łakomym okiem będzie spoglądał na inne kobiety. Jednak dopóki będą to tylko uczty dla oczu, to i ja poprzestaną na stałym menu. Przecież to jego kochałam naprawdę.

–No, to który kandydat z tych teczek wysuwa się według ciebie na pierwsze miejsce w rankingu prawdopodobnych strzelców? – zapytał Tolliver weselej.

–Każde z nich mogło to zrobić. Wiem, to straszne tak myśleć o ludziach. Ale założę się, że żadnemu z nich nie podoba się perspektywa utraty choćby części majątku. Nawet Chipowi. Na pewno liczy, że jego wieloletni związek zakończy się wreszcie na ślubnym kobiercu. A nie byłby człowiekiem, nie biorąc pod uwagę wiążących się z tym pieniędzy. On nawet bardziej niż jakiś inny partner któregoś z rodzeństwa jest świadom rozległości ziem, bo przecież zarządza ranczem. Na pewno ma też do czynienia z różnymi papierami dotyczącymi innych interesów Joyce'ów.

–W to nie wątpię. Ale raczej wykluczyłbym Lizzy, bo przecież to ona cię zatrudniła. Musiała brać pod uwagę, że twoje umiejętności mogą okazać się autentyczne, więc gdyby to ona była zabójcą, nie ryzykowałaby. A przecież śmierć dziadka, cóż, może nie było to typowe morderstwo, ale wąż stał się przyczyną ataku serca, a węże nie latają w powietrzu tak same z siebie. Ktoś musiał rzucić gada, licząc, że ugryzie staruszka i koniec pieśni, ale sprawy przyjęły

inny obrót, w tym wypadku nawet lepszy dla zabójcy. Później wystarczyło tylko nie dopuścić Richa do komórki i poczekać. Zadanie wykonane.

–To potworne. Człowiek, który zrobił coś takiego, musi być naprawdę bezwzględny.

–Jak myślisz, kto był celem strzelca, ty czy ja? Wiem, że trudno to ustalić, ale to ciekawa kwestia.

–Szczególnie dla ciebie.

Roześmiał się cicho. Tak tęskniłam za tym dźwiękiem.

Już otwierałam usta, żeby coś powiedzieć, ale przeszkodziło mi pukanie. Westchnęliśmy równocześnie.

–Mam dość tych wszystkich pukaczy i posłańców ze złymi wiadomościami. – Skrzywiłam się. – Siedząc w hotelu, jesteśmy jak nieruchome cele. – W zasadzie sytuacja nie byłaby lepsza, gdybyśmy siedzieli w swoim mieszkaniu, ale chyba jednak inna.

Spojrzawszy przez wizjer, z zaskoczeniem zobaczyłam Manfreda. Fakt, że przed momentem o nim rozmawialiśmy, sprawił, że otworzyłam mu nieco zażenowana. Manfred obrzucił mnie baczny spojrzeniem, które potwierdzało moje obawy – wiedział, że o nim myślałam.

–Jak tam kaleka? – zapytał, a na widok wychodzącego z sypialni Tollivera dodał: – Cze, brachu! Jak wrażenia po postrzale?

–Przereklamowane.

Usiedliśmy. zaproponowałam Manfredowi do wyboru colę i wodę. Wybrał colę.

–Słyszałem o tej detektyw – zagaił Manfred. – Pracowała przy śledztwie w sprawie Cameron, tak?

Zaskoczyło mnie, że o tym wiedział. Nie przypominałam sobie, bym kiedykolwiek mówiła mu o tamtej sprawie.

–Owszem, to ona. Skąd wiesz?

–Mówili w wiadomościach. Przy okazji tej jej książki. Nie wiedziałaś? – ciągnął, gdy popatrzyłam na niego pytająco. – Flores pisała książkę. Nie wspominała wam?

–Nie – odparłam. Tolliver milczał.

–No. Zatyłowała ją „Prywatne śledztwa w Stanie Samotnej Gwiazdy”. Miała już wydawcę.

–Na poważnie? – Byłam ogłuszona.

–Na poważnie. To sprawa Cameron między innymi skłoniła ją do odejścia z policji i założenia prywatnej agencji. A poszukiwania Cameron są jednym z głównych tematów książki.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć, jak zareagować. Nie istniał powód, dla którego mogłabym czuć się zdradzona, ale tak właśnie było. Odrzucała mnie myśl o tym, że każdy, kto wyda kilka dolarów na książkę, będzie miał dostęp do najtragiczniejszych wydarzeń w moim życiu.

–Powiedziała ci o tym wczoraj? – zwróciłam się do Tollivera.

Przytaknął.

–Właśnie miałem ci powiedzieć, kiedy przyszedł Flemmons.

–Miałeś sporo okazji od tamtej pory. Zawahał się.

–Nie wiedziałem, jak to przyjmiesz.

–Żałuję, że nie ukradłam maszynopisu, zamiast tych teczek – rzekłam, a Manfred łypnął na mnie ciekawie.

–Ukradłaś jakieś dokumenty? Policja wie, że je masz? Co to za papiery?

–Zabrałam je z jej bagażnika, a policja pewnie przerobi mnie na mielonkę, jak się o tym dowie. To akta Joyce'ów.

–A Mariah Parish też jest?

–Nie – zaprzeczył Tolliver. – A powinna?

–W zasadzie nie – odrzekł Manfred. – Bo jej teczka jest tu. – Z typowym bernardowskim melodramatyzmem rozpiął kurtkę i wyciągnął spod niej teczkę.

Schowal ją dokładnie tak jak ja swoje – z tym że on miał tylko jedną.

–Skąd ty to wytrzasnęłaś? – zdumiał się Tolliver, siadając prosto.

Patrzył na Manfreda, jakby ten wyjął właśnie z za pazuchy niemowlę, z mieszaniną zgrozy i podziwu.

–Wczoraj, bardzo późno wieczorem, przechodziłem obok jej biura. Akurat drzwi były otwarte – zaczął Manfred. – Mój szósty zmysł kazał mi z nią pilnie pogadać. Ale było za późno. Choć pewnie jeszcze przed tym, jak zgłoszono jej zaginięcie. Wszedłem do środka i zapytałem duchów, czy znajduje się tam coś, na co powinienem zwrócić uwagę, coś istotnego dla... kogoś znajomego.

Teraz już oboje gapiliśmy się na niego, i to nie z powodu wspomnianych „duchów”.

–Ktoś przegrzebał biuro Victorii? – upewniłam się.

–Uhm. Nawet bardzo dokładnie. Ale niewystarczająco – zawiesił głos dla zbudowania napięcia. – Poczulem, że coś ciągnie mnie na jej kanapę. – Cały efekt zepsuło parsknięcie Tollivera. – No co? To prawda – obruszył się Manfred. Przez moment wyglądał bardzo młodziutko. – Ktoś przewracał poduszki na kanapie. Ale to była rozkładana sofa, taka, na jakiej spałem u babci. Rozsunąłem ją więc, a między siedzeniem i oparciem tkwiła ta teczka. Zupełnie, jakby ktoś nagle zapukał do drzwi, ona ją tam wepchnęła.

–A ty nie miałaś oporów, żeby ją zwinąć – głos Tollivera był suchy jak przypalony tost.

–Nie – rozpromienił się Manfred. Jego uśmiech był jedyną promienną rzeczą tego dnia.

–Okradliśmy nieboszczkę – stwierdziłam, uderzona naraz sensem naszych uczynków. – Ukrywamy ślady przed policją.

–Staramy się tylko ocalić ci życie – sprostował Manfred.

Tolliver obrzucił go ostrym spojrzeniem, ale wbrew moim obawom nie rzucił żadnego komentarza.

–Teraz najważniejsze pytanie brzmi: kto wtedy ją odwiedził – powiedział rzeczowo. – Masz jakiś pomysł, Manfred?

Jasnowidz spuchł z dumy.

–Tak się składa, że owszem, może mam. Zabrałem też z jej biurka pilniczek. To osobisty przedmiot i są na nim jej tkanki. Użyję go do odczytu i zobaczymy, co uzyskam. Może pomoże, a może nie. To trudno przewidzieć. Dlatego właśnie większość w naszym biznesie musi czasem nadrabiać wyobraźnią.

Wiedzieliśmy o tym. Większość jasnowidzów i wróżbitów była oszustami, łącznie z tymi, którzy posiadali prawdziwy dar. Jeśli utrzymywali się tylko z tego, to siedząc w swoich kanciapkach, przy braku wizji mówili pannom Sentymentalskim, że ich Puszki i Mruczki miauczą anielsko w raju.

–Potrzebujesz czegoś specjalnego? – zapytałam. Osoby z darem miały swoje własne metody.

–Nieszczególnie. Tylko względnej ciszy. Zamknijcie oczy, póki tam nie dotrę.

To było proste. Kiedy zamknęliśmy oczy, Tolliver wziął mnie za rękę. Zbyt łatwo było odpłynąć, myśląc o tym, gdzie Manfred przebywał – w strumieniu odmienności, w stanie pomiędzy snem a jawą, na granicy tego i tamtego świata. To miejsce odwiedzałam, sięgając

zmysłem pod ziemię, patrząc na kości, i tam też udał się teraz Manfred. Nietrudno tam wejść, ale z wyjściem czasami jest problem.

W pokoju panowała cisza mącona jedynie szumem ciepłego powietrza wydobywającego się z systemu ogrzewania. Po kilku minutach doszłam do wniosku, że mogę już otworzyć oczy. Manfred siedział z odchyloną głową. Był tak odprężony, że zdawał się bezwładny. Nigdy nie widziałam Manfreda w akcji. Było to zarazem intrygujące i niesamowite doświadczenie.

–Martwię się – rzekł Manfred nagle. Już miałam zapytać, czy wszystko w porządku, kiedy zorientowałam się, że chłopak nie mówi do nas. Przekazywał emocje Victorii. – Siedzę przy komputerze. W krótkim czasie zebrałam wiele informacji, które dały mi punkt zaczepienia. W głowie kłębią mi się myśli. Skoro Mariah zmarła z przyczyn naturalnych, a tak twierdzi Harper, istnieją spore szanse, że dziecko przeżyło. Kto mógł je zabrać? I gdzie umieścić? Podrzucił gdzieś? Obdzwonię wszystkie sierocińce w Dallas, Texarkanie i okolicy. Zapytam o niezidentyfikowane niemowlęta pozostawiane niedługo po śmierci Mariah. Może nawet uda mi się skontaktować z paroma już dzisiaj.

Ho, ho, Victoria naprawdę była niezłym detektywem.

–Jest coś jeszcze. – Manfred poruszył niespokojnie głową. – Rozmawiałam ze wszystkimi Joyce'ami i z Chipem. Zrobiłam listę pracowników zatrudnionych w tym czasie co Mariah. Ale nie wiem, gdzie to zaprowadzi. Dzisiaj już nic nie zrobię. Ktoś mnie śledził, kiedy wracałam do biura. Rudy? – Manfred uniósł rękę, jakby rozmawiał przez telefon. – Dawno nie rozmawialiśmy, wolalabym nie zaczynać od zostawiania wiadomości na sekretarce. Ale chyba ktoś mnie śledzi. A skoro ma się przyjaciół wśród gliniarzy, należy do nich zadzwonić, jeśli zdarza się coś takiego. Zaraz jadę do mamy po Mari Carmen, nie chciałabym kogoś tam doprowadzić. Na razie... Posiedzę jeszcze z dziesięć minut. Zadzwonię w kilka miejsc. – Manfred mówił, co myślała Victoria, mówił to w pierwszej osobie, ale niektóre wypowiedzi brzmiały tak, jakby był w jej ciele.

Teraz poruszał rękoma. Coś robił, ale nie zdołałam wyczytać z gestów, co to było. Popatrzyłam pytająco na Tollivera, który wskazał na teczki leżące na stoliku. Po chwili olśniło mnie. Victoria segregowała papiery, wkładała je do odpowiednich teczek i układała na kupce. Później wyjęła z szuflady recepturkę i spięła nią stosik.

–Zanieść do bagażnika – szept. – Wrócić, podzwonić.

Drobne poruszenia ramion i nóg Manfreda wskazywały, że Victora wychodzi, wrzuca dokumenty do bagażnika, zatrząskuje klapę i wraca do biura.

Dziwacznie to wyglądało. Pouczające doświadczenie, nie przeczę, lecz dziwaczne.

–Ktoś tu idzie – mruknęła Victoria/Manfred. – Hm.

Teraz lepiej rozumiałam nerwowe reakcje ludzi, którzy obserwowali mnie podczas

nawiązywania kontaktu z tamtym światem, tym niewidzialnym, do którego dostęp był tak trudny dla większości. Czułam napięcie trzymającego mnie za rękę Tollivera.

Kolejne poruszenia Manfreda sugerowały, że to, co robi Victoria, dzieje się w jego mózgu. Szarpnął za coś. Domyśliłam się, że chowa w sofie teczkę Mariah. Potem gwałtownie odwróciła... nie, to Manfred odwrócił głowę, żeby na coś spojrzeć, i oczy jasnowidza rozszerzyły się ze zgrozy.

–Zaraz zginę – szepnął. – Mój Boże, dzisiaj umrę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jeszcze przez kwadrans Manfred towarzyszył Victorii w ostatnich chwilach jej życia.

–Kogo zobaczyła? – zapytał Tolliver, gdy chłopak wyszedł z transu.

–Nie wiem – odparł Manfred. – Nie widziałem go.

–No to faktycznie, wielka pomoc – mruknął Tolliver. Położyłam mu dłoń na ramieniu (tym zdrowym, zaznaczam) i ścisnęłam lekko.

–Przeciwnie, to bardzo przydatne – zaprotestowałam. – Teraz wiemy, co Victoria myślała i że jej zabójstwo ma związek ze sprawą albo przynajmniej ona tak uważała, bo inaczej po co chowałaby tę teczkę? Podejrzewała, że ktoś może przyjść do biura, że ją śledził, dlatego właśnie przeniosła akta Joyce'ów do samochodu. Nie sądziła, że ktoś ją skrzywdzi, ale zadzwoniła do byłego, Rudy'ego Flemmons, po wsparcie. Nie odebrał wiadomości albo odebrał ją ponieważ i pewnie dlatego jest teraz tak załamany.

–No dobrze, wiemy i co z tego? – Tolliver postawił na ośli upór.

–Może coś z tego wyniknie, jak przejrzymy teczkę Mariah.

Manfred wyglądał na zmęczonego, starszego. I bardzo osamotnionego. Zrobiło mi się go żal, ale natychmiast przestrzegłam się w duchu, żeby z tym nie przesadzać. Lekki pociąg fizyczny i żal nie stanowiły wystarczających powodów, by narażać związek z Tolliverem. Nie ulegało wątpliwości, że Manfred powinien sobie kogoś znaleźć.

Naraz zaczęłam się zastanawiać, jaka kobieta byłaby najlepsza dla Manfreda. Równie szybko przyszła mi do głowy odpowiedź: każda prócz mnie.

Ponieważ dochodziła już piąta, zamówiłam coś do jedzenia oraz kawę. Dopiero potem sięgnęłam po teczkę Mariah. Otworzyłam na pierwszej stronie, która zawierała ogólne informacje, przeczytałam ją dokładnie i przekazałam Tolliverowi. W tym czasie Manfred przeglądał informacje na temat Joyce'ów.

–Jak widać, Mariah Parish nie była tym, za kogo się podawała – stwierdziłam ze świadomością, że to czysty eufemizm.

Tolliver potrząsnął głową.

–Gdyby Joyce'owie sprawdzili ją dokładniej, nigdy by jej nie zatrudnili.

Nie chodziło o to, że była oszustką. Owszem, tak jak twierdziła, wychowywała się bez rodziców, a później zajmowała Arthurem Peadenem. I to bardzo dobrze. Krewni Arthura wychwalali ją pod niebiosa za sumienność, z jaką opiekowała się ich bliskim.

Uczyła się informatyki przez Internet, a potem, gdy dostała wolne wieczory, chodziła na zwykłe zajęcia. Skończyła szkołę z dyplomem z ekonomii i zarządzania.

Posiadała własne internetowe konto inwestycyjne i aktywnie z niego korzystała. Na początku straciła trochę pieniędzy, ale ostatnio, nawet w okresach spadków na rynku finansowym, utrzymywała stabilną pozycję. Jako opiekunka czerpała ze swej pracy więcej zysków, niż można sobie to było wyobrazić.

–No, no – rzekł Tolliver z podziwem. – Nauczyła się wszystkich trików giełdowych.

–Pewnie pracodawca rozmawiał o tym w jej obecności, podobnie jak jego rodzina i przyjaciele, a ona to wykorzystywała.

–Opiekunka w dzień, rekin giełdowy nocą – wtrącił Manfred. – Nie można nie podziwiać jej odwagi i determinacji.

–Oraz sprytu. – Zmarszczyłam nos. – Czy to przypadkiem nie podchodzi pod oszustwo?

–Nie wiem – odezwał się Tolliver po chwili. – Myślisz? Przecież nigdy nie twierdziła wprost, że jest prostą, niewykształconą kobietą, której nie stać na lepszą pracę. Tak pozwoliła myśleć pracodawcy, taką rolę przyjęła. W rzeczywistości była bystra i zdecydowana jak najlepiej wykorzystać swoje umiejętności.

–Mądra – podsumował Manfred z aprobatą.

–Dwulicowa i nieszczerą.

–Ach, syndrom kwaśnych winogron – uśmiechnął się Manfred. – Nie wpadłaś na to, żeby wydostać z mózgow swoich nieboszczyków wskazówki finansowe.

–No popatrz, co za szansę przegapiłam – przyznałam z udawaną powagą. – Przy najbliższej okazji pójdę na cmentarz i poszukam jakiegoś finansisty, może ujrząwszy tych kilka ostatnich chwil jego życia, dowiem się, jak zarobić miliony.

–Coś takiego zrobiła Mariah – zauważył Manfred.

Rzeczywiście, w pewnym sensie coś w tym było.

–Ciekawe, czy to zaplanowała, czy po prostu skorzystała z okazji. – Spojrzałam na zdjęcie młodej Mariah ostrzyżonej na krótkiego pazia z grzywką. Ruda, piegowata, brązowooka, z małym, zadartym noskiem. Brakowało jej tylko słomkowego kapelusza, ogrodniczek i koszyka z jajkami. Ale pod tą pospolitą słodyczą kryła się żelazna wola.

–Załóżę się, że zaciągała z wiejska – powiedział Manfred. – Na pewno to robiła.

Sprytniejsza, bystrzejsza, niż to się wydawało na pierwszy rzut oka, Mariah Parish torowała

sobie drogę do szczęścia i bogactwa. I dobrze opiekowała się swoim pracodawcą.

–Nieźle, Marysiu. – Wzniosłam toast filiżanką kawy. Kanapki, które dotarły podczas rozmowy, zajadaliśmy, jakbyśmy głodowali całymi dniami.

–Aż zaszła w ciążę – skwitował Tolliver.

–Pytanie za milion dolarów: kto był ojcem dziecka? – zastanawiałam się.

–Nie kto nim był, a kto myślał, że nim jest – sprostował Manfred.

–A może... – Wskazałam na zdjęcie. – Manfred, myślisz, że udałoby ci się czegoś o niej dowiedzieć?

–Nie bez osobistego przedmiotu. Tym bardziej że nigdy jej nie spotkałem.

–Ojcem mógł być Rich, Drex, a nawet Chip – zastanawiałam się głośno.

–Lub ktokolwiek inny. Ważniejsze, czy któryś z nich miał podstawy do rozważania swego ojcostwa – wtrącił Tolliver.

–A więc zakładamy, że spała z jednym z nich. Jeśli z Richem, tylko pomyślcie, jego dziecko byłoby wygraną na loterii! Owszem, miał zawał, ale doszedł do siebie, był aktywny i miał jasny umysł. Jego potomek dziedziczyłby na równych prawach z innymi, a Lizzy, Katie i Drex byłiby w ten sposób biedniejsi o miliony. – Wzięłam kolejną kanapkę, ugryzłam kęs i strzepnęłam okruchy z bluzki. – Czy Drex był jeszcze żonaty te dziewięć lat temu?

–Nie pamiętam, sprawdzę. – Tolliver przewertował teczkę. – Tak. I Chip także. A więc... – Wyciągnął nogi przed siebie, wspierając stopy o stolik zasłany papierami i naczyniami. – Dlaczego teraz? Dlaczego wypłynęło to właśnie teraz? Mariah i Rich nie żyją od ośmiu lat. Czemu teraz?

–Bo po wydarzeniach w Karolinie Lizzy weszła na stronę Harper – stwierdził Manfred, jakby rozumiało się to samo przez się. – Zawsze chce tego, co najlepsze i na topie. A jeśli Lizzy czegoś chce, zawsze to dostaje. Nie wiemy, jak mocno jej krewni sprzeciwiali się sprowadzeniu Harper tutaj. Nie wiemy, ile razy powtarzali jej, że jest głupia.

–Jeśli to, co widziałem, może być jakimś wskaźnikiem – zaczął Tolliver – to raczej nie przyjmowała spokojnie takiej krytyki. Chciała Harper i miała pieniądze, by uczynić to zlecenie dla nas szczególnie atrakcyjnym. A potem nieświadomie popełniła błąd, pozwalając Harper na odczyt innych grobów, w tym mogiły Mariah. Później pozostało jej tylko albo uwierzyć Harper, albo nie. A ponieważ wydała na to przedsięwzięcie sporą kasę, zdecydowała się uwierzyć. W ten sposób dowiedziała się, że Mariah była w ciąży i jej śmierci można było prawdopodobnie zapobiec, a jeśli nawet nie, to że poród odbył się w takich okolicznościach, iż nie miała warunków, żeby dojść po nim do siebie. Do tego w oficjalnym akcie zgonu jako przyczynę

śmierci wpisano zakażenie krwi, ale nie z prawdziwych przyczyn, więc lekarz musiał brać udział w spisku.

–To możemy sprawdzić – powiedziałam. – Trzeba go znaleźć i wypytać. Czy w teczce jest kopia świadectwa zgonu? – Dopiero teraz zauważyłam, jak bardzo Tolliver jest zmęczony. Dokument odszukał Manfred.

–Doktor Tom Bowden – odczytał.

Zadzwoiłam na informację telefoniczną miasteczka, obok którego leżało ranczo, ale bez rezultatu. W spisach w Texarkanie także nie figurował żaden lekarz o tym nazwisku. Manfred przyniósł z sypialni wielgachną książkę telefoniczną. Otworzył strony firmowe na lekarzach i tryumfalnie obwieścił namierzenie Bowdena.

–Odwiedzimy go jutro – zdecydowałam. – Tolliver jest już zmęczony.

–O rany rzeczywiście – jęknął Manfred z rozbrajającym współczuciem. – Strasznie cię przepraszam, Tolliver. Zupełnie zapomniałem, że jesteś teraz na liście kontuzjowanych.

–Czuję się coraz lepiej – zachmurzył się Tolliver. – Jasne, jasne – zapewnił go szybko Manfred. – Ale póki nie wydobrzejesz, wykorzystamy moją nadwyżkę energetyczną i to ja jutro poszukam tego gabinetu.

–Jesteś co do tego przekonany? – zapytałam. – Może to jednak nie najlepszy pomysł?

–Tylko rzucę okiem. Mam gps – a, więc zrobię z niego użytek. Dzięki za żarełko. – Wychodząc, zabrał na korytarz wózek, ja zaś pomogłam Tolliverowi przenieść się do sypialni. Po raz pierwszy od kilku godzin wziął razem z innymi lekami także te przeciwbólne. Zbesztalam się w duchu, że tak bezmyślnie pozwoliłam mu się przeforsować.

Pomogłam mu się rozebrać i założyć spodnie od piżamy, a kiedy leżał już przykryty, nafaszerowany lekami, włączyłam telewizor i znalazłam „Prawo i porządek”.

Niecałe dziesięć minut później spał.

Mój mózg też gonił resztkami sił. W głowie kłębiły mi się myśli o Joyce'ach, Mariah Parish, biednej Victorii i jej córce. Na to wszystko nakładał się Rudy Flemmons i jego rozpacz. Nie miałam siły już myśleć, nie miałam siły dźwigać brzemienia emocji obcych ludzi. Z ulgą klapnęłam w salonie i włączyłam najgłupszy film, jaki udało mi się znaleźć. Pomalowałam paznokcie u stóp i rąk. Zadzwoiłam do siostr i udało mi się z nimi porozmawiać całe dwadzieścia minut, zanim Iona nie kazała im iść się kąpać. Iona, która przejęła słuchawkę, starała się skierować rozmowę na nasz związek z Tolliverem, ale dzielnie się bronila. Rozłączyłam się, zadowolona z siebie – mile uczucie po ostatnich dniach pełnych nieprzyjemnych wrażeń.

Myśląc o nieprzyjemnych sprawach, zadzwoniłam do szpitala zapytać o stan detektywa Powersa. Dyspozytorka przełączyła mnie do poczekalni. Kiedy odebrał jakiś mężczyzna, poprosiłam do aparatu Beverly Powers.

–Nie może podejść – usłyszałam. – Parker właśnie zmarł.

Mężczyzna, w którego głosie wyraźnie słyszałam łzy, rozłączył się.

Nieważne, ile razy nie powtarzałam sobie, że nie jestem winna śmierci Powersa, wiedziałam, że nie zginąłby, gdyby mnie nie bronił. Nie było żadnego zaklęcia, którego mogłabym użyć, żeby to wszystko wyprostować. Nie było sposobu, żeby zmniejszyć ból, jaki po jego stracie czuli przyjaciele i krewni. Nie potrafiłam wymazać z pamięci jego upadku, krwi oraz siebie, kryjącej się za samochodem. Najbardziej drażniło mnie to, że musiałam kryć się przed człowiekiem, który uczynił coś tak nikczemnego.

Oczywiście przemawiała przeze mnie duma, bo chowanie się przed kimś, kto próbuje cię zabić, jest najsensowniejszą rzeczą pod słońcem.

Czułam potrzebę wpasowania się w pewien obraz, choć być może pochodził on z komiksów czytanych w dzieciństwie bądź powieści o twardych kobietach, które czytywałam teraz. Każda detektyw czy policjantka gotowa była bronić obywateli bez chwili namysłu, wysledzić czarny charakter i zastrzelić. Nieustraszone fikcyjne bohaterki zdobywały się na akty odwagi w walce o bezpieczeństwo ludzkości.

A ja pozwoliłam stanąć w swojej obronie kontuzjowanemu, niezbyt bystremu eks-futboliście i tym samym pozwoliłam mu zginąć.

Wiedział, że to niebezpieczne. Wiedział, że to jego praca. Chciał podjąć to ryzyko, podpowiadał mi rozsądek.

A ja chciałam, żeby to zrobił, musiałam przyznać. Usiłowałam wymyśleć jakiś inny scenariusz mojego działania. Czy gdybym uparła się biegać sama, poszedłby za mną? Możliwe. A gdybym została w hotelu? Tak, wtedy by nie zginął. Ponośliam odpowiedzialność za to, co stało się Parkerowi Powersowi.

Miałam nadzieję, że nie zawiodę ponownie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Spałam tej nocy, aczkolwiek nie najlepiej. Tylko równy oddech Tollivera uspokajał mnie, kiedy rzucałam się i przewracałam w łóżku. Wreszcie, gdy przez ciężkie zasłony przesączyło się pierwsze, szarawe światło świtu, zwlekłam się z pościeli znękana, wykończona jeszcze nim rozpoczął się dzień. Zmusiłam się do wysiłku na bieżni, licząc, że ruch rozbudzi we mnie energię.

Nie udało się.

Założywszy, że Manfred namierzył gabinet Toma Bowdena, postanowiłam odwiedzić lekarza jeszcze dzisiaj rano. Nie przewidywałam trudności z obejściem recepcjonistki, lustro potwierdzało, że wyglądam wystarczająco fatalnie. Co prawda nie umawialiśmy się wczoraj na konkretną godzinę, ale Manfred zapukał do drzwi właśnie, gdy kończyłam się ubierać.

Tolliver obudził się w podłym nastroju. Nastrój ten nie polepszył mu się na widok zdrowego, tryskającego energią Manfreda, który w dodatku złośliwie podkreślił jego aktualną niepełnosprawność, radośnie życząc szybkiego powrotu do formy. Witalność chłopaka w połączeniu z blaskiem bijącym od srebrnych ozdóbek sprawiała, że wyglądał dosłownie jak żywe srebro.

Manfred okazał się porannym gadułą.

Podczas drogi do gabinetu, który namierzył jeszcze wczoraj wieczorem, powiedział mi, że babka uczyniła go jedynym swoim spadkobiercą. Na początku wywołało to zaskoczenie jego matki, jedynej córki Xyldy, ale po pierwszym rozczarowaniu przyznała, że to sprawiedliwe, skoro Manfred przez tyle lat opiekował się babką.

–To Xylda miała...? – zacięłam się, zakłopotana, bo byłam bliska wyrażenia niedowierzania, że Xylda posiadała jakiś majątek.

–Trochę oszczędności i dom – zeznał Manfred. – Miałem szczęście, bo stał w porządnej dzielnicy, a samorząd akurat potrzebował tej działki na rozbudowę sali gimnastycznej w szkole. Zaoferowali mi przyzwoitą cenę. Wspominałem ci już, że podczas porządków znalazłem całą masę dziwnych przedmiotów. Te rzeczy, które chcę zachować, umieściłem w wynajętym magazynie, dopóki nie zarzucę gdzieś kotwicy.

–A więc chcesz pociągnąć interes babki, głównie pracując przez Internet i telefon, tak?

–Taki mam plan. Ale jestem otwarty na propozycje. – Zerknął na mnie z ukosa, poruszając znacząco brwiami.

Roześmiałam się półgębkiem.

–Kompletnie ci odbiło, jeśli przystawiasz się do mnie w tym stanie – wskazałam na siebie.

–Źle spałaś?

–Prawie wcale. Umarł detektyw Powers. Radość z oblicza Manfreda zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

–To okropne, Harper. Przykro mi.

Wzruszyłam ramionami. Nie było o czym mówić. Wszystko co trzeba przemyślałam w nocy, Manfred był na tyle wrażliwy, by się tego domyśleć.

Gabinet doktora Bowdena mieścił się w trzykondygnacyjnym budynku, zimnym kwadratowym biurowcu z cegły i szkła, w którym mogło znajdować się wszystko, od biura księgowych po syndykat zbrodni. Przebiegliśmy w deszczu, dopadając szklanych drzwi w południowej części budowli.

Wchodząc, dostrzegłam krępego, siwego mężczyznę opuszczającego hol innym wyjściem. Szedł, trzymając kurtkę nad głową dla osłony przed deszczem. Kiedy drzwi zasunęły się za nim, pomyślałam, że jego chód jest mi się skądś znajomy. Poobserwowałam go jeszcze chwilę, po czym wzruszyłam ramionami i ruszyłam za Manfredem do tablicy ze spisem firm. Gabinet Bowdena, lekarza ogólnego, jak wynikało z informacji, mieścił się na drugim piętrze.

Skromny lokal w skromnym budynku. W niewielkiej poczekalni za szklaną ścianką znajdowała się recepcja, w której za zabalaganionym kontuarem siedziała kobieta. Wyglądała na rejestratorkę, specjalistkę od ubezpieczeń i recepcjonistkę w jednej osobie. Krótkie włosy miała ufarbowane na rudo i nosiła okulary w czarnych oprawkach o uniesionym ku skroniom kształcie. Może lubiła styl retro.

–Fanka wyrazistego stylu – mruknął Manfred. Miałam nadzieję, że wystarczająco cicho, aby nie dosłyszała.

–Przepraszam bardzo – odezwałam się, kiedy nie podnosiła oczu znad monitora. Musiała wiedzieć, że weszliśmy, bo poza nami w poczekalni był tylko przeraźliwie chudy mężczyzna koło sześćdziesiątki, pochłonięty lekturą pisma militarno- łowieckiego.

–Przepraszam bardzo – powtórzyłam ostrzej, niż zamierzałam.

–Och, proszę wybaczyć – zareagowała wreszcie recepcjonistka i wyciągnęła z ucha słuchawkę. – Nie słyszałam państwa.

–Chciałabym zobaczyć się z doktorem Bowdenem – powiedziałam.

–Była pani umówiona? Ma pani skierowanie?

–Nie – uśmiechnęłam się.

Zaskoczona, spojrzała ponad moim ramieniem na Manfreda, jakby szukała kogoś, kto mógłby wyjaśnić jej fenomen pacjenta usiłującego dostać się do lekarza bez terminu.

–Jesteśmy razem – oświadczył pomocnie mój towarzysz. – Musimy zobaczyć się z lekarzem. To sprawa natury osobistej.

–Nie jest pani przypadkiem jego synową, hm? – Rudzielec obrzucił mnie zgorzonym, pełnym nadziei spojrzeniem.

–Niestety, nie – z przykrością rozwiałam jej nadzieje.

–Nie może państwa przyjąć – oświadczyła konfidencjonalnie. Może kolczyki Manfreda podbiły jej serce, nastawiając do nas przyjaźnie. W końcu była wielbicielką wyrazistych trendów. – Jest bardzo zajęty.

Zerknęłam na jedyne go pacjenta, który aktualnie starał się wyglądać na zupełnie niezainteresowanego naszą konwersacją.

–Dziwne, odnoszę wprost przeciwne wrażenie.

–Ale zapytam go – ciągnęła, jakby mnie nie dosłyszała. – Jak się pani nazywa?

Podalam jej nazwisko i nim zdążyła zapytać, przedstawiłam także Manfreda.

–W jakiej sprawie państwo przyszli? Nie ogarnęłaby szczegółowych wyjaśnień.

–Chodzi o pacjenta sprzed ośmiu lat – odrzekłam. – Chcemy zapytać o pewne kwestie związane z postawioną przez niego diagnozą.

–Przekażę – powiedziała, wstając. – Proszę poczekać na swoją kolej.

Tak też zrobiliśmy. Po wyjściu jedyne go pacjenta, poczekaliśmy jeszcze trochę.

Skośna Okularnica musiała dojść do wniosku, że nie zamierzamy odpuścić, natomiast lekarz zrezygnował chyba z pomysłu wymknięcia się po angielsku. Trwało to ze trzy kwadransy, ale w końcu pojawił się w drzwiach gabinetu. Doktor Bowden miał koło sześćdziesiątki i był prawie łysy. Pozostałości siwych włosów okalały jego czaszkę rzadką aureolą. Wyglądał tak przeciętnie, że trudno byłoby go opisać z pamięci. Należał do tego typu osób, które nawet po kilku spotkaniach nadal pyta się o imię.

–Mam teraz chwilę, więc zapraszam – powiedział i wprowadził nas do małego pomieszczenia pełnego regałów, papierzysk, haftowanych makatek (z hasłami typu „Lekarzu, lecz się sam”) oraz zdjęć jego w towarzystwie niziutkiej kobiety oraz chłopca. Były też fotografie tego samego chłopca, już dorosłego, ślubne.

Medyk zasiadł za biurkiem, starając się zrobić wrażenie osoby niezwykle zajętej, która z dobroci serca jest skłonna poświęcić nam kilka minut.

–Nazywam się Harper Connelly, a to mój przyjaciel, Manfred Bernardo – zaczęłam. – Chcielibyśmy zapytać o akt zgonu, który wystawił pan osiem lat temu po śmierci niejakiej Mariah Parish.

–Ostrzegano mnie, że możecie się zjawić – wypalił doktor, zaskakując mnie kompletnie. – Trudno uwierzyć, że ma pani na tyle tupetu, by tu przychodzić.

–A czemu nie? – powiedziałam skonfundowana. – Jeśli Mariah Parish została zamordowana, to całkowicie zmienia i tak już skomplikowaną sytuację.

–Zamordowana? – Tym razem przyszła jego kolej na zdumienie. – Ale powiedziano mi... Powiedziano mi, że pani utrzymuje, iż Mariah Parish żyje.

–Skąd, nigdy nie twierdziłam czegoś podobnego i nie mam żadnych podstaw. Kto panu to powiedział?

Milczał. Na jego twarzy malowało się z troskanie, ale wrogość osłabła.

–Nie przyszła pani podważać autentyczności świadectwa zgonu?

–Nie, wiem, że Mariah Parish nie żyje. Ciekawi mnie tylko, dlaczego wpisał pan inną przyczynę śmierci.

Doktor zaczerwienił się paskudnie.

–Reprezentuje pani jej rodzinę?

–Nie miała rodziny. Jesteśmy tu w imieniu detektyw, która zajmowała się poszukiwaniami jej dziecka. – W pewnym sensie można to było podciągnąć pod prawdę.

–Dziecko – westchnął lekarz. Naraz jakby postarzał się o kilkanaście lat.

–Tak. Proszę nam o nim opowiedzieć – zażądałam.

–Wie pani, jak bardzo wpływowa jest rodzina Joyce'ów. W jednej chwili mogli zakończyć moją karierę, mogli wysłać mnie do więzienia.

–Ale tego nie zrobili – zauważył Manfred sucho. – Proszę mówić.

Poruszaliśmy się po omacku, ale zadziało. – Tamtej nocy, kiedy zmarła... Prowadziłem wtedy praktykę w Clear Creek... – Lekarz okręcił się na krześle obrotowym i zapatrzył w okno. – To była deszczowa noc, lało tak jak dzisiaj. Był chyba luty. Joyce'owie nie należeli do moich pacjentów, mieli swoich lekarzy w Dallas i Texarkanie, odległość nie miała dla nich

znaczenia. – Gorycz zmięła jego rysy, pozostawiając na twarzy bruzdy. – Wiedziałem, kim jest Rich Joyce, każdy w mieście go znał. Był jednym z tych bogaczy, którzy zachowują się jak ludzie z sąsiedztwa. Wiecie, stara furgonetka, wytarte dżinsy i tak dalej. Z takimi pieniędzmi można mieć każdy samochód! – Pokręcił głową nad kapryсами ludzi, którzy mogą mieć wszystko, a wybierają zwykle, pospolite rzeczy.

–Czy to Rich do pana przyszedł?

–Och nie, absolutnie – zaprzeczył Bowden. – Jeden z jego pracowników, nie pamiętam, jak się nazywał... – Kłamał jak z nut. – Powiedział, że opiekunka pana Joyce'a jest chora i potrzebuje pomocy. To miała być wizyta domowa, płatna ekstra. Naturalnie pojechałem. Nie miałem na to ochoty, ale to mój obowiązek, a do tego dochodziła perspektywa nawiązania dobrych stosunków z Richardem Joyce'em. Nie będę udawał, że na to nie liczyłem. – Mógłby udawać do samej śmierci, a i tak bym mu nie uwierzyła. Manfred poruszył się niespokojnie. Czyżby tłumił śmiech?

–Co było dalej? – ponagliłam.

–Pojechaliliśmy tam jego ciężarówką, wysiedliśmy w strugach deszczu. Przeszliśmy przez ten wielki, pusty dom aż do jednej z sypialni, w której leżała młoda kobieta. Była w fatalnym stanie. Właśnie urodziła. Poród rozpoczął się nieoczekiwanie, a z tego, co mówił ten facet, chyba nawet nie miała pojęcia, że jest w ciąży.

Usiłowałam to wszystko ogarnąć, ale bezskutecznie.

–Ale wiedział pan, że jedzie do porodu, tak? Pokręcił głową. Trudno orzec, czy zaprzeczał, czy po prostu nie chciał o tym mówić. Przypuszczalnie miał wyrzuty sumienia, których nie chciał pogłębiać potwierdzaniem, że zdawał sobie sprawę, iż jedzie do Joyce'ów leczyć pacjenta w pokątnych warunkach. Musiał podejrzewać, że sprawa jest nielegalna, a przynajmniej ociera się o taką.

–Mówiła coś? – zapytałam.

–Prawie nie mogła mówić. Była w ciężkim stanie. Miała wysoką gorączkę, pocila się, miała drgawki. Majaczyła w malignie. Nie mogłem pojąć, dlaczego nie przewieziono jej do szpitala. Mężczyzna wyjaśnił, że sama tego nie chciała. Że ta ciąża była wpadką, nie powinna mieć tego dziecka i że to nieprzyjemna sprawa rodzinna. Dodał, że dziecko jest owocem kazirodztwa. – Skrzywienie lekarza wyraźnie pokazywało, jakie zażenowanie wzbudzało w nim to słowo. – Mówił, że dziewczyna jest ulubienicą pana Joyce'a i chce wszystko ukryć. Planowała wrócić do pracy jakby nigdy nic i oddać dziecko do adopcji. Nie mogłaby go zatrzymać, gdyż przywoływało zbyt wiele bolesnych wspomnień.

„A ty w to uwierzyłeś?” – cisnęło mi się na usta, ale nie chciałam ryzykować przerwania tej spowiedzi. Potok słów płynął, jak gdyby w lekarzu pękła jakaś tama. Prawdopodobnie już dawno chciał to z siebie wyrzucić.

Przelotnie zastanowiłam się, jakimi zasadami moralnymi kieruje się ten człowiek, skoro wziął udział w tak szemranym przedsięwzięciu. Oczywiście nie ulegało wątpliwości, że w dużym stopniu motywowała go chciwość.

–Nie miała rodziny.

Do lekarza dopiero po chwili dotarł sens słów Manfreda. Wbił wzrok w biurko. Miałam ochotę trzepnąć przyjaciela za to wtrącenie, choć wypowiedział na głos tylko to, co chodziło mi po głowie.

–Nie wiedziałem o tym – mruknął Bowden. – Mężczyzna, który po mnie przyjechał, myślę, że to był Drexell Joyce. Podejrzywałem, że dziecko jest jego. Może wstydził się powiedzieć dziadkowi, że zdradza żonę? Nosił obrączkę, a Mariah Parish nie.

–Mówiła coś? – ponowiłam pytanie.

–Proszę?

–Mariah, czy coś powiedziała?

Wydawało mi się, że to proste pytanie, ale Bowden zaczął wiercić się niespokojnie na swoim czarnym, skórzanym fotelu.

–Nie – odparł.

Westchnęłam. Kątem oka dostrzegłam, jak Manfred unosi palec. Także uważał, że lekarz kłamie.

–Więc co się później stało? – popędziłam lekarza, nie mając pomysłu, jak wydobyć z niego prawdę inaczej niż przemocą.

–Wyczyściłem ją na tyle, na ile mogłem – podjął Bowden. – Chciałem zadzwonić po karetkę, ale ten facet stwierdził, że to nie wchodzi w grę. Podszedłem do płaszcza, żeby wyjąć komórkę, ale zabrał mi okrycie i nie chciał oddać. Musiałem zająć się pacjentką, nie miałem czasu się z nim szarpać. Dziewczyna dogorywała. Nawet gdyby dotarła do szpitala w ciągu godziny, bo w takiej odległości leżał najbliższy szpital, niewiele by to dało. Infekcja była w zbyt zaawansowanej fazie.

–Czyli zmarła tej nocy?

–Tak. Jakieś pół godziny po moim przybyciu. Zdążyła wziąć dziecko w ramiona.

Przez moment milczeliśmy.

–I co potem? – dopytywał Manfred.

–Mężczyzna kazał mi zbadać dziecko. Dziewczynka miała lekką gorączkę, poza tym była w dobrym stanie.

–Dziewczynka?

–Tak, dziewczynka. Mała, ale przy dobrej opiece nic by jej nie było. Na prośbę faceta zaaplikowałem dziecku antybiotyki, który miałem ze sobą. Chciał ją od razu zawieźć do rodziców adopcyjnych. Zostawiłem leki i wskazania, jak je podawać, a on wyniósł dziecko z pokoju. Wtedy widziałem je po raz ostatni. Do tego czasu matka wyzionęła ducha.

Wyzionęła ducha.

–Co zrobił pan później?

Westchnął, jakby zawilość historii przekraczała jego możliwości narracyjne.

–Powiedziałem, że trzeba zadzwonić do miasta i zgłosić zgon. Pokłóciliśmy o to. Zupełnie jakby nie przyjmował do wiadomości, że to wymóg prawa i że trzeba tego przestrzegać.

Jasne, a ty to taki praworządny.

–Ale w końcu pozwolił panu zadzwonić?

–Tak, ale pod warunkiem, że nie wspomnimy o dziecku. Po ciało tej biedaczki przyjechał ktoś z domu pogrzebowego, a ja podpisałem akt zgonu.

Przygarbił się. Wreszcie wyrzucił najgorszą w jego mniemaniu informację i mógł się odprężyć.

–Stwierdził pan, że zmarła w wyniku ciężkiej infekcji spowodowanej komplikacjami po zapaleniu wyrostka. I nikt tego nie kwestionował?

Wzruszył ramionami.

–Nie pojawił się nikt z rodziny. Joyce'owie wystawili mi czek za usługę, kiedy dostali rachunek. A później, gdy któryś z ich pracowników zachorował, przysyłali go do mnie.

Sprytnie, że nie zaoferowali łapówki wprost. Nie wątpiłam, że rachunek, który im wysłał, zawierał kwotę z oficjalnego cennika, a oni zapłacili równo co do grosza. To zapewne uspokoiło lekarza. Zamiast tego wykorzystali fakt, że jego praktyka nie kwitła, i rzucili mu smakowitą kość.

–Skoro tak dobrze panu szło, skąd ta przeprowadzka do Dallas? – zapytał Manfred.

I znów, nie posunęłabym się do tego, ale jak poprzednio, nie doceniałam elastyczności doktora.

–Przez żonę. Nie znosiła Clear Creek. I mówiąc szczerze, z nią też się ludzie nie dogadywali. Mieliśmy przez to piekło w domu. Jakies sześć lat temu na zjeździe lekarzy poznałem kolegę po fachu, który prowadził praktykę w Dallas. Wspomniał, że zostawia gabinet, i zaproponował podnajem w dużo lepszej cenie niż płacili nowi najemcy. Dorzucił też wyposażenie, bo wyjeżdżał na placówkę dyplomatyczną do Turcji czy gdzieś tam.

Naprawdę nie domyślił się, że to podstęp? To przecież, jakby ktoś przywiązał do nitki banknot i ciągnął go, żeby przechodnie za nim podążali.

–A świstak siedzi... – wymamrotał Manfred, ale na szczęście się przyknął.

–Dziękujemy – zwróciłam się do lekarza, usiłując wymyślić jeszcze jakieś pytanie. – A, jeszcze jedno. Czy ktoś pytał dzisiaj rano o Mariah Parish?

–A, owszem.

Czemu, u diabła, nie pomyślałam, żeby zabrać ze sobą zdjęcia Joyce'ów? Do tej pory nieźle mi szło jak na detektywa amatora, ale tu popełniłam duży błąd.

–Przedstawił się? – Jako Ted Bowman.

Nie, całkiem niepodobne do Toma Bowdena, zupełnie nie.

–I czego chciał?

Tom Bowden zafrasował się wyraźnie, a raczej zafrasował się jeszcze bardziej.

–Pytał o to samo co wy, ale z innego powodu.

–To znaczy?

–Wyglądało na to, że zna całą historię. Chciał wiedzieć, ile ja wiem o osobach w to zamieszanych.

–I co pan powiedział?

–Że nie mam pojęcia, kim był człowiek, który wtedy po mnie przyjechał, że kiedy po raz ostatni widziałem dziecko, było ono w dobrym stanie, i że nikomu nie mówiłem o tamtych wydarzeniach.

–I co on na to?

–Że to świetne nowiny, bo słyszał, że dziecko nie żyje i w takim razie cieszy się, że nic mu nie jest. Poradził też, abym o wszystkim zapomniał, a ja zapewniłem go, że od lat o tym nie myślałem. Na koniec ostrzegł, że ktoś inny może o to wypytywać i że osoba ta chce wpędzić mnie w kłopoty, twierdząc, jakoby Mariah Parish żyła.

–Udzielił panu jakichś wskazówek, jak postępować w takiej sytuacji?

–Tak, powiedział, że dla własnego dobra powinienem trzymać język za zębami.

–Ale pan go nie posłuchał.

Po raz pierwszy od naszego przyjścia Tom Bowden spojrzął mi w oczy.

–Nie mam już siły trzymać tego w tajemnicy – westchnął i tym razem mu uwierzyłam. –

Rozwiodłem się z żoną, interes nie idzie tak dobrze, jak miałem nadzieję. Wbrew oczekiwaniom moje życie nie stało się wcale lepsze. To pasmo nieszczęść zaczęło się właśnie tamtej nocy.

Nie wątpiłam, że mówi prawdę.

–A jak wyglądał ten pana gość? – zapytałam.

–Był wyższy od pani towarzysza. – Bowden wskazał brodą na Manfreda. – Mocniej

zbudowany, szeroka klatka piersiowa, umięśniony. Ciemnowłosa, czterdzieści, może pięćdziesiąt lat. Siwawy.

–Jakieś tatuaże?

–Nie widziałem. Miał na sobie kurtkę przeciwdeszczową – stwierdził lekarz z przekąsem.

Jego niechęć do nas powróciła. Czas skruchy dobiegł końca. Gorączkowo myślałam, o co jeszcze mogłabym go zapytać, zanim na dobre straci nastrój.

–Naprawdę nie wie pan, jak nazywał się mężczyzna, który przyjechał po pana tamtej nocy?

– W tak małym miasteczku wydawało się to nieprawdopodobne. Skomentowałam to.

Wzruszył ramionami.

–Mieszkalem tam od niedawna, a ci z rancza trzymali się ze sobą. Facet twierdził, że pracuje

dla Joyce'ów i jeździł ich furgonetką. Może się nawet przedstawił, ale nie pamiętam. To była ciężka noc. Jak mówiłem, przyszło mi do głowy, że może był to Drexell Joyce, ale nie wiem na pewno, nie spotkałem go nigdy.

Rzeczywiście, ciężka noc. Szczególnie dla Mariah Parish, która mogła przeżyć, gdyby wezwano karetkę na czas. Gdyby ktoś wykazał się odrobiną człowieczeństwa i w ogóle ją wezwał.

Dziwne, że nie została po prostu zamordowana, a dziecko razem z nią. Ale wtedy Rich Joyce jeszcze żył, może na decyzji zaważył lęk, co powie, gdyby jego opiekunka nagle zniknęła. Nawet jeśli nikt inny, on na pewno tęskniłby za Mariah. I nie spocząłby, uznawszy, że stało się coś niepokojącego.

Może dziecko zostało umieszczone w jakimś domu jako karta przetargowa? Może wychowywał je ktoś na ranczu? W głowie powstawało mi wiele teorii, a każda równie prawdopodobna, jak poprzednia.

–A Rich Joyce? Gdzie wtedy był? – zapytał Manfred.

–Facet powiedział, że wyjechał. Samochodu Richa nie było pod domem.

–Mógł nie wiedzieć, że opiekunka jest w ciąży? Nie zauważyłby?

–Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami Bowden. – Ten temat nie wypłynął. Nie wiem, czy powiedziała coś staremu Joyce'owi. Po niektórych kobietach ciążę mało widać, a jeśli dodatkowo starała się to ukryć...

Wymieniliśmy z Manfredem spojrzenia. Żadne z nas nie miało więcej pytań.

–Dziękujemy, panie doktorze – powiedziałam, wstając. – Do widzenia.

Nie ukrywał ulgi, że już wychodzimy.

–Zamierzacie iść z tym na policję? – zapytał. – Bo wiecie, nawet ekshumacja nic nie da. – Zaczynał żałować, że z nami rozmawiał. Ale i tak mu ulżyło. Pewnie trudno mu było żyć przez tyle lat z tą tajemnicą. Nie żałowałam go.

–Jeszcze nie wiemy – rzekł Manfred z namysłem. Też nie współczuł lekarzowi. – Bierzemy to pod uwagę. Jeśli dziecko przeżyło, może nie straci pan licencji.

Doktor Bowden odprowadził nas przerażonym wzrokiem. W poczekalni siedziało trzech pacjentów. Współczułam im. Ciekawe, jakie leczenie zapewni doktor mający nerwy w tym stanie. Dwie wizyty jednego dnia w sprawie, która, jak liczył, miała nigdy nie wypłynąć. To wytrąciłoby z równowagi każdego, nawet kogoś o silniejszej konstrukcji psychicznej niż doktor Bowden.

–Ten facet to śmieć – warknął Manfred w windzie. Był aż czerwony ze złości.

–Może nie jest z gruntu zepsuty – podsunęłam, czując się z dziesięć starsza od towarzysza. – Tylko słaby. Jest zaprzeczeniem zasad, jakie powinien reprezentować lekarz.

–Nie zdziwiłbym się, gdyby ta akcja odbywała się w latach trzydziestych – zaskoczył mnie Manfred. – To wszystko brzmi jak jedna z tych niesamowitych opowieści ze starych książek. Środek nocy, pukanie do drzwi, nieznajomy, który wiezie lekarza do tajemniczego pacjenta w ogromnym domu. Umierająca kobieta, dziecko, tajemnica...

Gapiałam się na Manfreda osłupiała. Dokładnie to samo przyszło mi do głowy.

–Wierzysz w to wszystko? – zapytałam, kiedy winda zatrzymała się na parterze. – Bo skoro

oboje odnosimy wrażenie, że ta historia brzmi aż nazbyt niesamowicie, może to rzeczywiście fikcja? Zwykły stek bzdur.

–Chyba nie umiałby aż tak dobrze kłamać – ocenił Manfred. – Choć na pewno nieraz minął się z prawdą. Nie rozumiem, co on sobie wyobrażał. Przecież musiał zakładać, że pewnego dnia ktoś zacznie zadawać pytania. W końcu studiował medycynę, musi być choć trochę inteligentny, to nie jest zawód dla idiotów. A ma dyplom, widziałem na ścianie. Sprawdzę to. Może przydałby się nam jakiś prywatny detektyw?

–Mowy nie ma, biorąc pod uwagę, co stało się z ostatnim – burknęłam, ale zaraz się opamiętałam. – Przepraszam, Manfred. Cieszę się, że tu ze mną przyszedłeś. Dobrze, że słyszała to druga para uszu i widziała druga para oczu. Jesteś jasnowidzem, wierzysz w tę jego historię? Chodzi mi o ogólny sens.

–Ogólny tak – odrzekł Manfred po chwili namysłu. – Przemyślałem to jeszcze raz i tak, sędzę, że mówił prawdę. Nie przez cały czas. Uważam na przykład, że dobrze wie, kto wtedy po niego przyjechał. I nie wierzę, że ten facet zabrał mu telefon, raczej go zastraszył. Powiedział, że nie ma mowy o karetce, i zagroził jakoś. Porządna groźba powstrzymałaby doktorka. Myślę też, że w drodze powiedział mu, jakiego przypadku może się spodziewać. Lekarze nie noszą teraz ze sobą wielkich waliz, tak jak kiedyś. Babcia mi o tym opowiadała. Musiał wiedzieć, co zabrać dla kobiety z komplikacjami po porodzie i ewentualnie dla dziecka.

Przekonał mnie.

–Masz rację. Więc kto był tym tajemniczym mężczyzną? Kto zawiózł go do wielkiego, pustego domu? Kto zabrał dziecko? Wiemy na pewno, że miał obrączkę.

–Faktycznie. Niezła pamięć. Drex był przez jakiś czas żonaty, Chip też. To mógł być jeden z nich albo w ogóle ktoś inny.

W drodze do hotelu zatrzymaliśmy się na lunch w fast foodzie. Zamówiłam kanapkę z grillowanym kurczakiem, bez frytek. Starłam się jeść w miarę zdrowo, lepiej się wtedy czułam. Nie rozmawialiśmy wiele podczas posiłku. Nie wiem, o czym myślał Manfred, ale ja rozpamiętywałam to dziwne uczucie, jakiego doświadczyłam, gdy po raz pierwszy ujrzałam Joyce'ów wysiadających z auta na cmentarzu Pioneer Rest. Zdawało mi się, że skądś ich znam, przynajmniej mężczyzn. Gdzie mogłam ich widzieć? Czy mogli odwiedzać przyczepę, w której mieszkaliśmy? Tyle osób się tam przewijało... a ja tak starałam się ich unikać.

Musiałam odłożyć te rozmyślenia na później, kiedy po powrocie do hotelu zastaliśmy Tollivera w stanie wyjątkowego i rzadkiego rozdrażnienia. Usiłował wziąć prysznic i podczas owijania ramienia folią grzmotnął się o ścianę, co było bardzo bolesne. Dodatkowo był wściekły, bo wyszłam z Manfredem i długo nie wracałam. Zamówił sobie lunch do pokoju, po czym męczył się z otwieraniem pudełek i odwinieniem sztucców jedną ręką. Był bardzo rozżalony, a mimo że postanowiłam porozpieszczać go, póki mu nie przejdzie, sama wpadłam w kiepski nastrój,

dowiadując się, że podczas mojej nieobecności dzwonił jego ojciec. Na wieść o nieszczęściach syna oświadczył, że przyjedzie go odwiedzić, skoro zostawiam go tak na pastwę losu.

Byłam wściekła na Tollivera, a on na mnie. Tak naprawdę nie chodziło mu o nic innego, jak tylko o to, że załatwiałam coś nie dość, że bez niego, to jeszcze z kimś innym. Normalnie Tolliver nie jest humorzasty, skłonny do irytacji, a tym bardziej nierozsądny. Tego dnia reprezentował te trzy cechy.

–Ech – mruknęłam nieszczególnie przyjaźnie. – Nie mogłeś po prostu poczekać, aż wrócę?

Spojrzał na mnie bykiem, ale widziałam, że żałuje wygadania się przed ojcem. Za późno jednak. Najwyraźniej w McDonaldach nie panowały sztywne zasady dotyczące przestrzegania grafiku pracy, bo tuż po mojej wypowiedzi rozległo się pukanie.

Matthew wszedł do pokoju i nie zatrzymując się, skierował prosto do Tollivera. Stojąc przy drzwiach, patrzyłam za nim i naraz zmroziła mnie pewna myśl. To jego widziałam wychodzącego rankiem z biurowca, w którym Bowden miał gabinet. To samo ubranie, ten sam chód, to samo pochylenie ramion.

Manfred podążył wzrokiem za moim spojrzeniem, a jego oczy rozszerzyły się z zaskoczenia. Odwrócił się do mnie z pytającą miną. Po chwili namysłu potrząsnęłam przecząco głową. Nie było sensu robić sceny, a przynajmniej mój skolatany umysł nie mógł dopatrzeć się w tym sensu.

Zapytany wprost, Matthew wyjaśniłby pewnie, że był tam u innego lekarza, prawnika czy księgowego. Trudne do obalenia. Jednak nie wierzyłam, że jego obecność w tamtym budynku to zwykły zbieg okoliczności.

Aż do tej pory nie przyszło mi do głowy, że nagle pojawienie się Matthew w życiu synów mogło mieć cokolwiek wspólnego z Joyce'ami.

Zostawiwszy Tollivera z gośćmi, poszłam do sypialni i siadłam na łóżku. Czulałam się tak, jakby podczas wsiadania do samochodu ktoś przytrzymał mi nogi drzwiczkami. Usiłowałam skupić się na jednej z setek myśli, które kłębiły mi się teraz w głowie. Mój cały świat zachwiał się nagle w posadach, a ja nie potrafiłam odzyskać równowagi.

Mariah Parish nie żyła. Zmarła po porodzie.

Rich Joyce nie żył. Ktoś dosłownie przestraszył go na śmierć.

Victoria Flores, wynajęta przez Lizzy Joyce do rozwiązania tajemnicy śmierci Mariah, także nie żyła.

Parker Powers, detektyw zajmujący się sprawą, nie żył.

Mój ojczym odwiedzał lekarza obecnego przy śmierci Mariah.

A co wydarzyło się jeszcze te osiem lat temu, zaledwie parę miesięcy po sekretnym urodzeniu tajemniczego dziecka?

Zniknęła moja siostra, Cameron.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Zamknęłam się w łazience i usiadłam na opuszczonej klapie toalety. Nie włączyłam światła. Nie chciałam widzieć swojego odbicia w lustrze. Matthew łączyło coś z Joyce'ami, tylko co? Był również ojczymem Cameron. A z tego, co wiedziałam, wynikało, że moja siostra zniknęła wkrótce po śmierci Mariah Parish. Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, że ktokolwiek z rodziny mógłby mieć z tym coś wspólnego. Gdy policjanci przesłuchiwali matkę, Matthew, Marka, Tollivera i mnie, dostawałam szału, że tracą czas, zamiast ścigać mordercę czy morderców.

Podjeżdżałam kolegów szkolnych, szczególnie ostatniego chłopaka Cameron, który nie najlepiej przyjął jej decyzję o rozstaniu. Podjeżdżałam ćpających kolesi Laurel i Matthew. Podjeżdżałam każdego przypadkowego nieznanego, obcego, który widząc wracającą do domu Cameron, skorzystał z okazji i napadł ją, zgwałcił albo porwał. Podjeżdżałam facetów, którzy gwizdali na nasz widok, kiedy wychodziłyśmy. Wymyślałam setki scenariuszy. Niektóre z nich były całkiem nieprawdopodobne. Wszystkie jednak dawały takie wyjaśnienie koszarnej tajemnicy jej zniknięcia, które nie potęgowało bólu straty dodatkową rozpaczą z powodu zdrady kogoś z rodziny. Żywiłam jednak głębokie przekonanie – choć nie potrafiłam tego sprecyzować, choć wydawało się to nie do uwierzenia – że te dwa wydarzenia musiały być powiązane, skoro w oba zamieszany był ten sam człowiek.

A może przesadzałam? Usiłowałam myśleć jasno, ale mój umysł przesłaniała mgła gniewu. Matthew wiedział coś o Joyce'ach. Wiedział na tyle dużo, że znał nazwisko lekarza, który „leczył” Mariah Parish.

Wiedział. A teraz nabrałam przekonania, że wie także, co przydarzyło się mojej siostrze. Przez te wszystkie lata ukrywał to przede mną.

Czułam to przez skórę.

Nie mogłam ot tak wejść do saloniku i zacząć go dusić. Był dla mnie za silny. Tolliver nie pozwoliłby mi zabić ojca. Nawet Manfred, który nie miał z nim nic wspólnego, czułby się w obowiązku interweniować. Ale Tolliver był ranny i słaby, a Manfred prędzej czy później wyjdzie.

Wzięłam się w garść i uczyniłam wysilek, by odepchnąć od siebie mordercze zapędy wobec ojczyma.

Po pierwsze, zabicie go byłoby niewłaściwe. Prawdopodobnie. A co ważniejsze, miałam jeszcze za mało danych. Pragnęłam znaleźć miejsce spoczynku mojej siostry. Chciałam dowiedzieć się bez cienia wątpliwości, co przydarzyło się Cameron.

Do czasu uzyskania niezbędnych informacji musiałam tolerować Matthew. Siedząc sama, po ciemku, układałam plan. W duchu napominałam się, że muszę być silna. Wreszcie wstałam,

zapaliłam światło i oplukałam twarz, jakbym mogła z niej zmyć nową świadomość i przywrócić jej czystość szczęśliwej niewiedzy.

Noga za nogą powlokłam się do salonu. Czułam się tak, jakby ktoś skopał mnie po żebrach – obolała, cierpiąca z powodu podejrzeń i nienawiści, które w sobie nosiłam.

Od razu zorientowałam się, że Matthew chce pozbyć się Manfreda, żeby porozmawiać z synem w cztery oczy, a Manfred nie zamierza wyjść, nim się ze mną nie zobaczy. Kiedy weszłam, chłopak przeniósł wzrok ze mnie na Matthew i wzdrygnął się. Nie wiem, co takiego we mnie zobaczył, czego ani Tolliver, ani jego ojciec nie mogli dostrzec. To ostatnie było mi bardzo na rękę.

–Wybacz, że cię tak wymęczyłam, Manfred, i dzięki, że ze mną pojechałeś.

–Nie ma sprawy. – Manfred skoczył na równe nogi z energią, która aż nazbyt wyraźnie wskazywała, jak bardzo chciał uciec z tego pokoju. – Może wyskoczmy na kawę? Albo pójdziemy do sklepu? Po te, no... chipsy...? – Sondował sytuację. Nigdy nie jadaliliśmy chipsów. Kąciki ust same uniosły mi się w górę.

–Dzięki, Manfred. – Rozważałam, co zrobić. Manfred chciał pogadać ze mną o Matthew, zapewne on także go rozpoznał. Ale ja jeszcze nie zdecydowałam, co robić. Lepiej uniknąć rozmowy w cztery oczy, zanim nie ułożę sobie jakiegoś planu. – Raczej zostanę, Tolliver może mnie potrzebować.

Kierowana impulsem, objęłam go na pożegnanie. Wydał mi się taki kruchy. Z pewnym wahaniem oddał uścisk. Był wstrząśnięty obrazem stworzonym przez emocje, które ode mnie odebrał. Jeśli ujrzał to, co czułam, musiał widzieć krwawe sceny.

–Nie rób tego – szepnął mi prosto w ucho i puścił mnie.

–Wszystko będzie dobrze – zapewniłam go. – W razie czego zadzwonię, obiecuję.

–W porządku. Mam dzisiaj trochę pracy, ale nie rozstaję się z komórką, jest naładowana i zawsze włączona. Na razie, Tolliver. Do widzenia, panie Lang. – Spojrzawszy mi na odchodnym prosto w oczy, wyszedł na korytarz. Nie odwrócił się już.

–Dziwoląg – podsumował go Matthew. – Nie sądziłem, że obracasz się w takim towarzystwie, Tolliverze. To pewnie jakiś twój znajomy, Harper?

–Owszem, to mój przyjaciel – przyznałam. – Z jego babką też się przyjaźniłam. – Czułam się bardzo dziwnie, nieswojo. Matthew zajął miejsce na sofie, obok Tollivera, więc usiadłam na fotelu. Założyłam nogę na nogę i zaplotłam dłonie na kolanie. – Straszne dzisiaj korki, prawda, Matthew?

–Tak, koszmarne – potwierdził zaskoczony. – Zresztą jak zawsze w Dallas. I jeszcze ten

deszcz.

–Załatwiałeś coś rano?

–Uhm, miałem parę spraw. Muszę być w pracy na wpół do trzeciej.

Naprawdę pracował w McDonaldzie? Czy może miał spotkanie z którymś z Joyce'ów? Od jak dawna mu płacili?

A człowiek, którego kochałam najbardziej na świecie, był jego synem.

Mogło to mieć jakieś znaczenie dla Tollivera, ale mnie nie robiło różnicy. Bardziej niż przeciętni ludzie rozumiałam odmienność rodziców i ich potomków. Wychowała mnie kobieta, która całkiem zaniedbała swoje małe dzieci, zrzucając opiekę nad nimi na starsze.

Miałam nadzieję, że jestem lepszym człowiekiem niż moja matka.

Ale czy jeśli zabiłabym Matthew, byłabym lepsza niż ona?

Cóż, przynajmniej decyzję mogę podjąć na trzeźwo.

Nieprawda, wtrącił się rozsądek. Czy nienawiść nie przepelnia cię tak bardzo, że ledwo oddychasz?

Rzeczywiście. Ale czy nie lepiej zabić, jeśli nienawidzi się tak bardzo? Czy zrobienie tego na spokojnie, na zimno, to cnota? Na pewno dawało większą szansę wykaraskania się z tego. I spędzenia życia z Tolliverem, a nie przyjaciółkami spod celi. Tak właśnie dokonała żywota moja matka... A ja nie byłam taka, jak moja matka. Ani trochę.

Ten proces umysłowy z pewnością odbijał się na mojej twarzy. I chyba z przerwami, bo i myśli w mej głowie pojawiały się rozbłyskami.

Sądząc z miny, Tollivera aż świerzbilo, żeby zapytać, czy wszystko ze mną w porządku, ale pewnie nie chciał tego robić przy Matthew. Ten siedział zwrócony w kierunku syna, więc niczego nie zauważył. To dobrze.

Staralam się oczyścić umysł i skupić na ich rozmowie. Matthew pytał, czy Tolliver myślał o skończeniu koledżu, czy brał pod uwagę któryś w rejonie Dallas, kiedy przeprowadziliśmy się tutaj. Uważał, że dyplom pozwoliłby mu znaleźć dobrą pracę, a tym samym nie musiałby dłużej być na moim utrzymaniu.

Jednym słowem usiłował wsączyć truciznę w nasz związek.

Tolliver robił wrażenie wstrząśniętego.

–Harper mnie nie utrzymuje – obruszył się.

–Przecież nie masz pracy. Jeździsz z nią tylko, kiedy... Robi to, co robi.

–Pilnuję, żeby miała co robić. – Uświadomiłam sobie, że rozmawiali o tym nie po raz pierwszy, ale po raz pierwszy w mojej obecności. Omal nie odsłoniłam swoich uczuć. – Beze mnie Harper nie dałaby rady.

–Dokładnie – poparłam go. – Zdarza mi się zasłabnąć, nawet nie chcę myśleć, co mogłoby się stać, gdyby go przy mnie nie było. – Staralam się, by brzmiało to jak stwierdzenie faktu, a nie jak usprawiedliwianie czegokolwiek. Nie było czego usprawiedliwiać.

–Tak sobie wmawiasz – zwrócił się Matthew do Tollivera, ignorując mnie zupełnie – ale sam wiesz, że mężczyzna musi znaleźć własny sposób na życie.

–Tak jak ty? – nie ustępowałam. – Handlując narkotykami? Oferując mnie temu, kto da więcej? Ty znalazłeś swój sposób, zrezygnowałeś z praktyki prawniczej na rzecz więzienia.

Matthew krew uderzyła do głowy. Nie mógł już udawać, że mnie nie ma.

–Harper, staram się być dobrym ojcem. Zdaję sobie sprawę, że jest za późno i że robiłem rzeczy, na wspomnienie których aż mnie mdli. Ale usiłuję odbudować relacje z moim synem. Wiem, że cię kocha, ale czasem musisz się odczepić i pozwolić nam pogadać.

Wyraźnie słyszałam cudzysłów przy słowie „kocha”.

–Harper nie będzie się „odczepiała”. I tak, Kocham ją. Tak, jest za późno i tak, rzygać nam się chce na wspomnienie tego, co robiłeś. Tamtego dnia, po wypadku z piorunem, pozwoliłbyś Harper umrzeć, gdyby mnie wtedy nie było.

Zalala mnie fala ulgi. Zawsze w głębi duszy obawiałam się, że pewnego dnia Tolliver posłucha ojca, uwierzy mu, znów da się nabrać.

–Mark przynajmniej pozwala mi do siebie mówić – rzekł Matthew, podnosząc się. Wychodził, a ja go nie zabiłam. Zamierzałam pozwolić mu odejść.

Nie miałam wyjścia. Co mogłam zrobić gołymi rękami? Poza tym musiałam dowiedzieć się, co zrobił Cameron i dlaczego. Nie podejrzewałam, żeby chodziło o seks. Jego kumple mieli na nas ochotę, ale on nigdy nie przejawiał takich zapędów. Co do tego byłam prawie pewna. Ale musiał być jakiś powód, a ja chciałam go poznać. Wstałam, trzymając ręce przy sobie, choć rozważałam, czy go nie uderzyć.

Matthew dostrzegł wrogość w mojej postawie. Po tylu latach w więzieniu człowiek uczy się rozpoznawać takie sygnały. Obszedł mnie w drodze do drzwi.

–Nie wiem, co ci dzisiaj odbiło, Harper. Staram się tylko nawiązać dobre stosunki.

–Szkoda twojego wysiłku – syknęłam przez zaciśnięte zęby.

–Właśnie widzę – zaśmiał się nerwowo. – Porozmawiamy jeszcze, synu. Mam nadzieję, że czujesz się już lepiej. Dzwon w razie czego. – Po chwili drzwi zatrzęsnęły się za nim. Nadal żył.

–Usiądź przy mnie – szepnął Tolliver tak cicho, że ledwie go usłyszałam. – Usiądź i powiedz, co ci chodzi po głowie.

–Widziałam go u tego lekarza. Twój ojciec tam był dzisiaj rano. Wychodził z budynku, kiedy przyjechalśmy.

Zaczekałam, aż do Tollivera dotrze to, co powiedziałam. Znow poklepał siedzisko obok siebie.

–Siadaj, porozmawiamy o tym.

Mało nie zaczęłam wiwatować. Zrozumiał.

Opowiedziałam o wizycie u Bowdena. Powtórzyłam całą historię, dodając własny komentarz. Wysłuchał mnie, dzięki Bogu, wysłuchał, nie przerywając. Kiepski nastrój i złość przeszły mu jak ręką odjął. Wspomniałam też, jaka byłam zadowolona, że Manfred mi towarzyszył i słyszał opowieść doktora, bo inaczej samej trudno byłoby mi w to uwierzyć.

–No dobrze, więc co konkretnie sprawiło, że chcesz wypatroszyć mojego ojca?

–Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności. Co Matthew robił w tym biurówcu? Musiał być u Bowdena. Skąd w ogóle wiedział o Bowdenie? Musi być powiązany z Joyce'ami, a przynajmniej z tym, kto chciał utrzymać w tajemnicy ciążę Mariah i narodziny dziecka.

–Musi? Naprawdę uważasz, że ojciec musi mieć coś wspólnego z Joyce'ami – z jednym lub wszystkimi? Nawet nie wiemy, kto przyjechał po doktora tamtej nocy. Wiemy za to, dzięki informacjom zebranych przez Victorię, że Chip Moseley został aresztowany w Texarkanie, a z tego wynika, że tam bywał. Wiemy też, że Joyce'owie mają tam swoich lekarzy, przynajmniej według Bowdena, więc mają i kontakty. Może słabe, ale jakieś tam więzi istnieją.

–A wtedy na cmentarzu tych dwóch wydawało mi się skądś znajomych.

–Chip i Drex? Przytaknęłam.

–Tak. To nic pewnego, bo nie umiem ich skojarzyć, ale jak kogoś tak mgliście pamiętam, zwykle są to ludzie, którzy przychodzili do przyczepy, a ja ze wszelkich sił starałam się o nich zapomnieć. W dodatku robiłam wszystko, żeby na nich nie patrzeć, bo niebezpiecznie wiedzieć, kto sprzedaje i kupuje narkotyki.

–Masz rację – westchnął Tolliver. – Mieszkanie tam było codziennym narażaniem się na

niebezpieczeństwo.

–Biorąc to wszystko pod uwagę, uważam, że twój ojciec jest w sprawę zamieszany. Zastanawiam się, czy nie nawiązał kontaktów z Markiem, żeby przez niego dotrzeć do ciebie.

–Niewykluczone – rzekł Tolliver, przetrawiwszy to w myślach. – Nigdy nie odpisałbym na jego listy i nie odebrał telefonu, więc mógł wykorzystać Marka. Wiedział, że nigdy nie zerwę kontaktu z bratem.

Na twarzy Tollivera odbił się ból – mimo wszystko ludził się, że ojciec stara się postępować dobrze, że naprawdę się zmienił.

–Ale jak to się stało? – irytowałam się, sfrustrowana. – W jaki sposób jest powiązany z Joyce'ami? I co w tym wszystkim robi Cameron?

–Cameron? Uważasz, że zrobił coś Cameron? Nie, nie ojciec – Tolliver potrząsnął głową. – Miał alibi. Wtedy, kiedy ta kobieta widziała Cameron wsiadającą do furgonetki, grał w bilard z jakimś idiotą i jego laską.

–Tak, pamiętam tego gościa – kiwnęłam głową. – Chodź, połóżysz się. Pogadamy o tym jutro.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Tolliver był wykończony i całkiem ogłuszony. Musiałam mu pomóc położyć się do łóżka. Upewniwszy się, że jest mu wygodnie, zamówiłam do pokoju posiłek. W oczekiwaniu na zupy i sałatki usiadłam obok niego.

–Wiem, że Matthew robił wiele złych rzeczy – odezwał się. – Ale nie wierzę, że mógłby skrzywdzić Cameron.

–Mnie też to nigdy nie przyszło do głowy. I naprawdę nie chcę w to wierzyć. Ale jeśli ma jakikolwiek związek z jej zniknięciem i zwodził nas przez tyle lat, życzę mu śmierci. – Nie musiałam się martwić, co Tolliver sobie o mnie pomyśli. Znał mnie. A teraz tylko pozna odrobinę lepiej.

Zrozumiał.

–Jeśli tak, to zasłużył na śmierć. Ale nic nie łączy go z jej zniknięciem i nie miał żadnego motywu. Zresztą brak nam dowodów na jego powiązania z Joyce'ami. Widok pleców mężczyzny wychodzącego z ogólnodostępnego budynku to za mało.

–Tak, wiem – zgodziłam się, choć jego logika wcale mi nie odpowiadała. – A więc musimy to wyjaśnić. Nie zaczniemy nowego życia, póki nie zakończymy tamtej sprawy.

–Masz rację – przyznał Tolliver i przymknął powieki. Niewiarygodne, ale po prostu zasnął.

Kolację zjadłam sama. Drugą porcję odłożyłam na wszelki wypadek, gdyby Tolliver obudził się i był głodny. Po uporaniu się z sałatką zrobiłam coś, czego nie robiłam już od bardzo dawna. Poszłam do samochodu i wyjęłam z bagażnika plecak Cameron. Wróciwszy do pokoju, usiadłam na kanapie i rozpięłam suwak. Kiedy Cameron go wybierała, uznałyśmy, że jest słodki. Był różowy w czarne kropki. Cameron dokupiła sobie do niego czarne kozaki i czarną kurtkę. Wyglądała nieziemsko. Nikt nie uwierzyłby, że cały zestaw wygrzebała na ciuchach.

Policja zwróciła nam plecak po sześciu latach. Zdjęto z niego odciski palców, wywrócono na lewą stronę, sprawdzono każde włókienko. Z tego, co wiedziałam, nawet prześwietlono rentgenem.

Teraz Cameron miałaby dwadzieścia sześć lat. Zniknęła osiem lat temu.

Wszystko wydarzyło się późną wiosną. Dekorowała salę na imprezę szkolną. Wybierała się na nią z... Boże, nie mogłam sobie przypomnieć z kim. Toddem? Tak, Toddem Batistą. Nie pamiętam, czy ja się z kimś umówiłam. Mało prawdopodobne, bo po porażeniu nie byłam rozrywana przez chłopaków. Nowa umiejętność wyprowadziła mnie z równowagi, potrzebowałam roku, żeby przywyknąć do ciągłego brzęczenia zmarłych w głowie. Później musiałam nauczyć się ukrywać dar. W tym czasie dorobiłam się reputacji dziwaczki.

Spóźniała się bardzo, co było do niej niepodobne. Ocuciłam matkę, kazałam jej pilnować dziewczynek. Wiedziałam, że to nierozsądne, ale nie mogłam zabrać ich ze sobą. Pobiełam wzdłuż rzędów przyczep, wychodząc na drogę, którą zawsze wracałyśmy ze szkoły.

Tolliver i Mark byli każdy w swojej pracy, a Matthew, jak się okazało, grał w bilard z jednym ze swoich koleśi, ćpunem Renaldo Simpkinsem. Policja nie uwierzyłaby Renaldo, ale towarzyszyła im też jego dziewczyna, Tammy, która zaświadczyła, że kręciła się przy nich i Matthew nie oddalał się nigdzie pomiędzy czwartą a wpół do siódmej. Tę ostatnią godzinę ustalono z całą pewnością, gdyż wtedy właśnie sąsiad zadzwonił z informacją, że pod przyczepą Langów jest masa policji i żeby Matthew lepiej zbierał dupę w troki i wracał do domu.

Około piątej trzydzieści znalazłam na poboczu plecak Cameron, ten sam, który leżał teraz przede mną na stoliku. Przy drodze, gdzie się na niego natknęłam, stały niewielkie domki. Połowa z nich opustoszała, ale naprzeciwko miejsca, gdzie znalazłam plecak, mieszkała kobieta, Ida Beaumont.

Nigdy wcześniej nie zamieniłam z nią ani słowa, mimo że chodziłam tamtędy tyle razy, chyba w ogóle jej nie widziałam. Okazało się, że bała się mieszkających w okolicy nastolatków i może miała rację. W tej dzielnicy nawet policjanci oglądali się przez ramię. Tamtego dnia jednak rozmawiałam z Idą Beaumont. Podeszłam do drzwi i zapukałam.

–Dzień dobry, przepraszam, że przeszkadzam, ale moja siostra nie wróciła jeszcze ze szkoły, a tam, pod drzewem, leży jej plecak. – Wskazałam na kolorową plamę na trawniku. Ida Beaumont podążyła wzrokiem za moim palcem.

–Nie ma sprawy – odezwała się nieufnie. Mogła być po sześćdziesiątce, a z późniejszych artykułów dowiedziałam się, że utrzymywała się z zapomogi zdrowotnej i wdowiej renty. Słyszałam, że ma włączony telewizor. Oglądała jakiś talk show.

–Twoja siostra to taka ładna blondynka? – ciągnęła. – Widuję was często, jak tędy przechodzicie.

–Tak, proszę pani, to ona. Szukam jej. Widziała pani coś niezwykłego dzisiaj po południu? Powinna wracać tędy jakieś pół godziny temu.

–Zwykle przebywam w drugiej części domu – oświadczyła Ida z naciskiem, nie chcąc wyjść na wścibskie babsko. – Ale widziałam niebieską furgonetkę, starego dodge'a, właśnie około pół godziny temu. Jakaś dziewczyna rozmawiała z kierowcą. Nie widziałam jej dokładnie, stała za samochodem. Potem wsiadła i odjechali.

–Aha. – Usiłowałam poukładać to sobie w głowie, przypomnieć, czy znam kogoś z niebieską furgonetką, ale pamięć mnie zawodziła. – Dziękuję. To było pół godziny temu, tak?

–Tak – potwierdziła bez wahania. – Pół godziny.

–Czy wyglądało to tak, jakby... Jakby została zmuszona, by wsiąść?

–Raczej nie. Rozmawiali, wsiadła i odjechali.

–Dobrze. Bardzo dziękuję. – Przeszłam z powrotem na drugą stronę ulicy, a potem odwróciłam się. Beaumont nadal stała w drzwiach.

–Ma pani może telefon? – Mieszkaliśmy w dzielnicy, gdzie telefon nie był czymś oczywistym.

–Tak.

–Czy mogłaby pani zadzwonić na policję i powiedzieć o mojej siostrze? Będę czekała tutaj, obok plecaka.

Dostrzegłam niechęć na twarzy kobiety i wiedziałam, że żałuje teraz otwarcia mi drzwi.

–No dobrze – zgodziła się z westchnieniem. – Zawiadomię ich. – Nie zamykając drzwi, podeszła do wiszącego na ścianie aparatu. Widziałam, jak wykręca numer alarmowy, i słyszałam część rozmowy.

Muszę oddać sprawiedliwość policji, przybyli bardzo szybko. Naturalnie z początku nie wierzyli w zaginięcie Cameron.

Nastolatki mają tyle ciekawych rzeczy do roboty, że często spóźniają się do domu, szczególnie w takiej okolicy. Ale porzucony plecak przemówił chyba do nich, zaczęli podejrzewać, że siostra nie oddaliła się z własnej woli. W końcu rozplakałam się. Wyszlochałam, że muszę wracać do domu, bo matka nie jest w stanie zająć się młodszym rodzeństwem. Sprawa od razu stała się poważniejsza. Pozwolili mi zadzwonić do braci, a ci natychmiast postanowili wracać do domu. Ten brak sceptycyzmu na wieść o zniknięciu Cameron dodatkowo przekonał policjantów, że stało się coś niedobrego.

W innych okolicznościach powrót do przyczepy w obstawie policji byłby co najmniej upokarzający. Ale tak bardzo się bałam, że byłam wdzięczna za ich obecność. Zobaczyli, że matka leży na kanapie nieprzytomna, a dzieci zanoszą się płaczem. Straciła przytomność w trakcie zmieniania pieluchy Gracie, nie zdążyła jej zapiąć. Mariella usiłowała zrobić papkę bananową dla siostrzyczki (która właśnie zaczęła jeść normalne posiłki). Stała na krześle, by dosięgnąć blatu, który, na tyle czysty, na ile mógł być tak stary kawałek płyty, zarzucony był masą różnych rzeczy.

–Zawsze tu tak jest? – zapytał młodszy policjant, rozglądając się wokół.

–Zamknij się, Ken – zbeształ go partner.

–Robimy z Cameron, co możemy. – Znów się rozplakałam. Cała gorycz wylewała się ze mnie wraz ze strumieniami łez. Wiedziałam już, że nasze życie zmieni się od teraz i nie ma sensu

zachowywać pozorów. Łkając i nie przestając mówić, przewinęłam Gracie, zrobiłam kanapkę dla Marielli, zmiksowałam mleko z bananem dla Gracie i przełożyłam papkę do miseczki. Wyjęłam łyżeczkę z suszarki i wsadziłam Gracie do krzeselka. Przez cały ten czas matka poruszyła się tylko raz. Nie otwierając oczu, pogłodziła miejsce, gdzie przed chwilą leżało niemowie. Zabrałam się do karmienia malej, od czasu do czasu ocierając łzy.

–Dobrze ci idzie opieka nad siostrami – skwitował starszy policjant przyjaźnie.

–Bracia zarabiają tyle, że w ciągu dnia dziewczynki mogą być w żłobku, jak idziemy do szkoły. Wszyscy się staramy.

–Widzę – pochwalił.

Młodszy gliniarz odwrócił się, zaciskając usta.

–Gdzie wasz ojciec? – zapytał po chwili.

–Ojczym – sprostowałam automatycznie. – Nie wiem.

Po powrocie Matthew udawał zaskoczonego widokiem policji, zrozpaczonego na wieść o zaginięciu Cameron i zbulwersowanego, że żona biedaczka przespała całe to zamieszanie.

Nigdy nic podobnego się nie zdarzyło, wmawiał policjantom, do których dołączyli już inni. Jeden z nich wcześniej aresztował Matthew i teraz podsumował jego przedstawienie prychnięciem.

–Jasne, koleś. A gdzie spędziłeś popołudnie?

Jakiś czas później siedzieliśmy z Tolliverem na kanapie, z której zabrano matkę, żeby zawieźć ją do szpitala. Mark krążył nerwowo to tu, to tam po ciasnej przestrzeni w przyczepie. Kobieta z opieki społecznej przyszła zabrać nasze siostry. Matthew został aresztowany za posiadanie – w jego samochodzie znaleziono kilka skrętów. Narkotyki były tylko wymówką, myślę, że policjanci chcieli go zatrzymać po tym, jak zobaczyli warunki, w jakich mieszkamy, oraz po rozmowie ze mną. Mark i Tolliver potwierdzili wszystko, co mówiłam. Mark niechętnie, a Tolliver z rzeczowością, która świadczyła o tym, jak wyglądało nasze życie. Ale nocą, już po odjeździe policji, zobaczyłam, jak Mark płacze. Siedział na ogrodowym krzeselku przy schodkach, z twarzą ukrytą w dłoniach.

–Tak się staraliśmy, żeby nas nie rozdzielili – szepnął, jakby czuł potrzebę wytłumaczenia się.

–Już po wszystkim – powiedziałam. – Nic tego nie wróci teraz, jak Cameron już nie ma. Nie musimy już nic ukrywać.

W ciągu miesiąca od tamtych wydarzeń Cameron „widziano” wielokrotnie w Dallas, Corpus Christi, Houston, Little Rock. W Los Angeles zwinęto jakąś żebraczkę, bo przypominała

Cameron. Każde z tych zgłoszeń było fałszywym alarmem, a ciała mojej siostry nigdy nie odnaleziono. Jakieś trzy lata później bardzo przeżyłam, kiedy myśliwy w lasach koło Lewisville, w Arkansas, natknął się na zwłoki dziewczyny. Ciało, a raczej jego szczątki, należało do kobiety o wzroście i figurze Cameron. Jednak po badaniach okazało się, że kobieta była starsza od Cameron. Nigdy jej nie zidentyfikowano, ale kiedy zbliżyłam się do zwłok, wiedziałam, że popełniła samobójstwo. Nie poinformowałam o tym policji, i tak by mi nie uwierzyli.

Wtedy byliśmy już z Tolliverem w drodze, a nasz biznes się rozwijał. Krążyły o nas plotki, zaistnieliśmy w Internecie. Policja uważała, że jestem oszustką. Pierwsze dwa lata były dla nas bardzo trudne. Później wszystko nabrało rozpędu.

Teraz jednak nie było czasu na rozpamiętywanie własnych spraw, teraz musiałam myśleć o Cameron. Dotknęłam czule plecaka i wyjęłam z niego zawartość. Każdą rzecz oglądałam setki razy. Przejrzeliśmy każdy podręcznik kartka po kartce, szukając jakiegokolwiek śladu, wiadomości, czegokolwiek. Wszystkie notatki, jakie Cameron wymieniała z koleżankami z klasy, zostały zebrane i umieszczone w kieszeni plecaka. Przeczytaliśmy słowo po słowie, licząc, że znajdziemy tam wskazówkę, która pomoże zrozumieć, co stało się z naszą siostrą.

Tania zwracała uwagę Cameron, że Heather głupio się ubiera. Ta sama dziewczyna napisała, że Jerry powiedział, że uprawiał sex z Heather, kiedy wyjechali na weekend. Jennifer informowała Cameron, że jej brat, Tolliver, to ciacho, i pytała, czy ma dziewczynę. A przy okazji, pan Arden to głupi bałwan, no nie? Todd pytał, o której przyjechać po nią przed imprezą i czy będzie się przygotowywała w domu Jennifer, jak ostatnio.

Cameron starała się umawiać poza domem, aby chłopcy przyjeżdżali po nią gdzie indziej, nie do przyczepy. Nie dziwiłam się jej.

Była też notka od pana Ardena z prośbą o osobiste stawienie się rodziców i usprawiedliwienie nieobecności Cameron w szkole. Podpis nie wystarczył. Arden powiedział potem policji, że Cameron opuszczała wyjątkowo dużo lekcji i chciał, aby rodzice dopilnowali jej frekwencji, bo inaczej groziło jej nieklasyfikowanie. Jednak Cameron nie opuszczała jego zajęć z lenistwa czy roztrzepania. Odbywały się one na ostatniej lekcji, a czasami musiałyśmy wyjść wcześniej, żeby odebrać dziewczynki ze żłobka, kiedy Mark i Tolliver dłużej pracowali.

Oczywiście wszyscy nauczyciele wyrażali zaskoczenie i byli wstrząśnięci, kiedy wyszły na jaw warunki, w jakich żyliśmy. Wszyscy, oprócz pani Briarly, która powiedziała: „A co niby mieliśmy zrobić? Zadzwoń na policję, żeby ich rozdzielono? Żeby już nie mieli nawet siebie?”.

Ale właśnie tak uważała prasa i pani Briarly otrzymała reprimendę od dyrekcji. Bardzo mnie to rozgniewało. Briarly uczyła ulubionego przedmiotu Cameron, zaawansowanej biologii. Pamiętam, ile wysiłku włożyła siostra w referat na temat genetyki, spisując kolory oczu rodzin mieszkających w sąsiedztwie. Pani Briarly dała mi tę pracę po zaginięciu Cameron.

Ida Beaumont musiała opowiadać swoją historię setki razy. W końcu przestała otwierać drzwi i poprosiła panie z kółka kościelnego o dostarczanie zakupów.

Matka i ojciec Tollivera zostali skazani. Postawiono im wiele zarzutów, od zaniedbywania dzieci do posiadania i handlowania narkotykami. Tolliverowi pozwolono zamieszkać z Markiem. Ja poszłam do rodziny zastępczej, całkiem przyzwoitej zresztą. Odetchnęłam z ulgą, ciesząc się domem, który miał porządne ściany i dach, był czysty i to nie ja sama musiałam go sprzątać; gdzie dzieliłam pokój tylko z jedną dziewczyną, a nauka po szkole należała do obowiązków. (Nadal wysyłałam co roku na święta kartkę do Clevelandów). Zastępczy rodzice pozwolili Tolliverowi odwiedzać mnie w soboty wolne od pracy.

Do egzaminów mieliśmy już opracowany plan na życie z wykorzystaniem moich dziwacznych umiejętności. Godzinami przesiadywaliśmy na cmentarzu, trenując i sprawdzając moje możliwości. Co dziwniejsze, był to szczęśliwy okres mojego życia, Tollivera chyba także. Największą bolączką stanowiła utrata sióstr. Cameron zniknęła, a Mariella i Gracie zamieszkały z ciotką.

Otworzyłam podręcznik do matematyki. Cameron przerabiała poszerzoną matematykę, której nie znosiła. Nie miała ścisłego umysłu. Najlepiej szła jej historia, lubiła ten przedmiot. Łatwiej było zgłębiać szczegóły życia ludzi, którzy już nie żyli, a ich problemy należały do przeszłości. Cameron dobrze radziła sobie też z ortografią i lubiła nauki przyrodnicze, szczególnie biologię.

Gazety rozpisywały się na temat warunków panujących w przyczepie, degrengolady Laurel i Matthew, objętości kartotek ich znajomych oraz trudu, jaki my, dzieci, zadawałyśmy sobie, aby zostać razem.

Po prawdzie nie sądzę, żeby nasza sytuacja była szczególnie wyjątkowa. Dzieciaki nie rozmawiały o tym, ale i tak wiedzieliśmy, że bywają i takie domy, gdzie dzieje się nawet gorzej.

Na biedę niewiele można poradzić, ale mimo niej można być dobrym człowiekiem. Niestety, nasi rodzice zawali na obu frontach.

Otworzyłam jeden z zeszytów Cameron. Liniowane strony zapisane jej równym pismem były wszystkim, co mi po niej zostało. Cameron jako jedyna poza mną pamiętała dobre czasy, kiedy mama i tata, jeszcze jako małżeństwo, nie ćpali. Nawet jeśli ojciec ciągle żył, wątpię, by to pamiętał.

Otrząsnęłam się, nie chciałam się rozklejać. Ale musiałam przypomnieć sobie ten dzień, w którym zniknęła Cameron. Jeśli rzeczywiście wsiadła do tamtej furgonetki z własnej woli, mogłam przestać jej szukać. Nie tylko dlatego, że okazałoby się, iż jest mi całkiem obca – po prostu nie byłoby zwłok, które mogłabym wyczuć. Chyba że coś jej stało w międzyczasie. Jeśli Cameron umarła, to – jak na ironię – miałam szansę ją odnaleźć.

Ciekawe, czy Ida Beaumont jeszcze żyła. Wtedy, jako młodej dziewczynie, wydawało mi się, że już stała nad grobem. Policzyłam lata i uświadomiłam sobie, że teraz miałaby jakieś sześćdziesiąt pięć lat.

Kierowana nagłym impulsem zadzwoniłam na informację texarkąską, odkrywając, że Ida nadal figuruje w spisie abonentów. Wystukałam numer, zanim zastanowiłam się, co i dlaczego robię.

–Słucham? – zachrypiał podejrziwie głos w słuchawce.

–Pani Beaumont?

–Przy telefonie.

–Mówi Harper Connelly. Pamięta mnie pani? Chwila głuchoj ciszy.

–Czego chcesz?

Nie takiego pytania się spodziewałam.

–Mieszka pani tam, gdzie kiedyś, pani Beaumont? Może mogłabym panią odwiedzić? Wpadłabym z jednym z braci.

–Nie – zaprotestowała stanowczo. – Nie przychodź tu. Nigdy więcej do mnie nie przychodź. Po ostatnim razie ludzie całymi tygodniami nie dawali mi spokoju, w dzień i w nocy. Policja nadal tu bywa. Trzymaj się ode mnie z daleka.

–Mam kilka pytań – ciągnęłam, mając nadzieję, że determinacja w moim tonie równoważyła gniew.

–Policja zadała mi setki pytań – warknęła kobieta. Od razu wiedziałam, że uderzyłam w złą strunę. – Żałuję, że ci wtedy otworzyłam.

–Ale wtedy nie opowiedziałaby mi pani o niebieskiej furgonetce.

–Mówiłam ci, że nie widziałam dokładnie tej dziewczyny.

–Tak – potwierdziłam. Rzeczywiście, tak mówiła, ale w ciągu tych wszystkich lat fakt ten uległ zatarciu. Szukałam dziewczyny, ona widziała jakąś wsiadającą do samochodu, a plecak Cameron leżał na poboczu.

W słuchawce rozległo się westchnienie i Ida Beaumont zaczęła mówić.

–Jakieś pół roku temu zaczęła do mnie przychodzić dziewczyna z opieki społecznej. Jedzenie jest kiepskie, ale darmowe i czasem nawet można na nim przetrwać kolejny dzień. Nazywa się Missy Klein.

–Tak? – Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Serce podeszło mi do gardła w przeczuciu, że zaraz usłyszę coś złego.

–I tak mi kiedyś powiedziała: „Pani Beaumont, pamięta pani tę dziewczynę, która wsiadła do niebieskiej furgonetki?”. A ja jej na to: „Tak, przeklęty dzień. Wszystko się od tego zaczęło”.

–Uhm. – Złe przeczucia przybrały na sile.

–No i powiedziała mi, że to była ona, a samochód należał do jej chłopaka. Nie chciała, żeby ktoś ją widział, bo on miał dwadzieścia lat.

–A więc to nie była moja siostra.

–Nie. To była Missy Klein, która teraz przynosi mi jedzenie.

–Nie widziała pani mojej siostry.

–Nie, nie widziałam. Missy powiedziała mi też, że plecak już tam leżał, kiedy wsiadła do furgonetki.

Poczułam się tak, jakby zwała się na mnie tona cegieł.

–Mówiła pani o tym policji? – wydukałam wreszcie.

–Nie, nie zadzwonię na policję. Pewnie powinnam, ale... Od tamtej pory przychodzą tu czasem i jeszcze wypyują. Peter Gresham przychodzi. Pomyślałam, że powiem mu o tym następnym razem.

–Dziękuję. Szkoda, że nie wiedziałam o tym wcześniej. Ale i tak dziękuję.

–Nie ma sprawy. Bałam się, że będziesz zła. – Zaskoczyła mnie tym stwierdzeniem.

–Dobrze w takim razie, że zadzwoniłam. Do widzenia – głos miałam tak odrętwiały jak serce. W każdej chwili mogły powrócić do mnie uczucia. Chciałam zakończyć tę rozmowę, zanim to się stanie.

Ida Beaumont jeszcze mówiła coś o opiece społecznej, kiedy odkładałam słuchawkę.

Zanim otrząsnęłam się z wrażenia po tym, co właśnie usłyszałam, zadzwoniła Lizzy Joyce.

–Mój Boże – zaczęła. – Nie mogę uwierzyć, że Victoria nie żyje. Przyjaźniliście się z nią, prawda? Od wielu lat? Tak mi przykro. Jak to się mogło stać? Myśli pani, że to ma coś wspólnego z poszukiwaniami dziecka?

–Nie mam pojęcia – skłamałam. Nie sądziłam, by Lizzy miała coś wspólnego z morderstwem Victorii, ale uważałam, że ktoś z jej otoczenia jest w to zamieszany. Zastanawiałam się,

dłaczego do mnie dzwoni. Niewiarygodnie bogata Lizzy Joyce nie miała żadnej przyjaciółki, żeby obgadać z nią ten temat? A gdzie siostra, chłopak i brat? Dlaczego nie dzwoni do ludzi, z którymi siedzi w zarządach albo z którymi pracuje, albo do fryzjerek czy manicurzystek, które przygotowują ją na wielkie przyjęcia, albo do pomocników, którzy ustawiają jej beczki do treningów? Po chwili przyszło mi do głowy, że chciała porozmawiać z kimś, kto zna sprawę i samą Victorię, a ja akurat spełniałam oba te warunki.

–Chyba zwrócę się w tej sprawie do ludzi, których zatrudniał dziadek – kontynuowała. – Myślałam, że lepiej będzie wynająć kogoś pracującego samodzielnie, niezwiązanego z nami, nieznanego rodziny. Ale Victoria nie żyje, i to chyba przez to. Gdybym od razu poszła do agencji, nic by jej się nie stało.

Trudno było obalić logikę tego wywodu.

–Macie agencję detektywistyczną na usługach? – zapytałam.

–Dziadek związał się z nimi, kiedy stanął na czele dużego przedsiębiorstwa. Już nie tylko rancza. Chciał wiedzieć, kogo zatrudnia, przynajmniej na kluczowych stanowiskach – wyjaśniła, zaskoczona, że w ogóle o to pytam.

–To czemu ci ludzie nie sprawdzili Mariah Parish?

–Dziadek poznał ją, kiedy pracowała dla Peadenów, więc gdy sam potrzebował opieki, a ona była akurat wolna, jakoś tak samo wyszło. Chyba uważał, że ją zna i nie trzeba jej sprawdzać. W końcu nie zatrudnialiśmy jej do prowadzenia księgowości czy obracania pieniędzmi.

Nie zaufałyby jej, jeśli chodzi o pieniądze, ale wierzył, że gotując, nie otruje go, a sprzątając, nic nie ukradnie. Nawet podejrzliwi bogacze potrafią być ślepi. Biorąc pod uwagę to, czego dowiedziałam się o Mariah z teczek Victorii, uznałam jego ufność za ironię losu.

Nie wiedziałam natomiast, że Rich Joyce spotkał Mariah jakiś czas przed tym, jak ją zatrudnił. O tym Drex nie wspominał podczas naszego spotkania w restauracji. Może Rich uznał, że zatrudnienie kochanki jako opiekunki będzie świetnym sposobem na ukrycie romansu przed wnukami? Może nawet przyjaciel, który wcześniej ją zatrudniał, powiedział Richowi, że z nią sypia? Słowo do słowa... Młoda kobitka, która nieźle gotuje, podaje pigułki i ogrzeje cię w łóżku, Rich. I możesz ją mieć na miejscu.

–Nie pomyśleliście nawet, żeby ją sprawdzić, tak jak robicie to w przypadku innych pracowników?

–Cóż... – zająknęła się Lizzy stropiona. – Dziadek ustalił z nią sprawy osobiście, dowiedzieliśmy się po wszystkim. Był przekonany co do swojego pomysłu, nie mieliśmy za wiele do powiedzenia.

Wnuki musiały czuć respekt przed patriarchą rodu.

–A później też jej nie sprawdziliście?

–Dowiedziałby się. Wtedy powinnam była zatrudnić kogoś z zewnątrz. Mówiąc szczerze, w tamtym czasie nie myślałam o takich sprawach. To było całe lata temu. Byłam młodsza, mniej pewna siebie i oczywiście wierzyłam, że dziadek będzie żył wiecznie. – Lizzy zamilkła na moment, zrozumiawszy, że zapędziła się w zwierzeniach. – Tak, chciałam więc tylko powiedzieć, że przykro mi z powodu śmierci pani znajomej. A co u brata? Ta sprawa paskudzi się coraz bardziej.

–Żałuje pani, że się ze mną skontaktowała?

–Prawdę mówiąc, owszem, żałuję – odrzekła po namyśle. – Giną ludzie, inaczej tak by się nie stało. Czy coś się zmieniło? Czy wiem więcej? Nie. Dziadek dostał zawału na widok grzechotnika. Nie mamy pewności, czy był tam ktoś jeszcze. Nie wróciło mu to życia. Mariah także nie żyje, a w dodatku teraz wiem, że nie spoczywa w pokoju. Teraz, kiedy dowiedziałam się, że umarła przy porodzie, ciągle o tym myślę. Gdzie jest to dziecko? Czy jest moim krewnym? Wujem? Ciotką? Nadal nie znam żadnych odpowiedzi. I może nigdy nie poznam.

–Ktoś zadaje sobie sporo trudu, żeby pani ich nie poznała – zauważyłam. – Do widzenia. – Rozłączyłam się.

Manfred wpadł, żeby zapytać, co słyhać. Ucieszyłam się na jego widok, ale nie miałam ochoty na rozmowę. Zapytał o plecak.

–To mojej siostry. Znalazłam go tego dnia, kiedy zniknęła.

Musiałam wyjść na moment, bo Tolliver mnie wołał. Obudził się i prosił o tabletkę przeciwbólową. Zasnął jednak, zanim ją połknął. Kiedy wróciłam do saloniku, Manfred cofał rękę od plecaka. Miał zatroskaną minę.

–Przykro mi, Harper, że cię to spotkało.

–Dzięki, Manfred, ale to mojej siostry powinieneś żałować. Ja oberwałam tylko rykoszetem.

–Muszę lecieć. Wkrótce pewnie się zobaczymy. Nie martw się, jeśli przez kilka dni będę poza zasięgiem. Mam zlecenie.

–Ach... W porządku. – Nie pomyślałam nawet o martwieniu się. Ucałował mnie w policzek, a kiedy wyszedł, byłam równie zadowolona jak na jego widok. Usiadłam na sofie, pogrążając się w rozmyślaniach o siostrze.

To była ciężka noc. Zasnęłam dopiero po północy.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Następnego ranka Tolliver obudził się w zdecydowanie lepszej formie. Przespał dwanaście godzin i był pełen energii, co też zaraz mi udowodnił. Musieliśmy uważać, ale wzięłam cały ciężar aktywności na siebie i daliśmy radę. Zupełnie nieźle. A nawet wspaniale. Było mu tak dobrze, że myślałam, że odleci. Po wszystkim leżał, ciężko oddychając, tak jakby to on się napracował. Padłam obok niego, roześmiana i zadyszana.

–No, teraz czuję się znów sobą – oświadczył Tolliver. – Taka bezsilność, kiedy jesteś przykuty do łóżka i nie możesz nawet uprawiać seksu, strasznie odziera z męskości. Człowiek czuje się bezradny jak dziecko.

–Może wskoczmy w samochód i pojedziemy do St. Louis? – zaproponowałam. – To tylko dzień drogi, na pewno byś wytrzymał.

–A co z naszymi planami, żeby tu zostać i pobyć trochę z dziewczynkami? Co ze sprawdzeniem powiązań ojca z Joyce'ami i Cameron?

–Może miałeś rację i powinniśmy zostawić Mariellę i Gracie ciotce? Mają tu stabilizację, a my ciągle jesteśmy w drodze. Nigdy nie będziemy mogli być stałym elementem ich życia. A ojciec? I tak prędzej czy później czeka go piekło. Cokolwiek zrobimy, najwyżej opóźni nieuniknione, a tak przynajmniej uwolnilibyśmy się od niego.

Tolliver popatrzył na mnie przeciągle.

–Chodź do mnie. – Złożyłam głowę na jego ramieniu. Nie skrzywił się, więc nie uraziłam rany. Poglądziłam go po torsie, tej części niezakrytej opatrunkiem. Zadumałam się nad okresem, kiedy już odkryłam, że go kocham jako mężczyznę, i chwilą, gdy dowiedziałam się, że on czuje do mnie to samo. Nie miałam pojęcia, jak zdołałam to przetrwać. Mieliśmy niesamowite szczęście. Wiedziałam też, że tkwi we mnie coś, co budziło we mnie lęk – coś, co popchnęłoby mnie do każdego rodzaju działania w obronie tego związku.

–Wiesz, co powinniśmy zrobić? – zapytał. – Co?

–Powinniśmy wybrać się na wycieczkę.

–Hm? A gdzie?

–Do Texarkany. Zamarłam na moment.

–Mówisz poważnie? – Uniosłam głowę, spoglądając mu w oczy.

–Owszem. Czas tam wrócić, rozejrzeć się i skończyć z tym.

–Skończyć?

–Tak. Musimy przyjąć wreszcie do wiadomości, że nie uda nam się znaleźć Cameron.

–Właśnie, muszę ci coś powiedzieć.

–Tak? – zapytał pełen niechęci. Z pewnością nie spodoba mi się jego reakcja, ale jemu tym bardziej nie spodoba się to, co ja miałam do powiedzenia.

–Wczoraj, kiedy spałeś, podzwoiłam trochę – zaczęłam. – I miałam też parę telefonów. Posłuchaj.

–Ta kobieta się pomyliła? – mówił Tolliver godzinę później. – Przez cały ten czas opieraliśmy poszukiwania na błędnym założeniu? Pomyliła się?

–Nigdy nie twierdziła, że widziała tę dziewczynę dokładnie. Mówiła tylko, że zauważyła plecak po tym, jak jakaś blondynka wsiadła do samochodu. Kto wie? Wracamy do punktu wyjścia. W zasadzie... – Zastanowiłam się przez moment. – W zasadzie to zmienia wszystko, jeśli chodzi o czas wydarzeń. Według niej samochód podjechał pół godziny przed moim przyjściem, a ja wyruszyłam na poszukiwania prawie punkt pięta. Teraz okazuje się, że wszystko mogło stać się wcześniej.

–Ale Cameron wyszła ze szkoły o czwartej, to wiemy na pewno?

–Tak. W każdym tak zeznała jej koleżanka, ta... Rebecca. Ale mówiła też, że nie jest pewna. Dekorowały salę przez kilka dni z rzędu, po lekcjach i wychodziły po zakończeniu zajęć w szkole. Zawsze myślałam, że Cameron zatrzymywała się jeszcze, żeby pogadać ze znajomymi na parking, ale teraz wydaje mi się, że raczej od razu szła do domu. Ty pracowałeś w restauracji, a Mark jeździł pomiędzy zmianami w Taco Bell i Super Save-a-Lot.

–To siedem minut drogi – dodał Tolliver automatycznie. Rozmawialiśmy o tym setki razy.

–Twój ojciec był u Simpkinsa od około czwartej do wpół do siódmej. Matka jak zwykle była nieprzytomna.

Spojrzeliśmy na siebie. Przy takich założeniach Matthew niekoniecznie miałby alibi.

–Nieważne, co o nim sędzę, ale i tak nie chce mi się w to wierzyć – powiedziałam.

–Musimy jechać do Texarkany.

–Zadzwońmy do pielęgniarki i zapytajmy, czy możesz.

Pielęgniarka stanowczo zaprotestowała. Kazała Tolliverowi bezwzględnie pozostać w pokoju hotelowym. Nie ustąpiła, mimo że obiecaliśmy powziąć wszelkie możliwe środki ostrożności. Z zadowoleniem przyjęła wiadomość, że pacjent czuje się lepiej, ale ostrzegła, że szybko się będzie męczył.

Oczywiście mogliśmy zignorować jej zalecenia i postąpić według własnego widzimisię, ale nie zgodziłam się na to. Uznałam, że pielęgniarka ma rację i choć z zadowoleniem przyjąłabym gotowość Tollivera do podróży, dla czystego sumienia nie chciałam oddalać się od szpitala, na wypadek gdyby się coś stało. Oczywiście w Texarkanie też byli lekarze i szpitale, ale rozsądek podpowiadał, że najlepszą opiekę zapewni lekarz, który prowadzi go od początku.

Spojrzeliliśmy po sobie. Mieliśmy kilka możliwości. Odłożyć wyprawę do Texarkany, póki Tolliver nie wydobrzeje; poprosić Manfreda, o ile był w pobliżu i miał czas, żeby pojechał ze mną; albo zapytać Marka, czy mógłby zwolnić się z pracy na cały dzień, żeby mi towarzyszyć.

–No i oczywiście mogę też jechać sama – zakończyłam.

Tolliver zaprzeczył stanowczym potrząśnięciem głowy.

–Wiem, że możesz i na pewno byś sobie świetnie poradziła. Ale tu chodzi o Cameron i uważam, że powinniśmy jechać razem. Przeczekamy dzisiaj, jutro, jeśli będzie trzeba. A potem bez względu na wszystko pojedziemy.

Ucieszyłam się, że mamy w końcu jakiś plan, a tym bardziej że Tolliver wrócił już do siebie na tyle, by go ułożyć. Zadzwoiła Iona z zaproszeniem na kolację, o ile Tolliver będzie w stanie podróżować. Kiwnął, więc odparłam, że chętnie się z nimi zobaczymy. Nawet nie pytałam, czy coś przynieść, bo nie miałam pomysłu, co by to mogło być. Poza tym Iona zawsze odmawiała, jakby uważała, że cokolwiek przyniosę, będzie podejrżane. Dzień dłużył się niemiłosiernie. Męczyły nas nuda i niecierpliwość.

Wreszcie ostrożnie sprowadziłam Tollivera na dół do samochodu. Jechałam bardzo powoli, omijając wszelkie nierówności na drodze. To niełatwe w Dallas, ale i tak gratulowałam sobie w duchu, że wybrałam jazdę przez miasto, zamiast pchać się w korki na obwodnicy.

Tereny na wschód od Dallas to jedno wielkie przedmieście. Znajdują się tu wszystkie możliwe magazyny, jakie spotyka się w takich rejonach: Bed Bath Beyond, Home Depot, Staples, Old Navy, Wal-Mart. Wyjeżdżając z jednego ich skupiska, praktycznie rzecz biorąc, zaraz wjeżdża się w drugie. Z jednej strony można w ten sposób kupić wszystko, czego dusza zapragnie, o ile nie jest to zbyt egzotyczne. Z drugiej jednak... W całych Stanach Zjednoczonych są te same sklepy. Wiele podróżowaliśmy, ale gdyby nie różnice klimatyczne, trudno byłoby odróżnić przedmieścia jednej aglomeracji od drugiej, choć czasem dzieliło je pół kontynentu.

Podobnie jak ze sklepami było też z architekturą. Dom Iony widywaliśmy wszędzie, od Memphis do Tallahassee, od St. Louis do Seattle.

Po raz setny przerabialiśmy ten temat po drodze, z czego nawet byłam zadowolona, bo mogłam ograniczyć się do wypowiedzi w stylu: „Masz rację”, „To prawda” od czasu do czasu.

Dziewczynki zarzuciły Tollivera pytaniami o opatrunek i okoliczności wypadku. Iona

powiedziała im, że został postrzelony, bo ktoś nieostrożnie czyścił broń, co pozwoliło Hankowi na pogadankę o zasadach bezpieczeństwa. Hank powiedział nam, że ma broń, ale trzymają w zamkniętej szafce, a klucz dodatkowo chowa. Ponieważ wujostwo starali się być najlepszymi rodzicami na świecie, dziewczynki od małego uczone zasady postępowania z bronią. Cieszyło mnie to oczywiście, ale wolałabym, żeby tematem tych pogadank była kwestia samego posiadania broni. Niestety, to nie zgadzało się z Hankowym postrzeganiem prawdziwie amerykańskiego obywatelstwa, więc mój pomysł nie wywarł wrażenia na wujostwie.

Po oswojeniu się z widokiem temblaka Tollivera dziewczynki wróciły do swoich zajęć. Mariella odrabiała lekcje, Gracie uczyła się piosenki na chór, a Iona kończyła gotowanie. Hank zabrał Tollivera do pokoju, gdzie mogli obejrzeć wiadomości, więc zaproponowałam ciotce, że pomogę jej, myjąc naczynia, które zebrały się w zlewie podczas robienia kolacji. Zgodziła się z uśmiechem, więc zakasawszy rękawy, wzięłam się do roboty. Lubię zmywanie. Mogę przy tym spokojnie pomyśleć, podyskutować z płynem do naczyń albo porozkoszować się dobrze wykonaną pracą.

–Matthew wpadł dzisiaj na chwilę – odezwała się Iona, mieszając chili. – Dzwonił kilka dni temu, pytając, czy może zobaczyć się z dziewczynkami. Przemyśleliśmy sprawę. Wtedy na wrotkowisku mocno je przestraszył. Pomyśleliśmy, że jeśli spotkają się z nim przy nas, uspokoją się, a on nie będzie już próbował nachodzić ich zniechcąco, bo zrozumie, że nie utrudniamy mu kontaktów.

Rozsądne podejście do sprawy. Kiwnęłam głową, choć z pewnością nie zależało jej na mojej aprobacie.

–Załóżę się, że nie chodziło o samo spotkanie. Czego jeszcze chciał? – Matthew przez ostatnie kilka dni był najwyraźniej bardzo zajęty. Ciekawe, kiedy znajdował czas na pracę zawodową.

–Prosił o aktualne zdjęcia dziewczynek, nie miał żadnych nowych. Wysyłaliśmy mu do więzienia szkolne fotografie, ale ponoć ktoś je zabrał. Ci przestępcy kradną sobie wszystko.

–Matthew jest jednym z nich.

–Masz rację – zaśmiała się. – No, ale skoro chciał mieć zdjęcia córek, to przecież nic wielkiego. Choć teraz to nasze córki, co oczywiście odpowiednio podkreśliłam.

–Rozmawiał z nimi? – zapytałam zaciekawiona.

–Nie. – Iona poszła na korytarz sprawdzić, co robią Mariella i Gracie. Grały w swoim pokoju w grę wideo, więc wróciła do kuchni.

–Nie rozumiem tego człowieka – podjęła. – Bóg pobłogosławił go wspaniałymi dziećmi. Tolliver i Mark są porządnymi chłopcami. Do tego dwie przybrane córki, ty i Cameron, obie ładne i mądre. Żadne z was nie wpadło w narkotyki. A później jeszcze urodziły mu się dwie

kolejne. Mariella uczy się coraz lepiej. Poza tą jedną ucieczką zeszłej jesieni dobrze sobie radzi w szkole. Gracie jest słabsza, zawsze w tyle za rówieśnikami, ale nie narzeka, nie skarży się, ciężko pracuje. Jednak Matthew nie wykazywał nimi szczególnego zainteresowania. Wziął zdjęcia, ale rozmawiał tylko ze mną i Hankiem. Dziewczynki nie bardzo wiedzą, jak się zachowywać w stosunku do niego.

–Nie pamiętają mieszkania w Texarkanie.

–Nie do końca. Czasem o tym wspominają, ale nic konkretnego. Gracie była w zasadzie niemowlęciem, a Mariella jest od niej niewiele starsza. – Iona wruszyła ramionami. – Wiem, że moja siostra i Matthew często zawodzili, gdy ich potrzebowaliście.

Łagodnie powiedziane.

–Nigdy nie podziękowałam ci, że wzięliście je z Hankiem – rzekłam, zaskakując nawet siebie. – Pewnie niełatwo było z bezdzietnego małżeństwa stać się nagle rodzicami dwójki maluchów.

Iona przestała mieszać i odwróciła się do mnie. Wycierałam naczynia i odkładałam je na blat, żeby sama powkladała je do szafek.

–Dziękuję. Choć zrobiłam to z radością, a przyjęcie ich do naszego domu było właściwym postępkim. Modliliśmy się o to i odpowiedź sama przyszła. Kochamy dziewczynki, jakby były naszymi rodzonymi dziećmi. Nie mogę uwierzyć, że teraz będziemy mieli własne. W moim wieku! Czasami czuję się jak żona Abrahama, siedemdziesięciolatka z dzieckiem.

Do końca przygotowań rozmawiałyśmy o niespodziewanej ciąży Iony. O ginekologu, badaniach, które musi przejść podczas pierwszej ciąży w tym wieku, i całej reszcie spraw z tym związanych. Po raz pierwszy w życiu widziałam Ionę tak szczęśliwą. Rozmowa na każdy temat związany z obecnym stanem sprawiała jej przyjemność. Starłam się robić wrażenie równie radosnej, koncentrować na zadawaniu odpowiednich pytań, ale część mojej uwagi skupiała się na trosce, jaką wzbudziła we mnie wieść o odwiedzinach Matthew i jego prośbie o zdjęcia. Na pewno nie chodziło mu o te zdjęcia, bo był dumnym ojcem i chciał chwalić się wspaniałymi córeczkami. Matthew nigdy nie robił nic tak zwyczajnego i prostolinijnego.

Tolliver zasiadł przy stole jako pierwszy, żeby wygodnie usadowić się z ręką na temblaku. Dopiero potem przyszła kolej na Hanka. Iona podała chili i pieczywo kukurydziane, a ja starłam ser do posypania parującej potrawy. Odmówiliśmy modlitwę dziękczynną i zabraliśmy się do jedzenia. Iona nigdy nie wyglądała mi na świetną kucharkę – brakowało jej pasji. Nie używała świeżych składników, jak kucharze w telewizji, nie podróżowała i podejrzliwie traktowała cudzoziemską kuchnię. Ale jej chili było wyśmienite, a na widok pieczywa aż ślinka ciekła. Pożarliśmy z Tolliverem po dokładce, co przyjęła z zadowoleniem. Mariella i Gracie paplały o szkole i koleżankach. Dobrze, że dogadywały się z innymi dziećmi. Gracie, w zielonej koszulce pasującej do koloru oczu, wyglądała jak skrzat, choć zadziornie zadarty nos wskazywał, że

raczej nie należy do tych dobrotliwych duszków. Zabawna z niej była istotka. Podekscytowana, opowiadała dowcipy, które słyszała od kolegów z klasy, i dopytywała się, czy jeśli zostanie trochę chili, dostaną jutro z nim hot dogi. Mariella wspomniała kilkakrotnie o wizycie Matthew, chcąc skierować rozmowę na temat, który wyraźnie ją martwił. Za każdym razem Iona i Hank odpowiadali jej spokojnie i widziałam, że obawy siostrzyczki się zmniejszają.

Wyszliśmy z Tolliverem wkrótce po kolacji, żeby nie zaburzać rozkładu dnia dziewczynek. Ku mojej uldze temat naszego ślubu przegrał z pełnymi ekscytacji rozważaniami siostr na temat imienia dla nowego dziecka.

W drodze do hotelu Tolliver milczał, a ja, jadąc po ciemku, musiałam skupić się na prowadzeniu. Tylko raz źle skręciłam, ale błąd szybko dał się naprawić i już bez dalszych przeszkód dotarliśmy na miejsce. Pomogłam Tolliverowi wysiąść. Choć zmęczony, ruszał się już sprawniej.

–Hank wspominał, że ojciec wziął zdjęcia dziewczynek – odezwał się, kiedy przechodziliśmy przez hol.

–Tak, Iona też mi o tym mówiła. Chyba dobrze postąpili, pozwalając, by dziewczynki zobaczyły się z nim w ich obecności i nabrały dystansu do tego, co się stało.

–Tak, to było rozsądne – zgodził się Tolliver nieobecny tonem. – Ciekawe, po co mu tak naprawdę te zdjęcia.

–Hm, sama się nad tym zastanawiałam. Przecież nie jest typem ojca, który chce się pochwalić córkami na Facebooku, prawda?

–Wątpię, żeby o to chodziło – przyznał Tolliver rzeczowo. – Słuchaj, zajmowałaś się małymi od samego początku.

–No, razem z Cameron. Szczególnie Gracie, wiesz, jaka była słabiutka. – Minęliśmy kontuar, za którym zaczytana recepcjonistka pożerała ciastko. Zerknęła na nas, po czym wróciła do lektury.

–Pamiętasz, jak Gracie wylądowała w szpitalu?

–Pewnie. Byłam przerażona. Mogła mieć ze trzy miesiące i była taka maleńka. Urodziła się z niedowagą. Bardzo gorączkowała przez kilka dni. Wyklócałyśmy się z twoim ojcem, żeby zawiózł ją do szpitala albo zadzwonił na pogotowie. Matka jak zwykle była naćpana, więc nie mogła iść. Żaden lekarz nie zostawiłby jej dziecka, widząc ją w takim stanie. Matthew był na nas wściekły, ale w końcu zadzwonił do kumpla, który chyba miał u niego jakiś dług albo płacił za prochy, bo nagle się okazało, że jedzie do szpitala, i to już. Ledwie miałyśmy czas, żeby zmienić małej pieluchę i upewnić się, że zapiął ją w foteliku, tak mu się spieszyło. Zabrał ją do Wadley.

–Skąd wiesz?

Otworzyłam drzwi, przepuszczając Tollivera w progu.

–To znaczy? Zabrał ją do szpitala i przywiózł dwa tygodnie później. Leżała na intensywnej terapii, więc nie mogliśmy jej odwiedzać, ale on z nią został. Myślisz, że nas okłamał? Kiedy wrócili, wyglądała świetnie, wprost nie mogłam uwierzyć, że to to samo... – Zamarłam.

–Że to Gracie, tak? – dokończył Tolliver po chwili.

Zakryłam dłonią usta. Tolliver przysiadł na kanapie.

Odzyskawszy zdolność ruchu, opadłam na fotel i spojrzałam na niego.

–Opiekowałaś się Gracie częściej niż Cameron.

–Tak, była wtedy w ostatniej klasie i miała więcej nauki, a ja i tak po tym wypadku dużo siedziałam w domu.

–To przez ten piorun, prawda? Jeszcze długo po nim miałaś różne dolegliwości?

–Nie pamiętasz? Minęło dobre kilka miesięcy, zanim nauczyłam się jakoś sobie z tym radzić. Bolała mnie głowa i wszystko, chodziłam jak nieprzytomna. Ale starałam się zajmować dziewczynkami – odpowiadałam z niemiłym uczuciem, że się tłumaczę.

–Przestań, świetnie się nimi opiekowałaś. Dzięki tobie wszystko to działało. Ale nie w tym rzecz. Przez te wszystkie dolegliwości po wypadku mogłaś czegoś nie zauważyć, a przecież do tego jeszcze zaczęłaś wyczuwać zmarłych.

Rzeczywiście, to był dla mnie koszmaryny okres. Nastolatki nie radzą sobie dobrze z jakąkolwiek odmiennością od reszty rówieśników.

–Chcesz powiedzieć, że mogłam nie zauważyć różnic, jeśli chodzi o dziecko? Myślisz, że Matthew zabrał jedno, a przywiózł inne? I że prawdziwa Gracie nie żyje?

Przytaknęłam.

–To Chip bywał u nas w przyczepie. Mam wrażenie, że go kojarzę. Możliwe, że Dreksa też, ale Chipa na pewno. Robił jakieś narkotykowe interesy z ojcem.

–Boże... Dlatego wydawało mi się, że skądś ich znam. A jeśli to jeden z nich przywiózł Bowdena tamtej nocy na ranczo i chciał pozbyć się dziecka, nie zabijając go...

–Mogli zadzwonić do Matthew, który miał córkę zbyt chorą i słabą, by przeżyła.

–Jak mogli zrobić coś takiego? Jak mogli zakładać, że Matthew podmieni dzieci? A zresztą

po co?

–Zakładając, że to biologiczny potomek Mariah i Richa Joyce'a, dziewczynka jest warta miliony.

Na chwilę odebrało mi mowę.

–Ale czemu jej nie zabili? Przecież wtedy wszystko wróciłoby do normy, spadek przypadłby tylko trójce wnuków.

–Może nie chcieli zabijać niemowlaka?

–Ale Mariah zostawili na pewną śmierć, mimo że daloby się ją uratować?

–Jest różnica pomiędzy niepodejmowaniem żadnych działań i czekaniem na śmierć a zadaniem jej. I jest różnica pomiędzy kobietą o wątpliwych zasadach moralnych a niewinnym ośeskiem. W zasadzie nawet mogli nie zdawać sobie sprawy, jak poważny jest stan Mariah, dopóki nie było za późno.

Pokręciłam głową, oszłamiona.

–Ale jeśli masz rację, to co Matthew zrobił z prawdziwą Gracie, własną córką? Myślisz, że celowo ją wtedy zabrał, a potem porzucił gdzieś czy coś?

–Nie mam pojęcia i nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć... Aczkolwiek uważam, że powinniśmy to sprawdzić – rzekł Tolliver głosem starca. – Zastanawiam się, czy w ogóle zamierzał zabrać ją do szpitala.

–Zdjęcia.

–Chciał zdjęcie Gracie, fotografię Marielli wziął tylko dla niepoznaki.

–Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

–Niewykluczone, że wtedy na wrotkowisku liczył na zrobienie zdjęć bez naszej wiedzy. Ale zauważyliśmy go, a dziewczynki się wystraszyły. Wcześniej napisał do wujostwa, żeby nawiązać z nimi kontakt. A ponieważ nie odpowiedzieli, pomyślał, że uda mu się zdobyć zdjęcia ukradkiem. Nie powiodło się, więc przyszedł do nich otwarcie. Iona i Hank chcieli uspokoić dziewczynki, więc podczas jego wizyty zachowywali się, jakby była czymś normalnym. Postąpili dobrze, ale nie znali jego prawdziwych motywów.

–I co teraz? – Wsparłszy łokcie na kolanach, ukryłam twarz w dłoniach. – Nie ogarniam tego wszystkiego. Gdzie w tym jest miejsce na Cameron? Czy jej zniknięcie w tym czasie było tylko zbiegiem okoliczności?

–Może przesadzamy z tymi teoriami spiskowymi? Może jesteśmy jak ci, co uważają, że

Kennedy'ego zabili Marsjanie?

–Mam nadzieję. Mam nadzieję.

–Myślisz, że Mark coś wie?

–Możemy do niego zadzwonić.

–Tak, ale teraz mieszka u niego ojciec.

–Umówimy się gdzieś poza domem.

–Dobrze, zadzwonimy do niego jutro. Po powrocie z Texarkany.

–Na pewno dasz radę? Jesteś na antybiotykach...

–Nic mi nie będzie, naprawdę czuję się już dobrze.

–Jasne, doktorze Lang.

–Hej, są ważniejsze sprawy niż cackanie się z moim ramieniem.

–Dobrze, zobaczymy, co jutro powie lekarz. – Nieustępliwością zasłużyłam sobie na miano tyrana.

Opiekowanie się Tolliverem sprawiało mi przyjemność. Mimo niepokoju spowodowanego podejrzeniami i rolą Matthew w całej sprawie byłam z siebie trochę dumna, że jak do tej pory nieźle sobie radziłam. Jeszcze przez jakiś czas walczyliśmy temat, nie dochodząc do żadnych wniosków, aż wreszcie bezowocne gdybania zmęczyły nas na dobre. Tej nocy żadne z nas nie spało zbyt dobrze. Tolliver rzucił się i mówił przez sen, a zdarzało mu się to tylko w chwilach silnego stresu. „*Musimy ją ocalić*” – mamrotał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Tym razem zamiast do pielęgniarki zadzwoniłam bezpośrednio do doktora Spradlinga. Zaskoczył mnie, zgadzając się na wyjazd, choć pod warunkiem, że Tolliver naprawdę czuje się na siłach, nie będzie się forsował ani nic nosił. Perspektywa ruszenia się z miasta dodała Tolliverowi energii. Zupełnie jakby siedzenie na miejscu sprawiało, że czuł się obłożnie chory. Teraz postrzegał siebie już tylko jako osobę z przejściowymi problemami zdrowotnymi. Z radością i ulgą patrzyłam, jak powracające zdecydowanie oraz pewność siebie prostują mu plecy i wygładzają rysy. Napomniałam się jednak, że muszę zachować czujność i troszczyć się o niego.

Teraz, kiedy nie byliśmy już uwiązani do szpitala, mogliśmy się wymeldować z hotelu. Trudno przewidzieć, co przyniesie ten dzień ani czy w ogóle wrócimy na noc do Garland.

Z ulgą pożegnaliśmy miejskie korki. Znów byliśmy w trasie, razem. Na początku udawało nam się zachowywać, jakbyśmy zostawili zmartwienia za sobą. Jednak im bliżej Texarkany, tym bardziej przytłaczały nas dręczące pytania i niepewność.

–Możliwe, że tu też będziemy się musieli zatrzymać – powiedziałam, kiedy mijaliśmy zjazd do Clear Creek.

Tolliver skinął głową w milczeniu. Bliskość miejsca, które wiązało się z przykrymi wspomnieniami, pozbawiała nas ochoty na rozmowę.

Texarkana jest około pięćdziesięcioletnim miastem, leżącym na granicy Teksasu i Arkansas. Wzdłuż trasy międzystanowej na północy aglomeracji wyrosła masa sklepów, tworząc dzielnicę handlową z wszelkimi jej aspektami. Mieszkaliśmy w innej części, tej gorszej. Texarkana nie różni się od innych miasteczek na południu Stanów. Nasi koledzy i koleżanki ze szkoły pochodzili z porządných domów i mieli porządných rodziców. To raczej my należeliśmy do niechlubnej części społeczeństwa.

Wzdłuż uliczki, przy której mieszkaliśmy, stały rzędy baraków na kółkach. Zaletą tego miejsca było to, że przyczepy nie tworzyły tłocznych skupisk. Każda stała na swoim stanowisku. Naszą rodzice odwrócili tyłem do drogi, więc na podwórko prowadził żwirowy podjazd. Nie prawdziwe podwórko, raczej kawałek przestrzeni, na której nigdy nie rosła trawa. Posadzone niegdyś u wejścia azalie zdziczały zupełnie.

Dziwnie się czułam, odwiedzając to miejsce po tylu latach. Siedzieliśmy w samochodzie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy, patrząc na przyczepę bez słowa. Jakiś Latynos, przechodząc, obrzucił nas nieprzychylnym spojrzeniem. Nie wyglądaliśmy już na tutejszych.

–Czujesz coś? – zapytał Tolliver.

–Nie, żadnych ciał – odrzekłam z taką ulgą, że nieomal zakręciło mi się w głowie. – Nie wiem,

czemu bałam się, że coś znajdziemy. Przecież mieszkaliśmy tu, wiedziałabym, gdyby... Gdyby ktoś został tu pochowany.

Tolliver przymknął na moment powieki, rozkoszując się własną ulgą.

–No, to już coś. Gdzie teraz?

–Nawet nie wiem, dlaczego w ogóle tutaj przyjechaliśmy. Teraz? Chyba do Renaldo. Nie sądzę, żeby nadal mieszkali tam, gdzie wtedy, ale zawsze warto spróbować.

–Pamiętasz drogę?

Dobre pytanie. Dojazd do rudery, którą niegdyś wynajmował Renaldo, zajął mi więcej czasu, niż przypuszczałam. Nie zdziwiłam się, kiedy otworzyła nam czarnoskóra nieznajoma. Kobieta była mniej więcej w moim wieku i miała dwójkę małych dzieci, zajętych wycinaniem zdjęć z jakiegoś katalogu.

–Wycinajcie tylko to, co chcielibyście mieć u siebie w domu – przypomniała im, nim odwróciła się do nas. – Tak?

–Nazywam się Harper Connelly, mieszkałam kiedyś kilka przecznic dalej. Ojczym przyjaźnił się z ludźmi, którzy wynajmowali ten dom. Nie wie pani przypadkiem, gdzie się wyprowadzili? Renaldo Simpkins i jego dziewczyna, Tammy...? – Nie zdołałam przypomnieć sobie nazwiska dziewczyny.

Mina kobiety zmieniła się nagle.

–Tak, znam ich. Przenieśli się kawałek dalej, na Malden. To źli ludzie, wie pani?

–Tak, wiem, ale muszę z nimi porozmawiać. Nadal są razem?

–Tak, choć trudno uwierzyć, że ktoś tyle wytrzymał z Renaldo. Miał wypadek, Tammy się nim opiekuje. – Kobieta spojrzała przez ramię. Niecierpliwiła się, żeby wrócić do dzieci.

–Pamięta pani numer domu?

–Nie, ale to na Malden, przecznicę lub dwie stąd. Brązowawy domek z białymi okiennicami. Tammy jeździ białym samochodem.

–Dziękuję.

Kiwnęła mi głową na pożegnanie i zamknęła drzwi.

Zdałam relację z rozmowy Tolliverowi, który czekał w samochodzie.

Z pewnym trudem, ale udało nam się odnaleźć dom, który pasował do opisu. Pod określeniem

„brązowawy” może kryć się wiele odcieni. Doszliśmy do wniosku, że beżowy również pasuje do definicji, a przed wejściem stał biały samochód.

–Cześć, Tammy – powitałam stojącą w progu kobietę. Tammy, nagle przypomniałam sobie, że miała na nazwisko Murray, postarzała się o więcej niż osiem lat. Kiedyś była kobietą dość nieokreślonej rasy, o pełnej figurze, kręconych rudych włosach i krzykliwym guście. Teraz krótko przycięte włosy ulizywała gładko przy czaszce za pomocą żelu. Jej nagie ramiona pokrywały tatuaże. Była chuda i wymizerowana.

–A ty kto? – zapytała zaciekawiona. – Znamy się?

–Jestem Harper, przybrana córka Matthew Langa. Brat siedzi w aucie, tam – wskazałam.

–Wejdz. Powiedz bratu, żeby też przyszedł. Wróciłam do samochodu i otworzyłam drzwiczki.

–Chce, żebyśmy weszli – wyszeptałam. – Myślisz, że powinniśmy?

–Powinno być okej – uspokoił mnie, wchodząc ze mną na ganek.

–Co ci się stało? – zapytała Tammy, wskazując na temblak. – Jesteś cały w bandażach.

–Postrzał – rzekł Tolliver.

W takim miejscu i tak nikogo by to nie zdziwiło.

–Pech – skwitowała Tammy, przepuszczając nas do środka.

Dom był mały, ale mebli niewiele, więc nie robił wrażenia zagraconego. W saloniku stała kanapa, na której leżał ktoś okryty kocem, i wysłużony fotel, pewnie miejsce Tammy. Obok znajdowała się stara szafka pod telewizor – walały się tam papierosy, pudełko z chusteczkami i pilot. Wszystko było przesiąknięte dymem tytoniowym.

Podeszliśmy do kanapy, żeby spojrzeć na leżącego. Gdybym nie wiedziała, że to Renaldo, nie poznałabym go. Renaldo, Mulat o jasnej skórze, nosił kiedyś wąsik i długie włosy, które splatał w warkocz. Teraz był krótko ostrzyżony. Kiedyś pracował jako mechanik w komisie samochodowym i zarabiał dość dobrze jak na tę okolicę, ale nalóg kosztował go pracę.

Miał otwarte oczy, jednak nie byłam do końca pewna, czy nas widzi.

–Zobacz, kochanie, kto do nas przyszedł – zaczęła Tammy. – Tolliver i jego siostra, pamiętasz ich? Dzieciaki Matthew.

Renaldo zamrugał i wymamrotał: – Jasne, pamiętam.

–Przykro mi, że jesteś w tak kiepskiej kondycji. – Może to niezbyt taktowna reakcja ze

strony Tollivera, ale przynajmniej szczerą.

–Nie mogę chodzić – oświadczył Renaldo. Rozejrzałam się za wózkiem inwalidzkim i dostrzegłam go, stał złożony pod ścianą, w kuchni. W tak małym domu trzymanie rozłożonego wózka byłoby bezsensowne, ale Tammy chyba nie miała tyle siły, by podnieść partnera.

–Mieliśmy wypadek samochodowy – powiedziała Tammy. – Jakieś trzy lata temu. Pech. Siadaj tu, Harper – wskazała fotel. – Przyniosę krzesła z kuchni.

Tolliver wyglądał na sfrustrowanego, że nie może jej wyręczyć, ale Tammy chyba nie przeszkadzało, że robi to sama. Przywykła do bezradnego mężczyzny. Nie zadawałam żadnych pytań o stan Renaldo, nie chciałam nic wiedzieć. Wyglądał fatalnie.

–Tammy – zaczął Tolliver, kiedy razem z gospodynią zajęli siedziska, które ledwie zmieściły się w pokoju – chcielibyśmy zapytać o ten dzień, gdy Cameron zniknęła.

–Jasne, a co by innego? – skrzywiła się Tammy. – Mamy już dość tych pytań, co nie, Renaldo?

–Ja nie – zaprzeczył tym swoim dziwnie stłumionym głosem. – Ta Cameron to była niezła laska, szkoda jej.

Poczułam się, jakbym rozgryzła spleśniałego orzecha. Myśl, że taki Renaldo gapił się na moją siostrę, była odrażająca. Ale usiłowałam zachować neutralny wyraz twarzy.

–Możecie nam opowiedzieć o tamtym dniu? – ponowiłam prośbę Tollivera.

Tammy wzruszyła ramionami. Zapaliła papierosa, a ja wstrzymałam oddech na tak długo, jak się dało.

–To było dawno – powiedziała. – Trudno uwierzyć, że jesteśmy już razem tyle czasu, co nie, złotko?

–Dobry czas – stwierdził z wysiłkiem.

–Tak, bywało dobrze – przyznała. – Ostatnio gorzej. No więc, wasz ojciec zadzwonił, miał jakiś interes do Renny'ego. Powiedział glinom, że chodziło o złom, ale to nieprawda. Mieliśmy na zbyciu trochę oxy, a on ritalin, chciał się wymienić. Wasza matka lubiła oxy.

–Matka lubiła wszystko – zauważyłam.

–Prawda, dziecko – potwierdziła Tammy. – Uwielbiała te swoje pigułki.

–I swój alkohol – dodałam.

–To też – kiwnęła głową Tammy i spojrzała na mnie. – Ale nie przyszedliście pytać o matkę,

prawda? Ona już nie żyje.

Zamilkłam.

–No więc ojciec przyszedł do was, tak? – ponaglił ich Tolliver.

–Tak. – Tammy zaciągnęła się głęboko papierosem. Bałam się, że zaraz zacznę kaszleć. – Przeszedł koło czwartej. Może piętnaście, dwadzieścia po, ale nie później, bo oglądałam program, który skończył się o wpół do piątej, a wtedy już tu był. Grali z Renaldo w bilard. Mieliśmy lepszy dom. – Omiotła wzrokiem maleńki salonik. – Większy. Policji powiedziałam, że był tuż po czwartej. Ale nie wiem, zagapiłam się na program. Jak się skończył, zawołali, żeby im przynieść piwo.

Renaldo zaśmiał się, wydając z siebie przedziwny dźwięk, coś jak „hu-hu-hu”.

–Chlapnęliśmy sobie piwko – powiedział. – Wymieniliśmy się pigułkami, ubiliśmy interes. Dobre czasy.

–Aha, i Matthew został tu aż do tego telefonu, tak?

–Uhm, miał komórkę, wiecie, interesy – wyjaśniła Tammy. – Taki facet, co koło was mieszkał, powiedział Matthew, żeby wracał, bo gliny przyjechały.

–Zaskoczyło go to?

–Ta – potwierdziła Tammy ku memu zaskoczeniu. – Myślał, że chodzi o prochy, i miał cykora. Ale potem stwierdził, że lepiej wracać do domu, niż uciekać, bo wiedział, że wasza matka nie da rady z przesłuchaniem.

–Naprawdę? – zdumiałam się.

–No, był strasznie zakochany w Laurel, wiesz? Wymieniliśmy z Tolliverem spojrzenia. Jeśli Tammy i Renaldo mieli rację, Matthew mógł nic nie wiedzieć o zniknięciu Cameron. A może tylko udawał przed nimi, żeby zapewnić sobie alibi?

–Dostał szału – wymamrotał Renaldo. – Że dziewczyna zaginęła. Byłem u niego w pudle. Mówił, że pewnie uciekła.

–Wierzysz mu? – Nachyliłam się, spoglądając Renaldo w twarz, co było nieprzyjemne, ale konieczne.

–Tak – oświadczył Renaldo wyraźnie. – Wierzę.

Nie było sensu siedzieć tam dłużej. Z ulgą wydostaliśmy się z rozklekotanego domku, uciekając jak najdalej od jego żalonych mieszkańców. Niecierpliwie odczekałam, aż Tolliver zapnie pas, i wycofałam, nie myśląc nawet, gdzie jadę. Wybrałam drogę na Texas Boulevard –

tak tylko, żeby mieć jakiś konkretny kierunek.

–I co ty na to? – odezwałam się.

–Tammy powtórzyła dokładnie to, co mówił ojciec. Natomiast czy on mówił prawdę, nie mam pojęcia.

–Ale wyglądało na to, że mu wierzą. Tolliver prychnął drwiąco.

–Zobaczymy, może uda nam się pogadać z Pete'em Greshamem – powiedział, a ja skręciłam w stronę komendy. Na State Line Avenue w Jednym budynku mieszczą się siedziby dwóch policji, teksańskiej i arkansaskiej. Znajdują się tam biura dwóch komendantów. Nie wiem, jak to działa ani jak dzielą wydatki.

Pozwolono nam wejść na salę. Pete Gresham pracował akurat przy swoim biurku. Na nasz widok zamknął teczkę, którą przeglądał.

–To wy! Miło was widzieć! Przykro mi, że z tym nagraniem nie wypaliło – powiedział, przechylając się nad blatem, żeby podać rękę Tolliverowi. – Słyszałem, że mieliście problemy w Wielkim Mieście?

–Raczej na Wielkich Przedmieściach – sprostowałam. – Byliśmy w okolicy i pomyśleliśmy, żeby wpaść i osobiście zapytać o ten anonimowy telefon z informacją, że widziano kobietę podobną do Cameron.

–Dzwonił mężczyzna, z automatu ulicznego – wzruszył ramionami policjant. Zwalisty Peter Gresham był większy za każdym razem, gdy go widzieliśmy. Nadal nie nosił okularów, ale jak wspominał Rudy Flemmons, był całkiem łysy. – Tyle wiemy.

–Możemy przesłuchać zapis tej rozmowy? – zapytał Tolliver. Spojrzałam na niego, zaskoczona pomysłem.

–Muszę go wydobyć z archiwum – rzekł Pete, wstając, i poszedł do windy.

–Skąd ci to przyszło do głowy? – szepnęłam do Tollivera.

–A czemu nie?

Pete wrócił zbyt szybko. Znam biurokrację, nie mógłby znaleźć niczego w tak krótkim czasie.

–Słuchajcie, przykro mi, ale gość, który się tym zajmuje, ma dzisiaj wolne – powiedział Pete. – Zadzwoń do was i puszczę nagranie przez telefon, dobrze?

–Jasne, świetnie. – Podalam mu numer mojej komórki.

–Dobrze wam się żyje z odnajdywania ciał?

–Tak, dzięki, radzimy sobie – odparł Tolliver.

–Słyszałem, że nadziałeś się na czyjąś kulę? – indagował Pete. – Komu nadepnąłeś na odcisk?

–Trudno powiedzieć – uśmiechnął się Tolliver. – A przy okazji, Matthew wyszedł.

Detektyw spoważniał.

–Zapomniałem, że mają go wypuścić. Pojawił się w Dallas?

Przytaknęłam.

–Uważajcie na niego – poradził. – To zły facet. Całe życie mam z takimi do czynienia i znam ich dobrze. Wiem, że z zasady się nie zmieniają.

–Masz rację – przyznałam. – Staramy się trzymać od niego z daleka.

–A jak wasze siostry? – Zaczęliśmy iść razem w stronę wind.

–Całkiem dobrze. Mariella ma dwanaście lat, Gracie niedługo skończy dziewięć. – A może nie tak niedługo. Tak, na pewno była trochę młodsza. Dziwne, że w tym akurat momencie, ale naraz zdałam sobie sprawę, że może Gracie wcale nie odstaje od swojej grupy rówieśniczej, jak wszyscy dotąd sądzili. To, co braliśmy za opóźnienie w rozwoju spowodowane niską wagą urodzeniową i słabym zdrowiem, mogło wynikać z tego, że w rzeczywistości urodziła się trzy, cztery miesiące później, niż zakładaliśmy.

–Rany, to już tyle minęło... – Pete pokręcił głową nad upływem czasu, a ja zdołałam tymczasem wziąć się w garść.

–Wiesz, przedwczoraj rozmawiałam z Idą.

–Idą? To ta kobieta, która widziała niebieską furgonetkę? Mówiła coś ciekawego?

Usłyszawszy o rozmowie Idy z dziewczyną z opieki społecznej, Pete zaklął paskudnie. I zaraz przeprosił.

–Idioci – burknął. – Teraz muszę tam zadzwonić i spotkać się znów z Idą. Chyba już nigdy nie uda mi się uwolnić od wizyt w tym domu. Najpierw stwierdzi, że nie chce nikogo widzieć, a jak już tam dotrę, zagada mnie na śmierć.

Usiłowałam się uśmiechnąć, ale nie byłam w stanie wykrzesać z siebie nawet odrobiny humoru. Tolliver tylko kiwnął głową.

–Rozumiem, co to oznacza, Harper. Wszystkie ustalenia czasowe oparliśmy na słowach tej

baby. Zajmę się tym. Możesz mi wierzyć, że za każdym razem, jak pojawia się choćby cień nowego tropu, zawsze go badam. Zależy mi na rozwiązaniu sprawy Cameron nie mniej niż wam. I żałuję, że nie posadzili tego dupka, waszego ojca, raz na zawsze.

–Ja również – powiedziałam, nie do końca pewna, czy mogę wypowiadać się w imieniu Tollivera. – Ale nie sądzę, żeby to on stał za zniknięciem Cameron.

–Ja też – Pete zaskoczył mnie odrobinę tym stwierdzeniem. – Wiem, co potrafisz, Harper, i pamiętam, jak po skończeniu szkoły jeździliście z Tolliverem po okolicy. Wiem, że jej wtedy szukaliście. A skoro nie znaleźliście, to jej tu nie ma. Gdyby sprawcą był Matthew, pozbyłby się jej gdzieś tutaj, niedaleko, bo miał niewiele czasu.

Skinęłam głową.

–Tak, próbowaliśmy. Chyba że ktoś zdybał ją jeszcze na parkingu szkolnym, a plecak po prostu rzucił po drodze – to rozszerzałoby teren poszukiwań.

–Braliśmy pod uwagę taki scenariusz – zapewnił Pete łagodnie.

Zarumieniłam się.

–Nie mówię...

–W porządku. Chcesz odnaleźć siostrę. Mnie też na tym zależy.

–Dzięki, Pete. – Tolliver uścisnął Greshamowi dłoń.

–Zdrowiej, chłopie – rzekł Pete i wrócił na swoje stanowisko pracy.

–Zmarnowaliśmy dziś dużo czasu – poskarżyłam się. Byłam przybita i nie wiedziałam, co dalej robić.

–Nie do końca – pocieszył mnie Tolliver. – Czegoś się dowiedzieliśmy. Chcesz zajrzeć do Clevelandów?

Zamyśliłam się. Moi zastępczy rodzice byli dobrymi ludźmi, szanowałam ich, ale nie miałam nastroju na pogaduszki.

–Raczej nie. Chyba powinniśmy wracać do Garland.

Rozdzwoniła się moja komórka.

–Dzień dobry – rozległ się w słuchawce roztrzęsiony głos Lizzy. Co prawda nie znaleźliśmy jej długo, ale nigdy nie słyszałam, by była tak przygnębiona i pozbawiona charakterystycznej pewności siebie.

–Coś się stało?

–Och, nic, nic, tylko... Zastanawialiśmy się, gdzie jesteście. Gdybyście mogli wpaść po drodze na chwilę na ranczo...

Wpaść na ranczo? Teraz, gdy znajdowaliśmy się dwie godziny drogi od Garland?

–Jesteśmy w Texarkanie – powiedziałam, myśląc gorączkowo i bezowocnie. – Chyba moglibyśmy podjechać w drodze powrotnej. To coś konkretnego?

–Nie, nie, chciałam tylko pogadać o Victorii i innych sprawach.

Streściłam rozmowę Tolliverowi, który zareagował takim zdumieniem, jak i ja.

–Czujesz się na siłach? Bo jeśli nie, zadzwonię i odmówię – zapytałam.

–Możemy o nich zahaczyć. Na razie i tak siedzimy tutaj, a oni obracają się wśród bogatych ludzi. Może ktoś z ich znajomych zainteresuje się naszymi usługami.

Zastanawiałam się, czy zobaczę przy okazji Chipa. W zarządcy, a zarazem facecie właścicielki rancza, było coś, co przejmowało mnie do szpiku kości. Nie chodziło o fascynację fizyczną, choć z pewnością kości miały z tym coś wspólnego...

Nie rozmawialiśmy wiele, opuszczając Texarkanę. Niespodziewane zaproszenie Lizzy zbiło mnie z tropu, a Tollivera też pochłaniały jakieś dręczące myśli. Świadczyła o tym zmiana w postawie i widoczne na twarzy napięcie. Bez dalszych dyskusji skręciliśmy w odpowiedni zjazd.

Minęliśmy cmentarz Pioneer Rest, wjeżdżając na drogę dojazdową, wiodącą pomiędzy rozległymi pagórkowatymi polami. Choć słońce stało już nisko, światło pozwalało cieszyć się jeszcze bezkresem krajobrazu. Po dotarciu do ogrodzenia rancza Tolliver uparł się, by otworzyć bramę i zamknąć ją za samochodem.

Dziwne, ale w pobliżu nie było nikogo. Podczas ostatniej naszej wizyty wszędzie kręcili się pracownicy.

Zatrzymaliśmy się na sporym, brukowanym placu przed wielkim domem. Wysiedliśmy, rozglądając się wokół. Miejsce zdawało się wymarłe. Dzień był ciepły, nieomal wiosenny, ale wszechobecny bezruch robił niesamowite wrażenie. Potrząsnęłam powątpiewająco głową, ale Tolliver wzruszył ramionami i ruszył ceglany chodnikiem.

Wielkie frontowe drzwi otworzyły się i w progu stanęła Lizzy. Hol za nią tonął w mroku. Atmosferę niesamowitości pogłębił jeszcze uśmiech gospodyni. Wymuszony, przypominał wyszczerzone zęby czaszki. Lizzy miała nienaturalnie szeroko rozwarte oczy, a każdy mięsień twarzy napięty do granic możliwości. Czerwony alarm. Zwolniliśmy kroku.

–Witajcie, wejdźcie do środka. – Cały swobodny entuzjazm, z jakim witała nas w tym miejscu po raz pierwszy, teraz zastępował niepokój.

–Wiesz, wstąpiliśmy tylko, żeby przelożyć to spotkanie, wypadło nam coś pilnego w Dallas – powiedziałam. – Jutro będziemy luźniejsi, możemy przyjechać? Naprawdę nam się spieszy.

Na twarzy Lizzy odmalowała się ulga. – Jasne, zadzwońcie wieczorem. I lećcie, skoro czas was goni.

–Jechaliście taki kawał, przynajmniej napijcie się czegoś – zza pleców Lizzy wyłonił się Chip.

Lizzy drgnęła, a jej udawany uśmiech zniknął.

–Biegnijcie do samochodu, natychmiast!

–Nie radzę – głos Chipa był spokojny i cichy. – Do środka, ale już.

Rewolwer w jego dłoni nie pozostawiał nam wyboru.

Chip i Lizzy wycofali się, przepuszczając nas do środka.

–Przepraszam – rzekła Lizzy. – Przepraszam. Zagroził, że zabije Katie, jeśli do was nie zadzwonię.

–I zrobiłbym to – stwierdził Chip.

–Nie mam co do tego wątpliwości – zapewniłam go, wchodząc do kwadratowego holu. Kiedy stanęliśmy w oczekiwaniu na dalsze instrukcje, nagle zrozumiałam, co od początku tak uderzyło mnie w Chipie. Kości. Jego kości były martwe. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam czegoś podobnego i przez to nie pojmowałam natury tego osobliwego wrażenia.

–Gdzie reszta? – zapytał Tolliver. Jego głos był tak równy i spokojny, jak głos Chipa.

–Odesłałem wszystkich do pracy w najdalsze zakątki rancza – wyjaśnił Chip. – A Rosita ma wolne. – Uśmiechał się pogodnie, zimno; miałam ochotę zetrzeć mu ten uśmiech z twarzy. – Zostałem tylko ja i rodzina.

Kurde.

Chip powiódł nas do pokoju myśliwskiego. Przez oszklone drzwi wpadały ostatnie promienie słońca. Widok był piękny, ale w tej chwili nie miałam nastroju na jego podziwianie.

W pokoju stał Drex, także z bronią w ręku, co mnie zaskoczyło. Uwolnili na chwilę Lizzy, aby nas zwabiła do środka – na jednym z krzeseł leżała rozwiązana lina.

–Milo cię znowu widzieć, Harper – powitał mnie Drex. – Dobrze nam się rozmawiało w Outback, nieprawdaż?

–Uhm. Szkoda, że Victoria została zaraz potem zamordowana. To trochę psuje moje wspomnienia z tamtego wieczoru – powiedziałam.

Drex przelknął nerwowo ślinę, ale zaraz wziął się w garść.

–Ta, miła kobitka z niej była – rzekł. – Robiła wrażenie... Robiła wrażenie dobrej w tym, czym się zajmowała.

–Ciężko dla was pracowała – przypomniałam.

–Myślisz, że dojdą kiedyś do tego, kto ją zabił? – Chip uśmiechnął się szeroko.

–To ty postrzeliłeś Tollivera? – zapytałam. Nie było już sensu obchodzić tego tematu.

–Nie. To mój kumpel, ten tu Drex. Nie jest szczególnie przydatny, ale umie strzelać. Co prawda to ty miałaś być celem, ale marynarzyk nagle się zbiesił – mówił Chip powoli, jakby teraz dopiero kojarzył pewne fakty. – Nie chciał strzelać do kobiety. Dżentelmen. Próbowałem przekonać go do zmiany zdania tego wieczoru, kiedy wyszłaś biegać, ale ten cholerny gliniarz wyskoczył ni w pięć, ni w dziewięć i wziął kulę na siebie. Nie strzeliłbym, wiedząc, że to glina. Wydawał mi się skądś znajomy i fatalnie się poczułem później, kiedy wyszło, że ranilem futbolistę.

–Ale dlaczego w ogóle tak uparłeś się nas pozbyć?

–Bo wiedziałaś o Mariah i wychlapałaś wszystko. Może gdybyście zniknęli, Lizzy by o tym zapomniała, ale wiedziałem, że póki żyjecie, wciąż będzie myślała o tym, co powiedziałaś na cmentarzu. Zaczęłyby się zastanawiać, kto spowodował śmierć dziadka i dlaczego. A uwierzywszy w to dziecko, już by nie odpuściła. Lizzy jest bardzo rodzinna, byłaby zachwycona, wychowując tego bękarta. – Przycisnął lufę do szyi Lizzy i pocałował ją w usta. Kiedy splunęła, zaśmiał się głośno.

–Ale po co od razu mnie zabijać? – dopytywałam się z zaciekawieniem.

–Och, znam moje kochanie. Wiem, że nie ustąpi, jeśli coś jest na widoku. Ale ma tak, że co z oczu, to z myśli.

Według mnie nie doceniał swojej wybranki, ale przecież znalazł ją lepiej niż ja. W jednej chwili pojęłam tok rozumowania Chipa. Nie udało mu się zapobiec mojej wizycie na cmentarzu, uznał to za porażkę, którą według niego mogła wyrównać tylko moja śmierć. Oczywiście pewnych rzeczy nie dałoby się naprawić, ale przynajmniej miałby satysfakcję z zemsty.

–Lizzy, jestem pewna, że ktoś pokazał ci moją stronę internetową – zagadnęłam. – Ktoś

musiał to zrobić, uważając, że zainteresuje cię możliwość sprowadzenia mnie tu na cmentarz.

–Tak – przyznała Lizzy. Słońce padało na taras pod ostrym kątem. Oceniałam, że jest około wpół do czwartej. – Katie.

–Skąd ci to przyszło do głowy? – zwróciłam się do młodszej Joyce'ówny.

Katie była w rozsypce. Przerazona, blada jak ściana, ciężko oddychała. Ręce przywiązano jej do podłokietników, a lina wpijała się w przeguby, obcierając skórę. Zareagowała dopiero po chwili.

–Drex... – wyjąkała. – Drex powiedział, że kiedyś się z tobą zetknął na żywo.

Chip odwrócił się do partnera jak wąż gotowy do ataku.

–Dzięki twoim głupim pomysłom, Drex, straciliśmy wszystko – syknął. – Co ci wpadło do tego pustego łba?

–Oglądaliśmy wiadomości – szepnął Drex. – Mówili, jak w Północnej Karolinie znalazła tych chłopaków. Wspomniałem Katie, że jak mieszkali w Texarkanie, bywałem w tej ich przyczepie, bo znałem jej ojczyma, i ją wtedy widziałem.

–A ty przekazałaś to Lizzy? – zwróciłam się ponownie do Katie.

–Ona zawsze lubiła takie ciekawostki – rzekła Katie. – A my wynajdujemy i dostarczamy Lizzy coraz to nowe rozrywki, żeby była zadowolona. Robimy to od dawna, to taka nasza gra.

Lizzy wyglądała na kompletnie oszołomioną tymi rewelacjami. Jeśli przeżyjemy ten dzień, będzie miała sporo do przemyślenia.

–A więc to jakiś dziennikarzyna doprowadził do tej katastrofy – zaśmiał się Chip. Aż ciarki przeszły mnie na ten dźwięk.

–Długo trenowałaś rzucanie węzłem, Chip? – zapytałam.

–Och, to konkurencja, w której mistrzem jest Drex – odpowiedział Chip, uśmiechając się do towarzysza.

–Rany boskie, Drex! – wykrzyknęła Lizzy, wstrząśnięta. – Drex? Chip, chcesz powiedzieć, że to Drex rzucił grzechotnika na dziadka?

–Właśnie tak, słońce – potwierdził Chip, nawet na moment nie rozluźniając dłoni zaciskającej się na ramieniu Lizzy.

–Czyś ty oszalał? – przeraził się Drex, zwracając ku Chipowi twarz, na której malowały się zupełnie inne emocje niż przed chwilą. Już nie zaskoczenie i ośpienie, nie słabość. Teraz miał

twardą, przebiegłą minę. – Dlaczego karmisz moje siostry takimi bredniami?

–Bo już się z tego nie wywinimy. Ale widzę, że to do ciebie jeszcze nie dotarło. – Rzeczywiście, na obliczu Dreksa odbiła się konsternacja. – Za dużo zostawiliśmy śladów. Trzeba było pozbyć się doktora. Tak, dupku, mieliśmy sporo czasu, żeby kopnąć się do Dallas i załatwić tego nieudacznika. Wiedzieliśmy też, że Matthew w końcu kiedyś wyjdzie. Powinniśmy czekać na niego przed paką z naładowaną bronią.

Jakoś nie mogłam wykrzesać z siebie oburzenia tym pomysłem.

–Skoro nie wywinimy się z tego, to po co ta cała szopka z zakładnikami? – zapytał Drex. – Myślałem, że masz jakiś plan, że prowadzisz jakąś grę. A tobie po prostu odbiło.

–Tak, odbiło mi i powiem ci dlaczego. – Chip puścił Lizzy, która natychmiast odwróciła się twarzą do niego, jednocześnie cofając się w stronę obwieszanej bronią ściany. – W zeszłym tygodniu byłem u lekarza, prawdziwego, nie takiego konowała jak Bowden. I wiesz, co mi powiedział? Rak. Mam trzydzieści dwa lata i umieram! I mam gdzieś, co się stanie, jak mnie tu już nie będzie. Nie mam czasu, żeby czekać dalej na profity. A skoro ja ich nie będę miał, to ty, Drex, też nie.

W jego oczach czaiło się nieludzkie okrucieństwo.

–Umierasz? – warknęła Lizzy. – Cieszę się. Szkoda tylko, że Drex nie jest też śmiertelnie chory. Chciałabym, żebyście obaj umarli. – Wydawało się, że otrząsnęła się z przerażenia. Żałowałam, że ja tak nie potrafię. Spojrzałam na Tollivera zdjęta lękiem, że nie wyjdziemy z tego żywi. Chip zabije nas wszystkich, bo my mieliśmy przed sobą przyszłość, a on nie.

Niewiarygodnie szybkim ruchem Lizzy zerwała z haka jedną ze strzelb i w ułamku sekundy wycelowała ją w Chipa.

–No dalej, strzel sobie w łeb, skoro i tak masz umrzeć! – Nie żartowała, odbezpieczyła broń. – Oszczędź mi kłopotu!

–O nie, nie zamierzam iść do piekła sam – odwarknął Chip i strzelił Dreksowi w pierś.

Katie krzyknęła i zaczęła szarpać się na krześle, gdy zbryzgała ją mgielka krwi brata. W chwili, gdy ciało najmłodszego Joyce'a padało na podłogę, rozległy się dwa równoczesne wystrzały. Chip zdążył włożyć sobie lufę do ust i pociągnąć za spust w momencie, kiedy Lizzy wypaliła do niego ze strzelby.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Po zakończeniu przesłuchań w biurze szeryfa byłam tak skonana, że ledwie panowałam nad kierownicą. Wreszcie, dochodząc do wniosku, że przecież nie musimy wracać do Dallas, skręciłam w pierwszy lepszy zjazd i zatrzymałam się, by wynająć pokój w motelu. Wylądowaliśmy pośrodku niczego, z tym że przez to „nigdzie” wiodła autostrada, przy której stał motel. Nieszczególny co prawda, ale przynajmniej mieliśmy pewność, że nikt nie będzie w nim do nas strzelać przez okna.

Nadal nie obejmowałam umysłem wszystkich szczegółów, ale obaj zamachowcy nie żyli.

Tolliver wziął leki i wpełzliśmy do łóżka. Pościel była tak zimna, że wydawała się aż wilgotna, wygrzebałam się z niej więc, żeby podkreślić ogrzewanie. Ciepłe powietrze wydymało nieprzyjemnie zasłony, ale nauczona doświadczeniem, wozłam na takie wypadki duży spinacz. Tej nocy się przydał. Kiedy zakopałam się znów w piernaty, okazało się, że Tolliver już śpi.

Obudziłam się późnym rankiem. Słońce stało już wysoko, a Tolliver marudził w łazience, usiłując obmyć się gąbką.

–Co tam mruyczysz pod nosem? – zapytałam, siadając i spuszcżając nogi na podłogę.

–Marzę o prysznicu – odpowiedział. – O niczym tak teraz nie marzę jak o prysznicu.

–Bardzo mi przykro – naprawdę mu współczułam – ale jeszcze przez parę dni nie możesz moczyć opatrunku.

–Wieczorem spróbujemy osłonić go workiem na śmieci albo siatką na zakupy – oświadczył. – Jeśli dobrze to umocujemy, wykąpię się szybko, zanim taśma zacznie się odklejać.

–Dobrze, spróbujemy. Jakie mamy na dzisiaj plany?

Nie odpowiedział.

–Tolliver? Cisza.

Wstałam i poszłam do łazienki.

–Hej, czemu się nie odzywasz?

–Dzisiaj musimy pogadać z moim ojcem.

–No tak, musimy... – pozwoliłam, aby w mój ton wkradła się pytająca nutka.

–Musimy – powtórzył stanowczo.

–A potem?

–Pojedziemy w stronę zachodzącego słońca. Wrócimy do St. Louis i pobędziemy trochę sami ze sobą.

–Brzmi cudownie. Choć wolałabym pominąć tę część z twoim ojcem i przejść od razu do pobycia sam na sam.

–Myślałem, że chcesz go przycisnąć? – Zaczął się golić, ale przerwał z jednym policzkiem w piance.

Ja także tak myślałam.

–Są rzeczy, o których wolałabym nie wiedzieć. Nie spodziewałam się, że po tylu latach ciągłych poszukiwań będę się tak czuła. Tak długo do tego dążyliśmy.

Objął mnie zdrowym ramieniem i mocno przytulił.

–Rozważałem opcję wyjazdu z Teksasu od razu. Naprawdę. Ale nie możemy.

–Masz rację.

Zgodnie z zaleceniami zadzwoniłam do pielęgniarki doktora Spradlinga, żeby zostawić informacje o stanie Tollivera. Powiedziałam, że nie gorączkuje, nie krwawi, a rana się nie zaczerwieniła. Poleciała mi tylko dopilnować, aby brał leki, to wszystko. Mimo wstrząsających wydarzeń poprzedniego dnia Tolliver wyglądał znacznie lepiej niż tuż po postrzale. Nabrałam pewności, że nic mu nie będzie.

Resztę drogi do Dallas pokonaliśmy bez przeszkód, jeśli nie liczyć kilku niewielkich korków. Czekало nas odnalezienie domu Marka, w którym byliśmy wcześniej tylko raz. Mark należał do samotników, ciekawe, jak im się układało z Matthew.

Zaskoczona, ujrzałam na podjeździe samochód Marka. Dom był mniejszy nawet niż ten Iony, czyli naprawdę miniaturowy. Machinalnie przeczesalam okolicę swoim zmysłem. Słabe wibracje, czyli żadnych trupów.

Do wejścia prowadził wąski, betonowy podjazd. Latarnie po obu stronach drzwi osnuwały pajęczyny, a ogród nie istniał – zupełnie, jakby właścicielowi posesji nie zależało na zadbanym otoczeniu.

Otworzył nam Mark.

–Cześć, co was przyгнаło w te strony? Chcecie się zobaczyć z tatą?

–Tak – odparł Tolliver. – Jest w domu?

–Tato! – zawołał Mark, kiwnąwszy głową. – Tolliver i Harper przyszli do ciebie. – Odsunął

się, wpuszczając nas do środka. Miał na sobie spodnie dresowe i stary podkoszulek, najwyraźniej nie wybierał się dzisiaj do pracy. – Dostrzegł moje spojrzenie. – Wybacz, mam dzisiaj wolne. Nie spodziewałem się gości.

–Nie zapowiadaliśmy się – powiedziałam. Salonik był niemal tak skromnie urządzone jak u Renaldo. Skórzana sofa, fotel, duży telewizor i ława. Żadnych lampek do czytania, żadnych książek. Jedno zdjęcie naszej szóstki, które zrobiono, kiedy mieszkaliśmy w przyczepie. Całkiem o nim zapomniałam.

–Kto robił to zdjęcie? – zapytałam.

–Któryś ze znajomych matki – rzekł Mark. – Tata spakował je razem z innymi rzeczami, gdy szedł do więzienia, a niedawno wyciągnął wszystko z magazynu.

Wpatrywałam się w fotografię ze łzami w oczach. Tolliver i Mark stali obok siebie. Mark nie uśmiechał się, ale usta Tollivera unosiły się lekko, choć spoglądał ponuro. Cameron obejmowała ramieniem Marka i ścisnęła za rączkę roześmianą Mariellę, która jak każde dziecko uwielbiała, kiedy robiono jej zdjęcia. Ja trzymałam na rękach Gracie. Niewiarygodne, jaka była małeńka. Kiedy to było? Chyba niedługo po jej powrocie ze szpitala.

–Zrobiono je tuż przed – zauważyłam.

–Przed czym?

–No wiesz – zdumiałam się. – Przed zniknięciem Cameron.

Wzruszył ramionami, jakbym mogła mówić o czymś innym.

Nadal przyglądaliśmy się zdjęciu, kiedy do pokoju wszedł Matthew, ubrany w dżinsy i flanelową koszulę.

–Za godzinę wychodzę do pracy – powiedział. – Ale miło was widzieć. – Zwrócił nieco twarz w moją stronę, jakby jego uśmiech miał dotyczyć także i mnie.

Dzięki, ale nie.

–Byliśmy wczoraj u Joyce'ów – zaczęłam prosto z mostu. – Chip i Drex wspominali o tobie.

Nie wyobraziłam sobie tego grymasu niepokoju, który przemknął przez oblicze Matthew.

–Tak? A cóż takiego mówili? To ta bogata rodzina, prawda? Z rancza?

–Dobrze wiesz, kim są – rzekł Tolliver. – Bywali w naszej przyczepie.

Mark spoglądał to na ojca, to na brata.

–Ci bogacze? – zdziwił się. – Ci, z którymi spotykaliście się w zeszłym tygodniu?

–Ostatnio gawędziliśmy z różnymi ludźmi – ciągnęłam. – Na przykład z Idą, pamiętasz ją?

–To ta staruszka, która widziała twoją siostrę wsiadającą do niebieskiej furgonetki – przypomniał Matthew.

–Uhm, tyle że nie widziała. A w każdym razie nie Cameron.

Zaskoczenie, na ich twarzach było mniej lub bardziej autentyczne. Pojawiło się, to pewne, choć nie wiadomo, z jakiego powodu.

–A ja widziałam cię wychodzącego z gabinetu doktora – zwróciłam się do Matthew.

Znów zaskoczenie.

–Rzeczywiście, kilka dni temu byłem u lekarza – przyznał ostrożnie. – W sprawie tego kaszlu, dokucza mi, odkąd wyszedłem...

–Przestań – zirytowałam się. – Wiemy, że zabrałeś dziecko Mariah. Nie wiemy natomiast, co stało się z prawdziwą Gracie.

Zapadło milczenie. Wydawało się, jakby z ciasnego pokoju naraz uciekło całe powietrze.

–To jakiś obłąd, Tol! – zdenerwował się Mark. – Co to za Mariah?

–Zapytaj taty – rzucił Tolliver. – No, powiedz nam, tatuśku, czyja córeczka mieszka teraz z Ioną i Hankiem?

–Ta mała dziewczynka to dziecko Mariah Parish i Chipa Moseleya – oświadczył Matthew.

Nie tego się spodziewałam.

–A nie Mariah i Richa Joyce'a? – chciałam upewnić się ponad wszelką wątpliwość.

–Chip twierdził, że stary Joyce nigdy nie spał z Mariah. I że dziecko jest jego.

Mark patrzył to na ojca, to na nas, a jego mina sugerowała, że nie ma pojęcia, o czym mówimy.

–Chip kupował ode mnie dragi – kontynuował Matthew. – Razem z Dreksem lubili wpadać do miasta, żeby się rozerwać. Chip zawsze był sprytny i twardy. Dorastał w domach zastępczych i za cel postawił sobie znalezienie swojego miejsca wśród bogatych ludzi. Dlatego zatrudnił się u Joyce'ów, na początku jako szeregowy pracownik, ale piął się w górę, aż wreszcie stary Joyce nie mógł się bez niego obejść. Po rozwodzie powoli zdobył zainteresowanie Lizzy. Znał Mariah, mieszkała z nim w rodzinie zastępczej. Chip pomógł jej znaleźć pracę u Peadenów, gdzie wiele

się nauczyła. Później postarał się, aby Rich poznał Peadenów na tyle dobrze, żeby można było polecić mu Mariah. Kiedy Arthur zmarł, Mariah przyszła do Richa zapytać, czy nie miałby dla niej jakiejś pracy. Ten był po zawale i wiedział, że rodzina chce mu znaleźć opiekunkę. Pochlebiali mu, że dziewczyna jest młoda i ładna, mimo że nie miał wobec niej żadnych szczególnych planów. Ona zaś wiedziała, że stary ma słabe serce i że mu się podoba. Liczyła, że zostawi jej jakieś pieniądze. Lubiła go nawet.

–Więc co się stało? – ponagliłam go.

–Niespodziewanie zaszła w ciążę. Na początku nic z tym nie zrobiła, a potem było już za późno. Nosila luźne ciuchy, żeby pracodawca nie zauważył. Nie chciała, by wiedział, że z kimś sypia. A bała się zwolnienia, gdyby dowiedział się, że zrobiła skrobankę. Była twarda, ale nie na tyle, żeby się na to zdecydować. Chip wpadł w szal, kiedy się dowiedział. Była wtedy chyba w ósmym miesiącu. Przyjechał do Texarkany po prochy. Chciał się znieczulić, nie myśleć o tym przez chwilę. Był tu, kiedy zadzwonił Drex, że jest sam w domu z dziewczyną i że dzieje się coś niedobrego. Mariah urodziła sama, ale nie przestawała krwawić. Bywał przy ciążących się krowach, miał o tym jakieś pojęcie, przeciął więc pępwinę, zajął się dzieckiem, ale Mariah dogorywała. Chip wyleciał jak oparzony, a potem zadzwonił, żebym zabrał od niego dziecko.

–Chip go nie chciał?

–Nie, nie zależało mu.

–A ty zabrałaś dziewczynkę, licząc, że może kiedyś powiesz Joyce'om, że to córka ich dziadka, i w ten sposób naciągniesz ich na jakąś kasę?

–Wiem, że to podle – przyznał Matthew, a jego głęboko osadzone oczy pociemniały. – Wiem. Ale pamiętajcie, jaki wtedy byłem. Wydawało mi się to dobrą okazją do zrobienia niezłego interesu. Miałbym pieniądze w razie czego.

–A twoje własne dziecko umierało, bo nie chciałeś go zabrać do szpitala – wytknęłam mu. – A może nie żyło już wtedy, gdy zadzwonił Chip?

–A więc stąd miałeś to inne dziecko! – wtrącił naraz Mark, wprawiając Matthew w osłupienie. – Dlaczego mi nie powiedziałeś, tato?

–Wiedziałeś, że to nie Gracie? – zapytał Matthew zbity z tropu. – Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby martwić się akurat o ciebie. Przecież prawie z nami nie mieszkałeś. Skąd wiedziałeś?

Nagle wszystkie kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsce.

–Ja wiem skąd – powiedziałam. – Cameron mu powiedziała. Pewnie nie zauważyła od razu, a my w ogóle się nie zorientowaliśmy. Potrwało to trochę, ale z pomocą przyszedł ten referat z biologii o genetyce i kolorze oczu. Ty i moja matka nie mogliście mieć dziecka o zielonych

oczach.

Mark opadł na kanapę, jakby nogi się pod nim ugięły.

–Tato, ona chciała zadzwonić na policję – wyszeptał. – Chciała im powiedzieć, że porwałeś jakieś dziecko, żeby zastąpić nim Gracie, która zmarła.

–To ty, Mark... – miałam wrażenie, że mój głos dochodzi z oddali. – To ty. Ty zabrałeś ją, kiedy wracała ze szkoły. Powiedziałeś jej... Co jej powiedziałaś?

–Że miałaś wypadek. Jechałem na motorze, więc kazałem jej zostawić plecak na poboczu. O nic nie pytała. Po prostu wsiadła. Ruszyłem w stronę szpitala, ale udąłem, że coś się dzieje z motorem, i zatrzymałem się na opuszczonej stacji benzynowej. Kazałem jej iść na tyły sprawdzić, czy jest tam kompresor. Poszedłem za nią.

–Jak to zrobiłeś? – zapytałam bardzo cicho.

Spojrzał na mnie z miną, której miałam nadzieję nie ujrzeć już nigdy w życiu. Na jego twarzy mieszał się wstyd, przerażenie i zadowolenie.

–Udusiłem ją. Mam duże dłonie, a ona była taka drobna. To trwało chwilę. Musiałem ją tam zostawić, nie mogłem przecież załadować ciała na motor.

Wróciłem później furgonetką taty. Chciałem ją zostawić, ale bałem się, że ją tam znajdziesz, cudaku. Zakręciło mi się w głowie, opadłam na fotel. Tolliver uderzył Marka z całej siły. Mark legł na boku, krwawiąc z ust. Matthew stał jak słup soli, z otwartymi ustami.

–Zrobiłem to dla ciebie, tato – wymamrotał Mark i wypuł krew oraz ząb. – Zrobiłem to dla ciebie.

–I tak mnie zwinęli – stwierdził Matthew, jakby to było najważniejsze.

–Gdzie ona jest, Mark?

–Ty i ta twoja rodzinka! – warknął. – Ciągle jakieś kłopoty z wami. Najpierw to dziecko, potem Cameron, która chciała iść na policję, a teraz chcesz wyjść za Tollivera.

–Gdzie jest moja siostra, Mark? – Chciałam ją godnie pochować. Chciałam wiedzieć, gdzie leżą jej kości. Chciałam zobaczyć ją po raz ostatni. Czekala na mnie gdzieś tam, w Texarkanie. Pragnęłam tylko, by podał miejsce, żebym mogła wsiąść do samochodu i tam pojechać. Powiadomiłabym też Pete'a Greshama.

–Nie powiem ci – burknął Mark. – Nie podkablujesz mnie, dopóki jej nie znajdziesz, a ja ci nie powiem. Tata mnie nie wyda, brat także. Nasze słowo przeciw twojemu.

–Gdzie moja siostra?

Matthew gapił się na syna, jakby widział go po raz pierwszy.

–Oczywiście, że powiem policji – oświadczył Tolliver. – Skąd przyszło ci do głowy, że nie?

–Jesteśmy rodziną, Tol. Jeśli powiesz im o Cameron, będziemy musieli powiedzieć także o Gracie, a ona jest Chipa. Iona i Hank będą musieli ją oddać. Nie wyobrażasz sobie, co z nią zrobi Chip.

–Chip nie żyje, Mark. Wczoraj popełnił samobójstwo.

Mark zaniemówił na moment.

–No to oddadzą ją do rodziny zastępczej, tak jak Harper – rzekł, odzyskawszy mowę.

–Chcesz zmusić mnie do milczenia na temat śmierci mojej siostry, szantażując drugą? Twoja podłoga nie mieści się w głowie. Nie mogę uwierzyć, że łączy cię jakieś pokrewieństwo z Tolliverem.

–Taki jest układ – oświadczył Mark z zaciętą miną.

Rozległo się pukanie. Ktoś miał fatalne wyczucie czasu.

Ponieważ wydawało się, że tylko ja nie straciłam zdolności ruchu, wstałam i otworzyłam drzwi. Z ulgą odwróciłam się od Matthew i Marka. Byłam tak oszołomiona, że nawet nie zdumiał mnie widok Manfreda.

–To nie najlepszy moment – zauważyłam, ale czekałam, żeby wyjaśnił swoją obecność tutaj.

–Ma boks wynajęty na inne nazwisko – oznajmił Manfred bez żadnych wstępów. – Zabrał tam ciało. Wiem, gdzie to jest.

Wszyscy na moment zamarli.

–Och, dzięki Ci, Boże – westchnęłam, otrząsnąwszy się z oszołomienia. Poczułam, jak po policzkach cieką mi łzy.

Zadzwoniliśmy na policję. Wydawało nam się, że minęły wieki, zanim przyjechali, choć tak naprawdę pojawili się w ciągu kilku minut. Ciężko było wyjaśnić, co się stało.

Zanim wsiedliśmy do samochodu Manfreda, zabraliśmy z portfela Marka elektroniczny klucz. Tolliver wyjaśnił policjantom, że jego brat właśnie przyznał się do zamordowania przybranej siostry oraz że ojciec na pewno zechce w tej sytuacji zostać ze swoim synem.

Do magazynu dostaliśmy się za pomocą klucza odebranego Markowi. Gdy wrota otworzyły się, wjechaliśmy do środka, nie zamykając ich za sobą. Radiowóz był w drodze, ale nie zamierzaliśmy czekać.

–Wiedziałem, że to on w chwili, gdy dotknąłem plecaka – oświadczył Manfred, usiłując ukryć dumę. – Zacząłem go śledzić.

–A więc to robiłeś przez te kilka ostatnich dni?

–Przyjechał tu dwa razy – ciągnął Manfred.

Zdumiewające. Czyżby Mark miał takie wyrzuty sumienia, że odwiedzał ciało Cameron? A może był jak wiewiórka, która boi się, że ktoś skradnie jej zapasy na zimę i co chwilę sprawdza, czy są na miejscu?

Nigdy tak naprawdę nie znałam Marka. A skoro ja się tak czułam, jak musiał czuć się jego brat? Zerknęłam na Tollivera, ale miał nieodgadnioną minę. Manfred zatrzymał się przy sporym boksie z numerem dwadzieścia sześć i ponownie użył karty.

Pomieszczenie było w połowie wypełnione rzeczami, wśród których rozpoznałam kilka przedmiotów z przyczepy. Po co trzymać takie graty? Pewnie Mark sądził, że Matthew chciałby je mieć. Popatrzyłam na tę hałdę, zamknęłam oczy i zaczęłam szukać.

Wibracje dobiegały ze skrzyni na pościel, ustawionej na końcu boksu. Na kufrze leżały jakieś gazety, stare garnki i patelnie. Straciłam je jednym ruchem i położyłam dłoń na wieku. Nie byłam w stanie go unieść. Sięgnęłam moim zmysłem w głąb i...

Odnalazłam siostrę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Zamieszanie wokół statusu prawnego Gracie – dziewczynki, którą zawsze uważałam za siostrę – mogło potrwać jakiś czas. Ale ponieważ jej oboje biologiczni rodzice nie żyli, kwestia opieki nie podlegała dyskusji. W końcu Iona i Hank legalnie adoptowali obie dziewczynki. Dla nich nie miało znaczenia, że jedną z nich urodziła inna kobieta, niż im się wydawało. Po otrząśnięciu się z pierwszego szoku, zdecydowali, że bez względu na wszystko nie oddadzą Gracie. Iona powiedziała mi, że kiedy Bóg kazał jej zająć dziewczynkami, nie określał, kim są ich rodzice. Gdyby Gracie była rzeczywiście córką Richa, komplikacje mogłyby być ogromne, więc w zasadzie miała szczęście, że nią nie była. A przynajmniej tak uważałam.

Matthew wrócił do więzienia, choć nie na długo. Nie zamordował własnego dziecka, w każdym razie nikt nie mógł mu tego udowodnić. Szczątki prawdziwej Gracie zniknęły z miejsca, które wskazał jako jej mogiłę, czyli z parku nieopodal trasy międzystanowej.

Twierdził, że Gracie zmarła w jego samochodzie w drodze do szpitala. Okłamał nas, wmawiając, że leży na oddziale intensywnej terapii, bo bał się, że matka zwariuje na wieść o jej śmierci. (Nie uwierzyłam mu. Moja matka już wtedy od kilku lat była niespełna rozumu). Przez parę dni nie wracał do domu, żeby uwiarygodnić bajeczkę o pobycie niemowlęcia na zamkniętym oddziale. Kiedy Chip do niego zadzwonił, Matthew z radością wykorzystał okazję i zabrał dziecko o wątpliwym pochodzeniu z myślą, że kiedyś może wykorzysta całą sprawę dla zysku. Poza tym posiadanie zdrowego dziecka odsunęłoby od niego zarzuty o zaniedbanie. Jedynie Cameron podejrzewała, że Matthew mógł upaść aż tak nisko, żeby podmienić niemowlęta.

Cameron miała zmiażdżoną krtań. Jej szczątki zachowały się na tyle dobrze, że dało się określić przyczynę śmierci. Mark zeznał, że pokazała mu wykresy do referatu, które wykluczały posiadanie zielonookiego dziecka przez dwoje brązowookich rodziców. Cameron nie wiedziała, czyje było to nowe dziecko, ale wystarczyło, że nabrała pewności, iż nie jest to nasza Gracie. To wyjaśniało pewne szczegóły jakie zauważyła po powrocie małej ze szpitala. Po zabójstwie Mark przeniósł ciało Cameron do chłodni w restauracji, w której wtedy pracował. Włożył je do pudła i przez kilka dni trzymał na tylnej półce, gdzie składowano mięso. Później, w szczytowym okresie wrzawy wokół zaginięcia Cameron, wynajął schowek i przewiózł ją do Dallas w skrzyni na pościel. Tam zostawił ją na dobre, dorzucając tylko rzeczy z przyczepy, gdy przeprowadzał się do Dallas. Od tamtej pory jej pilnował.

Biedna Cameron. Zaufała niewłaściwej osobie. Mark był najstarszy z nas i miał najbardziej stabilną sytuację życiową. Dlatego właśnie zwróciła się do niego. Nie doceniła jednak oddania Marka wobec ojca. Ale była na tyle bystra, by powiązać kwestie dziedziczenia koloru oczu z dzieckiem, które zamieszkało w naszej przyczepie.

Ja także dostrzegałam wiele osobliwych zmian. Na co dzień zajmowałam się Gracie. Jednakże nigdy nie przyszło mi do głowy, że niemowlę, którym się opiekuję, może nie być moją siostrą. Mogłam to złożyć tylko na karb stresu i napięcia, jakie przeżywałam po wypadku z

piorunem. Poza tym trudno byłoby mi uwierzyć, że Matthew stoczył się aż tak nisko, by zrobić coś podobnego. Pamiętam, że zastanawiałam się nad cudowną poprawą stanu zdrowia Gracie, ale przypisałam to nowoczesnej medycynie.

Mark przyznał się do wszystkiego, w zasadzie nie miał wyjścia. Nie ma teraz lekko. Nie sądzę, bym mogła kiedykolwiek spojrzeć mu w twarz.

Manfred zyskał darmową reklamę, którą dodatkowo nakręcałam jak mogłam. Dostał propozycję udziału w jednym z tych programów o łowcach duchów. Okazało się, że kamera go kocha. Przynajmniej raz w tygodniu jakaś fanka proponuje mu małżeństwo.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, kim jest kobieta z centrum handlowego w Texarkanie. Nie rozpoznaliśmy też głosu z anonimowego telefonu w jej sprawie. Ale przynajmniej od tej pory nie musieliśmy już zwracać sobie głowy podobnymi rewelacjami.

Po powrocie do St. Louis Tolliver poszedł do lekarza, który stwierdził, że ramię goi się świetnie. Z radością rozpakowaliśmy się w naszym mieszkanku i nawet odrzuciliśmy jedno czy dwa zlecenia, żeby w spokoju pobyć trochę razem.

Pobraliśmy się.

Dziewczynki pewnie będą rozczarowane utratą okazji do założenia eleganckich sukienek i robienia sobie zdjęć, ale zawarliśmy związek tylko w obecności sędziego pokoju. Nie zmieniłam nazwiska, Tolliverowi to nie przeszkadza.

Gdy oddano nam szczątki Cameron, zabrałam je do St. Louis, aby wyprawić pogrzeb. Kupiliśmy ładny nagrobek. Dziwne, ale nie poczułam się po tym tak dobrze, jak przewidywałam. Na początku odwiedzałam grób Cameron codziennie, aż wreszcie zrozumiałam, że ona już na zawsze pozostanie zawieszona w momencie śmierci. Musiałam przestać do niej chodzić, inaczej nie mogłabym żyć dalej. Teraz przynajmniej wiedziałam, co jej się przydarzyło.

Wkrótce znów ruszymy w trasę. W końcu musimy jakoś zarabiać.

A oni tam czekają. Czekają na mnie. I pragną jedynie, by ich odnaleziono.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-21

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

Table of Contents

[ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIESIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ JEDENASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUNASTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYNASTY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERNASTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SZESNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ OSIEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY](#)